

SANDRA CANFIELD

GŁOSY
NA WIETRZE



Harlequin

Toronto • Nowy Jork • Londyn • Amsterdam
Ateny • Budapeszt • Hamburg • Istambuł
Madryt • Mediolan • Paryż • Praga • Sofia
Sydney • Sztokholm • Tajpej • Tokio • Warszawa

Jill McClain usłyszała nowinę po raz pierwszy przechodząc przez pomieszczenie, w którym stał automat do sprzedaży napojów bezalkoholowych.

- Hej, Jill, znasz najświeższe wiadomości? - spytała recepcjonistka, uderzając pięścią w nieposłuszną maszynę i wkładając ponownie do otworu monetę, którą wypłuła metalowa bestia. - Burke wraca.

- Czy słyszałaś o Burke'u? - Jill nie zdążyła odpowie-

dzieć na pierwsze pytanie, gdy już padło następne. Zadał je Charles Evans, najnowszy nabytek firmy prawniczej Rawlins, Rawlins, Nugent and Carson. Minęli się niczym dwa okręty, zmierzające w przeciwnych kierunkach - Charles szedł do swego pokoju, Jill spieszyła do gabinetu Rawlinsa seniora.

- Tak, Cindy, właśnie... - zawołała przez ramię, gdy znów jej przerwano.

- Wiesz co? - spytała bez tchu Ellen, hoża urzędniczka o błyszczących oczach, niosąca stertę starych książek prawniczych i bieżących dokumentów.

- Burke wraca - odpowiedziała z szatańskim uśmiechem Jill, idąc dalej.

- Ach, ktoś już ci powiedział - jęknęła kobieta, odymając wargi.

Stukot wysokich obcasów Jill umilkł na chwilę, dopiero gdy zatrzymała się, by otworzyć oszklone drzwi gabinetu Andrew Rawlinsa. Przy biurku siedziała kobieta, o której wszyscy mówili z czułością, że jest sekretarką szefa firmy od tysiąca lat. Ida Tumbrello odpowiadała na to niezmiennie, że w rzeczywistości jest nią zaledwie od dziewięciuset, co i tak wystarcza, by pamiętać czasy, gdy firma dopiero startowała.

- Pan R. przysłał po mnie - oznajmiła Jill, gdy Ida podniosła głowę znad maszyny do pisania.

- Prosił, żeby cię natychmiast do niego wpuścić - powiedziała sekretarka z szerokim uśmiechem, który uniósł do góry jej gładkie policzki i załśnił iskierkami w wiecznie młodych oczach. - Czy słyszałaś, że Burke wraca?

Jill odwzajemniła uśmiech, zaprawiając go solidną porcją złośliwości.

- Cała kancelaria kipi od plotek na ten temat. Nim tu doszłam, zdążyłam czterokrotnie usłyszeć nowinę. - Po chwili jednak dodała poważnym tonem: - Kiedy?

- Jest już w Bostonie i zamierza pojawić się rano w pracy. - Przez króciutką chwilę starsza kobieta wyglądała, jak gdyby miała się rozpłakać. Czubek jej zgrabnego nosa zaróżowił się, piwne oczy załśniły podejrzenie. - Nie muszę wspominać, że Andrew nie posiada się z radości. Nie ucieszyłby się bardziej z gwiazdki z nieba. - Ida pociągnęła nosem i wskazała gestem siwej głowy znajdujące się za nią drzwi. - Idź tam lepiej, zanim ten stary głuptas nie obedrze mnie ze skóry za to, że cię zatrzymuję.

- A mnie za to, że pozwalam ci się zatrzymać - powiedziała Jill. Zapukała do drzwi, nacisnęła klamkę i weszła do wyłożonego czerwonym dywanem gabinetu Andrew Rawlinsa. - Chciał się pan ze mną widzieć?

Wysoki szczupły mężczyzna, o dystyngowanym wyglądzie, który stał, wyglądając przez okno, odwrócił się do niej. Gęste śnieżnobiałe włosy okalały wąską twarz o ostrych rysach, zielone oczy mierzyły Jill mądrym spojrzeniem. Jill zawsze wyobrażała sobie, że jej szef przynajmniej częściowo zgłębił tajemnicę życia. Siwe, starannie przystrzyżone wąsy ocieniały wrażliwe usta o ładnym wykroju, na których gościł znów nie widziany od osiemnastu miesięcy szczery uśmiech. Była to szczerość, płynąca wprost z serca mężczyzny.

- Czy wiesz, jak piękny może być Boston wiosną?
- spytał Andrew Rawlins.

Kąciki ust Jill podjechały do góry na to nieoczekiwane pytanie.

- Ma pan rację, Boston wiosną jest rzeczywiście cudowny. Ale nic mu nie ujmując, podejrzewam, że każde miejsce na ziemi wydałoby się panu w tej chwili wspaniałe.

Patrzył na nią, nie kryjąc radosnego błysku w oczach.

- Słyszałaś więc?

- Nie sądzę, by znalazła się choć jedna osoba na półkuli północnej, która nie zna jeszcze nowiny. Bardzo się cieszę, proszę pana - dodała poważnie. - Za was obu.

- Dziękuję.

- Jak on się miewa?

Przed oczami Jill stanął Burke Rawlins taki, jakim go widziała po raz ostatni, ubrany w ponurą czerń, pochylony nad świeżym grobem swojej żony. Twarz miał bez wyrazu, w oczach pustkę, co bez wątpienia świadczyło, że Nicole Rawlins zabrała z sobą do wieczności jego cząstkę. Być może tę najlepszą.

- Cóż... - Andrew Rawlins szukał określenia, które najlepiej pasowałoby do sytuacji jego syna. - Nieźle. To było ciężkie półtora roku, ale myślę, że Burke w końcu zrozumiał, iż w starym powiedzeniu o życiu, które toczy się dalej, tkwi źdźbło prawdy. - Westchnął, a Jill pomyślała, że wspomina w tej chwili swoją żonę, która zmarła przeszło dziesięć lat temu. - Wszyscy się tego uczymy - dodał, potwierdzając jej przypuszczenia.

- Cieszę się, że będziemy znów pracować razem z Burke'em - powiedziała wracając do terażniejszości. Dręczyła ją ciekawość czy wszystkie plotki, które docierały do niej

przez ostatnie osiemnaście miesięcy, były prawdziwe. Na przykład, że Burke nie siada za kierownicą samochodu albo że po ucieczce z Bostonu stał się plażowym włóczęgą na Cape Cod. Albo jeszcze, że zapuścił brodę i długie włosy i potrafi ścigać się z wiatrem na swych silnych nogach, wytrenowanych podczas biegania godzinami po atlantyckich plażach.

- To właśnie przyczyna, dla której posłałem po ciebie rzekł Andrew Rawlins. - Co sądzisz o moim pomysłe, byście zajęli się razem z Burke'em sprawą Strokerów?

Jill McClain była znana z trzech rzeczy: filigranowej postaci - Burke Rawlins nazwał ją kiedyś „elfem poszukującym bajki” - niespożytej energii w pięciu się po szczeblach kariery prawniczej i bezkompromisowej uczciwości. Ta właśnie ostatnia cecha podyktowała jej następne słowa:

- Wie pan doskonale, że każdy prawnik w tej kancelarii, a przypuszczalnie nawet w mieście, dałby się żywcem pokrajać za tę sprawę. Łącznie ze mną. Poza tym cieszę się, że będę pracowała nad nią z Burke'em.

- To świetnie. Bardzo dobrze. - Mężczyzna podszedł do eleganckiego barku. - Wypijmy za pomyślność. Co mogę ci zaproponować? Chablis, gin z tonikiem, amaretto z wodą sodową...

- Poproszę o chablis - przerwała mu Jill, próbując opanovać targające nią emocje.

Sprawa Strokerów! Ileż to razy zasypiała, marząc o prowadzeniu w sądzie tej sprawy, która szybko stawała się najbardziej znana w Bostonie? Niezależnie od werdyktu sądu zostanie stworzony precedens, na który będą się po-

woływać przez długie lata, a każdy prawnik, który wykona dobrą robotę, będzie miał po zakończeniu procesu zapewnioną dalszą karierę. Przede wszystkim jednak sprawa fascynowała ją od czubka złotowłosej głowy aż po palce u nóg z pomalowanymi na różowo paznokciami. Nie miała pojęcia, dlaczego, po prostu tak było i koniec. Zresztą przyciągała ona uwagę mnóstwa ludzi, zwłaszcza pracujących w mediach. Miała wszelkie dane po temu, by zagwarantować świetną sprzedaż gazet - członkowie elitarniej bostońskiej rodziny walczyli o zawładnięcie fortuną, w dodatku w grę wchodziła potężna komplikacja w postaci nieślubnego dziecka, które wychynęło z cienia po swoją część majątku. Sprawa Strokerów! Jill miała ochotę skakać i krzyczeć z radości. Nie mogła się doczekać, kiedy powie o tym siostrze...

- .. twoja siostra wychodzi za mąż.

Jill oprzytomniała i spróbowała poskładać ostatnie słowa szefa.

- Słyszałem, że ma to nastąpić wiosną.

- Tak, proszę pana - odpowiedziała, mając nadzieję, że nie przegapiła niczego ważnego. - Ślub odbędzie się w maju.

- Jesteście bardzo zżyte, prawda? - spytał Andrew Rawlins, podając Jill kieliszek w kształcie tulipana.

Nie zdziwił jej ten komentarz. Szef był znany z tego, że lubił wiedzieć wszystko o swoich pracownikach.

- Tak, to prawda - odrzekła, biorąc od niego chablis i zastanawiając się, na ile jest świadom tego, jak bliskie stosunki łączą ją i Mary. - Od bardzo dawna z całej rodziny pozostałyśmy już tylko my dwie.

- Spodziewam się zaproszenia na ślub.
- Dopilnuję, żeby pan je dostał.
- Czy mogę wznieść toast za synów, siostry i sprawę Strokerów? - spytał Andrew Rawlins, podnosząc szklaneczkę z kanadyjską whisky.
- Chętnie się do niego przyłączę - odpowiedziała Jill McClain, upijając łyk wina.

W drugim końcu miasta, w wynajętym bez oglądania umeblowanym apartamencie, Burke Rawlins podniósł do ust szklanekę bourbona z wodą sodową i pociągnął długi, powolny łyk. Bursztynowy płyn przyjemnie zwilżył mu gardło. Burke miał uczucie, że wita się ze starym, dobrze znanym przyjacielem, ale przecież pierwsze sześć z osiemnastu minionych miesięcy można podsumować jednym słowem: bourbon. Bourbon z lodem, bourbon bez lodu, z wodą sodową, bez wody. Bourbon rano, w południe i wieczorem - czasami przez całą noc. W końcu Burke zdał sobie sprawę - co było ciekawe, lecz zarazem frustrujące - że bez względu na to, ile alkoholu wlał w siebie, zawsze było go za mało, by zagłuszyć dręczące wspomnienie. Nawet w pijackim odrętwieniu pamiętał wypadek. Pamiętał bezwładną, nieprzytomną Nicole w swych ramionach. Pamiętał stukot grudek ziemi o trumnę i swoje wrażenie, że Nicole się dusi. Pamiętał, jak walczył z przemożnym pragnieniem, by paść na kolana i drapać pazurami ziemię, jak gdyby to ceremonia pogrzebowa zabijała mu żonę, jak gdyby nie zginęła wcześniej w wypadku. Przede wszystkim jednak, niezależnie od tego ile wypił, nie opuszczało

go nigdy poczucie winy - ta przytłaczająca świadomość, że gdyby istniała sprawiedliwość na świecie, to on powinien znajdować się na miejscu swojej żony. A przynajmniej powinien zginąć razem z nią.

Gdy Burke zdał sobie sprawę, że żadna ilość bourbona nie zapewni mu spokoju, którego poszukiwał, przestał pić i postanowił zagłuszyć wspomnienia w inny sposób. Zaczął przemierzać biegiem wielokilometrowe odległości i obecnie mógł zgodnie z prawdą powiedzieć, że pozostał na plaży Cape Cod więcej śladów stóp niż jakikolwiek inny człowiek. Biegał codziennie przez wiele godzin, czasami również podczas bezsennej nocy, aż wreszcie miał absolutną pustkę w głowie i rejestrował wyłącznie odgłos własnych kroków oraz szum fal uderzających o brzeg.

Podniósł ponownie szklaneczkę do ust. Pił po raz pierwszy od czasu, gdy wyrzekł się alkoholu i pozwolił sobie wyłącznie na jednego drinka. Ale właśnie ten jeden był mu koniecznie potrzebny. Nie potrafiłby stawić czoła powrotowi bez choćby jednego przyjaciela. A jak, u licha, miałby pędzić na złamanie karku zatłoczonymi ulicami Bostonu? Jak gdyby chcąc potwierdzić swoje racje, otworzył szklane drzwi prowadzące na balkon i wyszedł na rześkie marcowe powietrze. Wiatr owionął mu twarz, targając brązowy lok nad czołem i ciemniejsze włosy, wyglądające z wycięcia trykotowej koszuli. Cztery piętra niżej dreptali ludzie pochłonięci swoimi sprawami. Kobieta pchała przed sobą wózek z płaczącym dzieckiem, mężczyzna niośł torbę pełną zakupów do budynku mieszkalnego po przeciwnej stronie ulicy, przebiegła grupka roześmianych dzieci, planują-

cych zapewne jakąś psotę. Zatrąbił przejeżdżający samochód. Z oddali niósł się jękliwy dźwięk syreny - dźwięk, o którym Burke pragnął zapomnieć, podobnie jak o odgłosach sal szpitalnych i głuchych jękach rozpacz.

„Przykro mi, panie Rawlins, ale pańska żona nie żyła już, gdy ją przywieziono do szpitala... nie żyła... nie żyła...”

Zarówno wtedy, jak i teraz odczuwał przemożną potrzebę, by zadać kłam tamtej śmierci, po prostu powiedzieć: „Hej, to chyba jakaś pomyłka. Nicole i ja jechaliśmy właśnie do domu. Jeśli pozwolicie jej zejść z tego stołu, zdążymy wrócić, zanim się na dobre rozpada”. A jednak w głębi duszy zdawał sobie sprawę, mimo oszołomienia spowodowanego szokiem, że Nicole poniosła śmierć w chwili, gdy uderzył w nich tamten samochód. Gdy wziął ją w ramiona, nie miał co do tego żadnych wątpliwości. Mimo to przez całą drogę do szpitala modlił się o cud i złorzeczył Bogu, że mu go odmawia.

Z jakiegoś irracjonalnego powodu trudniej mu było znieść śmierć Nicole, dlatego że sam nie odniósł w wypadku nawet jednego zadrapania. Był na nią niemal zły - nie, raczej potwornie wściekły, myślał, przeczesując palcami potargane przez wiatr włosy - że również jej nie udało się wyjść cało z opresji. Ten gniew potęgował jeszcze jego poczucie winy.

Do tego dokładały się wszystkie „gdyby”. Czy uniknąłby kolizji, gdyby miał odrobinę szybszy refleks? Może gdyby trochę bardziej uważał, Nicole byłaby teraz przy nim? Gdyby się nie śmiał i nie droczył, co zamierza z nią zrobić po powrocie do domu, może dowiozłby ją tam bezpiecznie?

Burke odepchnął od siebie owo diabelskie „gdyby”, rozumiejąc, że siła tego nienawistnego słowa tkwi w fałdzie, że stawia pytanie, na które nigdy nie da się odpowiedzieć. Westchnął głęboko i opróżnił szklaneczkę, w której grzechotały kostki lodu. Jeśli zamierza żyć dalej, musi jakoś wyrzucić z pamięci tę tragedię. Człowiek nie jest w stanie bardziej cierpieć. Po przekroczeniu pewnej granicy wpada w odrętwienie, receptory bólu przestają reagować. Emocjonalnie znajdował się właśnie w tym punkcie. Nie czuł nic - kierował się wyłącznie podstawowym ludzkim instynktem przeżycia. Aby przeżyć, musi wrócić do pracy. Jutro usiądzie znów przy biurku, nad dokumentami dotyczącymi spraw sądowych. Jutro nie będzie miał już brody, podobnie jak długich włosów, które ostrzygł kilka dni temu. Jutro włoży garnitur i krawat, i z zakłopotaną miną wejdzie do biura. Jutro spróbuje odnaleźć znów rytm życia. Teraz jednak, pomyślał, cofając się do pokoju, muszę pozbyć się brody i uspokoić się.

Dwadzieścia minut później stał przed lustrem w łazience, oceniając skutki ostatniego pociągnięcia ostrą żyłką. Z lustra patrzyła na niego obca, gładko wygolona twarz. Czuł się osobliwie bezbronny, obnażony zarówno emocjonalnie, jak i fizycznie. Nagle, z zaskakującą i przerażającą siłą, ogarnęła go panika. Może jeszcze za wcześnie na powrót. Może potrzebuje więcej czasu. Może...

Ściany mieszkania zdawały się na niego napierać, musiał się stąd za wszelką cenę wydostać. Na powietrze, tam, gdzie będzie miał czym oddychać, gdzie będzie mógł pójść w zawody ze swobodnym wiatrem i poczuje w końcu takie

obezwładniające zmęczenie, że przestanie myśleć o czymkolwiek. Rozpiął suwak džinsów, zrzucił je, po czym ściągnął przez głowę trykotową koszulę, burząc niedawno ostrzyżone włosy. Włożył w pośpiechu szary zniszczony dres i adidasy, po czym zbiegł po schodach i wypadł na ulicę, potracając kogoś, kto właśnie wchodził. Nie oglądając się, rzucił jakieś słowa przeprosin i ruszył pędem.

Po prostu biegł.

Biegł obok zamkniętych i zamykanych sklepów, kłucząc pośród przestraszonych przechodniów, wybierając na skrzyżowaniach zielone światła. Biegł, dopóki wiatr nie podrażnił jego świeżo ogolonej skóry, dopóki płuca omal mu nie pękły, nie zabrakło tchu, a nogi nie stały się ciężkie jak z ołowiu. A gdy pomyślał, że padnie trupem, jeśli zrobi jeszcze choć jeden krok, biegł dalej... i dalej... i dalej. Ponieważ demon, depczący mu po piętach, nie pozwolił mu przystanąć.

Łazienkę wypełnił szum płynącej wody, to Jill zmywała dzienny makijaż. Zakręciwszy kran, osuszyła ręcznikiem owalną, piegowatą twarz, następnie wyjęła ostrożnie soczewki kontaktowe i włożyła je do porcelanowego pojemniczka w kwiatki, który dostała dwa miesiące temu od Mary z okazji trzydziestych czwartych urodzin. Zamrugła kilkakrotnie powiekami. Co za ulga, pomyślała, wspinając się na czubki palców i przyglądając się badawczo w lustrze zaczerwienionym oczom. Nawet bez szkieł kontaktowych o bladoniebieskim zabarwieniu, jej oczy miały kolor akwamaryny, coś pośredniego pomiędzy pogodnym niebem

a głębiami oceanu. W tej chwili jednak te błękitnozielone oczy były zmęczone czytaniem zbyt wielu książek i noszeniem szkieł kontaktowych. Jill wsunęła na nos okulary, odgarniając za uszy rudawozłote loki, opadające niesforną falą na plecy. Zdjęła z wieszaka żółty szlafrok i narzuciła go na ramiona, po czym zgasiła światło w łazience i podreptała boso do kuchni.

Szybko przygotowała pizzę „co-się-nawinie”, włożyła ją do piekarnika i nalała sobie szklanę coli. Podniosła słuchawkę zawieszoną na ścianie telefonu i nakręciła numer siostry. Ponownie zalała ją fala podniecenia. Sprawa Strokerów! Niech no tylko Mary o tym usłyszy!

Ale telefon nie odpowiadał. Jill skrzywiła się i rzuciła okiem na kuchenny zegar. Za dziesięć siódma. Jak zwykle zasiedziała się w biurze. Rob i Mary prawdopodobnie gdzieś się wypuścili. Czy to nie na dziś mieli bilety do teatru? W dalszym ciągu nikt się nie zgłaszał. Westchnęła i odwiesiła słuchawkę.

Zajrzała przez szybkę do piekarnika. Ser na pizzy zaczął się już rozpuszczać. Jill oparła się o szafkę kuchenną. Była głodna. I zmęczona. Poza tym nękało ją od pewnego czasu dziwne uczucie, którego nie potrafiła zidentyfikować. Zdawała sobie jednak sprawę, że ma ono coś wspólnego ze zbliżającym się ślubem siostry. A ściślej mówiąc ze znajomością Mary McClain i Roberta Sheffielda.

Nie zazdrościła siostrze jej szczęścia. Ani przez chwilę. Bóg świadkiem, że był to już najwyższy czas, żeby jej starsza siostra znalazła kogoś, z kim chciałyby dzielić życie. Prawdę mówiąc, Jill zaczynała myśleć, iż to nigdy nie

nastąpi, z tej prostej przyczyny, że Mary nikogo takiego nie szukała. O szesnaście lat starsza od Jill, zawsze wydawała się zadowolona z roli starszej siostry i niezamężnej nauczycielki. Gdy ich rodzice, Margaret i Edward McClain, zginęli w katastrofie samolotu tamtego lata, gdy Jill skończyła piętnaście lat, Mary w naturalny sposób przejęła obowiązki matki. Była wręcz stworzona do tej roli, ale ograniczyła ona jej i tak niezbyt bogate życie towarzyskie. Mary nie miała nic przeciwko temu, natomiast Jill bardzo się martwiła, toteż ucieszyła się, gdy na horyzoncie pojawił się Rob Sheffield. Tylko...

Tylko co?

Zadzwonił timer, wybawiając Jill od zastanawiania się nad odpowiedzią, której nie знаła i nie była pewna czy kiedykolwiek pozna.

Tysiąc kalorii później - pocieszała się, że przynajmniej cola była dietetyczna - Jill posprzątała kuchnię, wzięła prysznic i położyła się na łóżku z opasłą książką prawniczą. Czytała do za kwadrans dwunasta, potem zgasiła światło i wśliznęła się do chłodnej pościeli. Zwinęła się w kłębek, a po chwili wyciągnęła na całą długość w ogromnym łóżku. Jej nogi, ręce, całe ciało nie dotykały niczego, nagle przebiegł ją dreszcz. Czy to możliwe, żeby właśnie znalazła odpowiedź na pytanie: „Co się ze mną dzieje?”. Czy nie kryje się ona w tym nadmiarze wolnej przestrzeni na jej królewskim łożu? Pustce w życiu osobistym?

Mimo sukcesów w pracy, którą uwielbiała, jakaś jej część ta kobieca, odczuwała niedosyt. Czy to możliwe, że potrzebowała, pragnęła kogoś, kto dzieliłby z nią życie,

wszystkie złe i dobre chwile, po prostu wszystko? Cały swój czas i energię poświęcała karierze zawodowej pomijając miłość. Och, nie znaczy to, że nigdy się z nikim nie wiązała. Jednakże żaden związek nie przerodził się w układ „na zawsze”. Wtedy nie miało to znaczenia. Dopiero teraz, w miarę upływu lat - a miała już trzydzieści cztery - zaczęło go nabierać. Westchnęła. Chciała mieć kogoś, kto patrzyłby na nią w taki sposób, w jaki Rob patrzy na Mary. Pragnęła, żeby ktoś pokochał ją do szaleństwa, tak jak...

Drgnęła, uświadamiając sobie ze zdumieniem, czyje nazwisko przyszło jej na myśl. Pragnęła, żeby ktoś pokochał ją do szaleństwa, tak jak Burke Rawlins kochał swoją żonę.

Burke Rawlins.

Była ciekawa, czy bardzo się zmienił i miała nadzieję, że nie. Podczas trzech lat jej pracy w Rawlins, Rawlins, Nugent and Carson pracowało im się razem świetnie, co więcej, udawało im się lubić i szanować wzajemnie podczas procesu. Każde z nich potrafiło rozśmieszyć partnera w chwilach, gdy traktował siebie i życie zbyt poważnie. Co będzie, jeśli Burke nie potrafi się już uśmiechać, przekomarzać? Jill wprost nie mogła sobie wyobrazić takiej okropnej sytuacji. Ale też zdawała sobie sprawę przez jakie piekło musiał przejść. Jej myśli zatoczyły pełne koło. Czy jakikolwiek mężczyzna pokochałby ją do tego stopnia, by przejść przez podobne piekło?

Przekręciła się na bok, wtuliła policzek w poduszkę i spróbowała zmusić się do zaśnięcia. Nim sen ją wreszcie ukoił, przez głowę przemknęły jej dwie myśli. Po pierwsze:

przydzielono jej sprawę Strokerów! Po drugie: gdzie ukrywają się mężczyźni tacy jak Burke Rawlins?

- Wrócił - poinformowała ją na wstępie Cindy.
- Czy widziałaś Burke'a? - spytał Charles Evans.
- Wygląda tak, że miałoby się ochotę go zjeść - powiedziała konspiracyjnym szeptem hoża Ellen.

Balansując zawartością dwóch plastikowych kubeczków, Jill skwitowała uśmiechem to ostatnie stwierdzenie i poszła dalej korytarzem. Zatrzymała się przed drzwiami, które przez ostatnie półtora roku były zamknięte. Tym razem były lekko uchylone.

- Puk, puk - zawołała, ponieważ obie ręce miała zajęte kubkami z parującą kawą. Nie słysząc odpowiedzi, wsunęła się przez szczelinę do pokoju. - Burke? - powiedziała cicho.

Mężczyzna, wyglądający przez okno, nie odwrócił się, w jego ciele nie drgnął nawet jeden mięsień. Prawdę mówiąc, nie uświadamiał sobie nawet jej obecności. W pierwszym odruchu Jill miała ochotę uszanować jego prywatność i wyjść na palcach z pokoju, zwyciężył jednak drugi odruch. Winowajcą było poranne słońce, które sączyło swoje promienie przez okno, igrając w kasztanowatych włosach mężczyzny, podkreślając szerokość jego ramion w granatowej marynarce, spod której wyglądała łososiowa koszula. Żłocista smuga kończyła się na nogawkach starannie wyprasowanych niebieskich spodni. W ich kieszeniach tkwiły nieruchome dłonie.

Wygląda jak ryba wyjęta z wody, pomyślała Jill. Coś

w jego postawie mówiło: „Nie jestem w swoim żywiole”. Jego bezruch zdawał się krzyczeć: „Jestem przerażony”.

Musiała wydać z siebie jakiś dźwięk, gdyż odwrócił się do niej. Spojrzenie zielonych oczu natychmiast powędrowało ku niebieskim. Z ciekawością, a przynajmniej takie wrażenie odniosła Jill. Żadne z nich nie odezwało się słowem, ale w głowie kobiety kłębiły się różne myśli.

Rzeczywiście przeżył piekło. Miał to wypisane na twarzy. Ale też z jego oczu promieniowała siła, o której nie miał pojęcia, że ją posiada. Wyglądał poważniej. Zeszczuplał. Twarz miał brązową od długiego przebywania na słońcu. Pionowa zmarszczka pomiędzy brwiami świadczyła o cierpieniu, jakie przeżył, na policzkach kładły się cienie. Pod spodniami rysowały się muskularne, mocne uda. Pogłoska o setkach przemierzonych biegiem kilometrów musi być prawdziwa. Mogłaby się o to założyć, kładąc na szali całą karierę zawodową. I jeszcze jedna rzecz była prawdą. Ellen miała rację, mówiąc, że Burke wygląda tak, iż miałoby się ochotę go zjeść. Jill odnotowała ten fakt mimochodem, bez osobistego zaangażowania. Wynikało to z jej uczuciowości.

- Cześć - usłyszała swój głos.
- Zastanawiałem się, gdzie jesteś.
- Miałam spotkanie z klientem, który wnosi do sądu sprawę przeciwko swojemu gospodarzowi, ponieważ ukąsiła go pszczoła, ukryta w jego pelargoniach. Twierdzi, iż omal nie umarł i że pszczoła podpada pod paragraf ukrytej broni.

Coś, co przemknęło po twarzy Burke'a, nie było może

jeszcze uśmiechem, ale w każdym razie, po raz pierwszy od bardzo dawna, choć trochę go przypominało.

- Jakie pani mecenas chce zastosować argumenty?
- Ostre jak żądło. Zamierzam zebrać miód z werdyktu.

Kąciki warg Burke'a uniosły się niemal niezauważalnie. Jill również. Nie chciała po prostu okazać, jak bardzo się cieszy. Mimo przeżytej tragedii Burke nie stracił poczucia humoru.

- Czy jeden z nich jest dla mnie? - spytał, wskazując na kubki, które wciąż trzymała w obu rękach.

Jill spojrzała na zapomnianą kawę.

- Och, tak - odpowiedziała, podając mu kubek. Wyciągnął ręce z kieszeni i wziął go od niej. Zauważyła, że wciąż nosi na palcu złotą ślubną obrączkę.

Nie czekając na zaproszenie, usiadła wygodnie w skórzanym fotelu naprzeciwko jego biurka, Burke natomiast przysiadł na brzegu blatu, krzyżując nogi. Siadywali w ten sposób w milczeniu tysiące razy. Powoli popijali kawę, zachowując się, jak gdyby widzieli się ostatnio kilka godzin temu.

- Jak się masz? - spytała wreszcie Jill, intuicyjnie wyczuwając, że chwila jest odpowiednia.

Nigdy nie zdarzyło się, żeby Burke skłamał lub starał się lukrować prawdę. Nie wobec Jill McClain.

- Nie wiem - odparł, wzruszając ramionami. Odstawił kubek i zeskoczywszy z biurka, zajął poprzednią pozycję przy oknie. Płynęły sekundy, w jego włosach znów tańczyły słoneczne refleksy.

- Zastanów się - nie ustępowała Jill.

Odwrócił się, szukając wzrokiem jej oczu.

- Chyba lepiej. Inaczej nie byłoby mnie tutaj.
- Brzmi rozsądnie.
- Wciąż jednak... przeraża mnie, że tu jestem.
- Brzmi normalnie.
- Oczywiście, mógłbym wrócić choćby tylko dlatego,

że potrzebuję pieniędzy. Półtora roku obijania się znacznie uszczupliło mój stan posiadania.

- Brzmi prawdopodobnie.

Oboje uśmiechnęli się lekko, tyle że uśmiech Burke'a trwał zaledwie przez jedno mgnienie.

- Wszystko w porządku - rzekł poważnie. - A w każdym razie wszystko będzie w porządku.

- Brzmi jak Burke Rawlins, którego znam.

Wyraz jego oczu mówił: „Dziękuję za zaufanie”. Oczy Jill odpowiedziały: „Proszę bardzo”.

- A co u ciebie? - spytał, zmieniając nagle temat.

Wzruszyła ramionami, podobnie jak on przed chwilą, co przy jej drobnej figurce stwarzało złudzenie tańca.

- Znasz mnie. Jestem zawsze taka sama.

- Tak jak słońce i księżyc?

- Nie - odparła, jak gdyby obraził ją tym porównaniem. - Ich przybywa i ubywa. Ja jestem niezmienna. Zawsze zabiegana, zawsze przepracowana, zawsze...

Usta Burke'a znów skrzywiły się w półuśmiechu.

- Co słyszeć w pracy?

- Zaraz, zaraz, pomyślmy chwilę. - Jill odchyliła się na oparcie fotela, zakładając nogę na nogę. Przy swoim filigranowym wzroście Jill McClain była wyjątkowo proporcjonalnie zbudowana, co natychmiast zwracało uwagę

mężczyzn, choć ona kompletnie nie zdawała sobie z tego sprawy. Burke Rawlins przesunął spojrzeniem po jej kształtnych nogach, po czym szybko przeniósł je z powrotem na twarz. - Automat z coca-colą wciąż nie działa, Charles Evans jak zwykle się uskarża, że dostaje tylko drobne sprawy, biust Ellen niezmiennie sterczy, o tak... - w tym miejscu Jill wykonała odpowiedni gest - ...Ida jest ciągle zakochana w twoim ojcu, o czym on nadal nie ma najmniejszego pojęcia.

- Chyba żartujesz - powiedział Burke marszcząc brwi. Ida kocha się w ojcu?

Jill wzniosła oczy do nieba.

- Wy, mężczyźni! Ślepi jak krety!

- Nie do wiary! - powiedział cicho Burke, sznurując wargi i oswajając się z tą myślą. - A skoro już mówimy o mężczyźnie ślepym jak kret, czy tata wspominał ci, że mamy razem zająć się sprawą Strokerów?

- Tak - odrzekła Jill z uśmiechem.

- Czy ten uśmiech ma oznaczać, że jesteś z tego zadowolona?

- A jak sądzisz?

- Sądzę, że będziesz pracowała z kimś, kto nieco zardzewiał. Wciąż się cieszysz?

Jill wyczuła w tym pytaniu autentyczny niepokój.

- Nawet zardzewiały, jesteś jednym z najlepszych prawników w Bostonie. I dobrze o tym wiesz.

- Zobaczymy. W każdym razie bardzo chcę zabrać się z kopyta do roboty. - Zaśmiał się niewesoło. - To zabawne, ale przez cały zeszły rok nie miałem ochoty, ba, nie byłem

w stanie nawet kiwnąć palcem w butcie, a teraz nagle poczułem, że praca jest moim jedynym ratunkiem.

- Wydaje mi się to znacznie bardziej pozytywnym podejściem.

- Tak, chyba tak.

Postąpił krok w jej kierunku, wkładając z powrotem rękę do kieszeni. Materiał spodni uwydatnił prowokacyjnie jego męskie atuty. Jill nie mogła tego nie zauważyć, choć szybko odwróciła wzrok.

- Jak wygląda plan twoich zajęć? - spytał.

Celowo nie spuszczała wzroku z jego twarzy.

- Pozwól, że przełożę kilka spotkań, żebyśmy mogli zacząć jutro od rana.

- Świetnie. Czy masz coś przeciwko pracy po godzinach?

- A czy kiedykolwiek miałam?

- Nie. Myślę po prostu, że któregoś dnia pojawi się w twoim życiu mężczyzna, przy którym firma Rawlins, Rawlins, Nugent and Carson zejdzie na drugi plan. - Umilkł. - A może już się pojawił? Półtora roku to szmat czasu...

- Nie ma żadnego mężczyzny - przerwała mu Jill. Prawda tego stwierdzenia uderzyła ją niemile, dodała więc szybko: - Czy zapoznałeś się ze sprawą?

- Trochę. Muszę przejrzeć dokumenty. Prawdę mówiąc, zamierzam zająć się tym dzisiaj po południu.

- Wobec tego - Jill dopiła kawę, podniosła się z fotela i ruszyła w stronę drzwi - pozwól mi popracować po to, żebyś ty mógł popracować po to, żebyśmy my mogli popracować.

- Jill?

Zatrzymała się i odwróciła do niego.

- Dziękuję za kawę. - Ciepłe tony w jego głosie mówiły, że dziękuje jej nie tylko za kofeinę.

- Proszę bardzo - odpowiedziała, dodając nieco ciszej: - Cieszę się, że wróciłeś. - Ich oczy jeszcze raz się spotkały, po czym Jill podeszła do drzwi. Ujęła właśnie za klamkę, gdy Burke odezwał się znowu:

- Widzę, że w dalszym ciągu zapominasz o jedzeniu drożdży.

Wahała się przez chwilę, wreszcie odwróciła się znów, starając się wyglądać na okropnie obrażoną uwagą o jej wzroście - a raczej jego niedostatku. Nie udało jej się jednak powstrzymać uśmiechu.

- Przerabialiśmy już ten temat, Rawlins, ale widzę, że muszę ci przypomnieć, iż jakość jest ważniejsza od ilości.

Nic na to nie odpowiedział. Wszelkimi siłami starał się utrzymać powagę. Oboje przegrali tę batalię. Oboje uśmiechnęli się serdecznie, bez żadnych zahamowań. Burke pomyślał, iż Jill ma naprawdę uroczy uśmiech i że to niezwykle miłe uczucie znów się uśmiechać. Nie pamiętał, kiedy robił to po raz ostatni. Półtora roku temu?

Jill zachodziła w głowę, jakim cudem mogła dotąd nie zauważyć, jak on jest przystojny, gdy się uśmiecha.

Burke'a ogarnęły nagle gwałtowne wyrzuty sumienia, tym bardziej że ucieszył go uśmiech na twarzy Jill. Jill natomiast poczuła się niezręcznie, jak gdyby powiedziała już, co miała do powiedzenia, a teraz zastanawiała się, co tu jeszcze robi.

- Cóż... do zobaczenia - wybąkała.

- Tak - odpowiedział Burke.

W mgnieniu oka znalazła się za drzwiami.

- Czy on nie jest rozkoszny? - szepnęła Ellen marzy-
cielsko, przyciskając do obfitego biustu książkę prawniczą.

Jill spojrzała na nią.

- Słucham?

- Burke. Czy nie wygląda tak, że miałoby się ochotę go
zjeść?

- Owszem - odpowiedziała, myśli jednak miała za-
przątnięte kim innym. Przed oczami stanęła jej Nicole
Rawlins - wysoka jak modelka, szczupła jak modelka,
wspaniała Nicole Rawlins, która miała wszystkie fizyczne
zalety, których brakowało Jill. Przyznała uczciwie przed
samą sobą, że drobniotkie kobietki nie są w typie Burke'a
Rawlinsa. Nie chciała jednak posunąć się na tyle daleko
w tej szczerości, by spytać, czemu ten fakt wywołał przy-
kre uczucie zawodu.

Nazajutrz wstał piękny, pogodny dzień, wspaniałe preludium do mającego nastąpić weekendu. W gabinetach Rawlins, Rawlins, Nugent and Carson wszyscy pracowali z zapałem, któremu przyświecała myśl: „Dzięki Bogu, już piątek”. Dotyczyło to również Jill i Burke'a, których rozgrzewała dodatkowo sprawa Strokerów. Burke, niczym prawdziwy pracoholik, zaszył się w swoim gabinecie jeszcze przed przyjazdem Jill, dołączyła więc do

niego i pracowali tam bez przerwy aż do lunchu. Zjedli w błyskawicznym tempie kanapki kupione w pobliskich delikatesach i wrócili do pracy, którą kontynuowali do za piętnaście czwarta, kiedy to zadzwoniła Mary, by zaprosić Jill na kolację w sobotę wieczorem. Jill zgodziła się chętnie, postanawiając poczekać do tego czasu z ogłoszeniem nowiny o sprawie Strokerów. Powiedziała tylko siostrze, że ma dla niej niespodziankę. Gdy skończyła rozmowę, wzięli się z Burke'em z powrotem do pracy.

- Głodna?

Jill spojrzała na niego znad sterty papierów - litery zaczynały skakać przed jej zmęczonymi oczami.

- Która godzina? - spytała.

Burke spojrzał na złoty zegarek. Był bez marynarki, zrolowane rękawy białej koszuli odsłaniały ciemne owłosienie na rękach, rozluźniony krawat zwiślał niczym pętla.

- Za pięć siódma. Zamówimy znów coś w delikatesach czy masz już dość na dzisiaj?

- A co ty chcesz robić?

- Pewnie jeszcze trochę popracuję, ale...

- *Pastrami* z ryżem - przerwała mu Jill.

Burke uśmiechnął się lekko i sięgnął po telefon. Jill skorzystała z okazji, by zsunąć ze stóp ciasne pantofelki na wysokich obcasach, które nosiła przez cały dzień. Rozprostowała palce i podkuliła nogi pod siebie, moszcząc się wygodnie w skórzanym fotelu. W czarnej lnianej sukience z białym koronkowym kołnierzykiem, przypominającym śliniak, z burzą rudawozłotych włosów, opadających na ramiona, przypominała kotkę po całodniowym polowaniu na myszy.

- Wyglądasz na zmęczoną - powiedział Burke odkładając słuchawkę i masując dłońmi spięte mięśnie karku.

- Ty również. - Szczypały ją oczy, podrażnione soczewkami kontaktowymi.

- Jestem trochę zmęczony, ale to wspaniałe uczucie móc znów pracować. Szczerze mówiąc, wdrożenie się do pracy poszło mi znacznie łatwiej, niż się spodziewałem. To trochę tak, jak wskoczyć w stare dżinsy.

Jego oczy uśmiechnęły się przy tym ostatnim stwierdzeniu, Jill zaś zdała sobie sprawę, że nigdy nie widziała Burke'a w dżinsach. Pomyślała z roztargnieniem, iż zapewne musi w nich wyglądać rewelacyjnie, zwłaszcza teraz, gdy ciągłe bieganie tak doskonale uformowało mięśnie jego nóg. Ta myśl wydała jej się nagle niestosowna, zbyt osobista jak na ich bezosobowe stosunki.

- Czy delikatesy dostarczą nam zamówienie, czy też mamy je odebrać sami? - spytała, by pokryć zmieszanie.

- Dostarczą je przed dziewiątą. - Burke zmarszczył nagle brwi. - Mam nadzieję, że nic się nie zmieniło i budynku nadal pilnuje portier, który ich wpuści.

Skinęła twierdząco głową.

- To świetnie - odpowiedział Burke, po czym zmienił temat. Chciał coś jeszcze sprawdzić w związku ze zbliżającą się sprawą Stroker kontra Stroker. Nagle przerwał w pół zdania. - Nie nosisz okularów!

Jill, która właśnie sprawdzała zeznanie, spojrzała na niego zaskoczona.

- Od wczoraj próbuję dojść, co się w tobie zmieniło.
- To pytanie rzeczywiście go nurtowało, przychodząc mu

na myśl w najdziwniejszych chwilach, czasami nawet w ferworze pracy.

- Kontakty.

Patrzył na nią nie rozumiejącym wzrokiem.

- Noszę szkła kontaktowe.

- Och.

- Sprawiałam je sobie mniej więcej rok temu.

- Dlaczego? - spytał po chwili milczenia.

- Dlaczego?

- Tak. A więc?

- Krótko mówiąc, Rawlins, z próżności.

- Próżności?

- P-r-ó-ż-n-o-ś-c-i. Wiesz, to taka cecha, którą kobiety posiadają w nadmiarze.

- Ale ty zawsze wyglądałaś w okularach tak... inteligentnie.

- No właśnie. Czy nie wiesz, że wszystkie kobiety w moim wieku próbują usidlić mężczyznę? Mam trzydzieści cztery lata i cała ta sytuacja zaczyna doprowadzać mnie do rozpacz. Mężczyźni nie interesują się inteligentnymi kobietami. Podobają im się atrakcyjne, seksowne. Liczy się wygląd. Okulary nie przydają urody. A wiadomo, że przy moim wroście i piegowanej twarzy muszę uciekać się do różnych sztuczek - kpiła sobie. Ale czy naprawdę kpiła? Przypomniała sobie uczucie, jakie ogarnęło ją w pustym łóżku. Czy już rok temu podświadomie przeczuwała to, co teraz dotarło do niej z całą otwartością? Czy miała nadzieję, że szkła kontaktowe zwiększą jej szanse znalezienia partnera?

- Masz pełne prawo popadać w rozpacz - uśmiechnął

się Burke. - Mój Boże, trzydzieści cztery lata! - Wymówił tę liczbę z udawanym przerażeniem. - Tak, masz absolutną rację. Mężczyźni zwracają uwagę wyłącznie na wygląd, podobają im się kobiety atrakcyjne, seksowne. A ty jesteś brzydula w okularach. Małą piegowatą brzydula.

- Dzięki, przyjacielu - wykrzyknęła Jill, ciskając w niego długopisem w żartobliwym odwecie. Burke schwycił go w locie.

- Niektórych mężczyzn podnieca inteligencja, Jill. - Burke Rawlins był jedyną osobą, której przyznała się kiedyś, że chciałaby nieco spiłować swój iloraz inteligencji - który wyrastał znacznie ponad przeciętność - i nadsztukować nim wzrost. - Niezależnie od tego, w co jest opakowana - dodał znacząco.

Jego uwaga wprawiła Jill w zakłopotanie, które wpływało z faktu, że czuła nieprzepartą chęć, by spytać go, czy należy do takich właśnie mężczyzn. Pytanie to wykraczało poza łączące ich stosunki. A może zaniepokoił ją fakt, że pragnęła gorąco, by odpowiedź brzmiała: „tak”?

Milczenie przedłużało się. Jill czuła się coraz bardziej nieswojo.

Nagle odezwał się brzęczyk telefonu.

Jill popatrzyła na aparat jak na swego wybawcę.

Dzwonił portier, by sprawdzić, czy zamawiali coś z delikatesów. Po paru minutach Jill i Burke jedli kanapki, które miały opinię najlepszych w mieście, popijając je kawą, która miała opinię najgorszej w mieście. Była tak niesmaczna, że nikt w kancelarii nie chciał się przyznać do tego, iż to on ją parzy. Zdawała się pojawiać znikąd.

W trakcie jedzenia Jill doszła do wniosku, że jej niedawne złe samopoczucie było wynikiem długiego, męczącego dnia. Co z tego, że kusiło ją, by spytać Burke'a, czy podziwia u kobiet inteligencję? Przecież to nic nie znaczyło. Absolutnie nic. Zwykła rozmowa przyjaciół.

Posiliwszy się trochę, zabrali się z powrotem do pracy. Tuż po dziewiątej Jill nagle się poddała.

- Matko jedyna! - zawołała, zrzucając dokumenty z kolan na biurko Burke'a i sięgając po torebkę. - Muszę wyjąć te przekłete kontakty, w przeciwnym razie oszaleję. Albo oślepnę. - Jej oczy przypominały mapę samochodową z czerwonymi nitkami dróg.

- Podrażniają ci oczy?

- Jeśli noszę je tak długo, bez przerwy, stają się bardzo dokuczliwe.

Gdy grzebała w torebce, szukając pojemnika na soczewki, Burke wstał z fotela i podszedł do okna, mrużąc pod nosem jakąś złośliwą uwagę na temat próżności. Stanąwszy przy nim z jedną ręką w kieszeni, drugą usiłował rozmasować zdrętwiałe mięśnie karku. Spoglądał na rozciągające się w dole miasto. Reflektory samochodów zdawały się przesyłać bezgłośnie sygnały tajnym szyfrem. Przywołały mu na pamięć inne reflektory, które wyrzuciły się z mroku i zmieniły jego życie. Wciąż słyszał pisk hamulców swego samochodu, czuł swąd przegrzanej gumy. Pamiętał, jak stracił panowanie nad samochodem, jak ogarnęła go straszliwa panika. Słyszał łoskot gruchotanego metalu.

Jill obserwowała go przez okulary w szylkretowej

oprawce. Intuicyjnie wyczuwała mroczne myśli, które go znów nawiedziły.

- Nigdy ci nie powiedziałam, jak bardzo mi przykro z powodu... - wymówiła szeptem.

Spojrzał na nią przez ramię. Ich oczy się spotkały i Burke zrozumiał, że Jill prawdopodobnie wie doskonale, o czym on myśli. Poza tym zauważył, iż naprawdę wygląda inteligentnie w okularach. I jest jej w nich do twarzy. Ostatniego spostrzeżenia dokonał mimochodem, poruszony jej ostatnią uwagą.

- Nicole? - odpowiedział. Po raz pierwszy od osiemnastu miesięcy wymówił na głos imię zmarłej żony. Zdumiało go, że nie było to tak trudne, jak się spodziewał.

Jill skinęła głową.

- Tak. - Wstała powoli z fotela i zostawiwszy pantofle tam, gdzie je zrzuciła, podeszła do Burke'a. - Najpierw panował straszliwy chaos, potem wyjechałeś z Bostonu...

- Znowu nie dokończyła zdania. - Próbowałam później... napisać... do ciebie, ale wciąż wydawało mi się, że nie nadszedł jeszcze właściwy czas. Chyba nie wiedziałam, co ci powiedzieć.

- Powinnaś była. To znaczy, napisać. Ucieszyłbym się z listu od ciebie. - Uśmiechnął się łagodnie i ze smutkiem.

- Zawsze umiałaś podnieść mnie na duchu.

- A więc powinnam była napisać. Przepraszam. - Jego słowa wzruszyły ją i jednocześnie sprawiły jej przyjemność. Poczuła miłe ciepło wokół serca i uświadomiła sobie, jak szczęśliwą kobietą musiała być Nicole Rawlins. Ze względu na Burke'a miała nadzieję, że i ona zdawała sobie z tego sprawę.

Stali tak obok siebie, spoglądając w mrok. Jill z rękami w kieszeniach czarnej sukni i Burke z rękami w kieszeniach spodni mogliby służyć artyście jako inspiracja do posagu kobiety i mężczyzny, pogrążonych w kontemplacji.

- Początkowo byłem bliski kompletnej utraty zmysłów - powiedział do siebie, do niej, do nikogo. - Myślałem, że umrę. Potem zaś, gdy się tak nie stało i zrozumiałem, iż będę żył, że tak łatwo się z tego nie wywinę, wtedy naprawdę mi odbiło. Zacząłem pić. - Wziął głęboki oddech i powoli wypuścił powietrze. - Nie mogłem jednak upić się do tego stopnia, by zapomnieć.

Pochyliła ku niemu głowę, uświadamiając sobie, że o takiej właśnie miłości marzyła przez całe życie.

- Wtedy zaczęłaś biegać?

Spojrzał na nią. Nawet nie przyszło mu na myśl, by spytać ją, skąd wie o jego „sportowych” wyczynach.

- Tak.

- Pomogło?

- Przeżyłem i jestem w miarę normalny. Przypuszczam, że zawdzięczam to bieganiu. - Sam nie wiedząc czemu, odkrył przed nią nagle najgłębsze tajniki swojej duszy. - Najgorsze były noce. Jest coś takiego w nocnym smutku, że potrafi rzucić na kolana nawet najsilniejszego mężczyznę.

Serce Jill ścisnęło się na te słowa.

- Tak mi przykro - wyszeptała. Miała na myśli zarówno tragicznie niesprawiedliwą śmierć Nicole Rawlins, jak i fakt, że życie mogło być na tyle okrutne, by rzucić na kolana tak silnego, tak wspaniałego mężczyznę jak Burke.

Popatrzyli na siebie bez odrobiny zakłopotania.

Jej oczy są pełne współczucia, pomyślał Burke. Nie litości, jak u wielu osób, lecz współczucia i zrozumienia. Troski. I są tak niebieskie jak jajeczka drozda, jak pogodne niebo. Aż dech zapiera.

Jego oczy są pełne cierpienia, pomyślała Jill. Jak gdyby musiał walczyć ze zbyt wieloma nieprzyjawnymi mocami. Jednakże stalowy błysk w zielonych głębiach świadczył o tym, że w ostatecznym rozrachunku to nie moce wyszły z tej walki zwycięsko.

Filigranowa, przemknęło przez myśl Burke'owi. Nie zdawał sobie sprawy, jak bardzo jest niska. Może wydawała się taka malutka, ponieważ zdjęła pantofle?

Jest taki wysoki. Czemu do tej pory nie zwróciła na to uwagi? Może uderzyło ją to teraz, ponieważ stoi obok niego bez pantofelków?

Wygląda na zmęczoną. Jak gdyby potrzebowała kogoś, mężczyzny, który zamknałby ją w ramionach.

Wygląda na zmęczonego. Fizycznie. Psychicznie. Nagle zapragnęła objąć go w pasie ramionami, przytulić policzek do szerokiej piersi i zapewnić go, że wszystko będzie dobrze.

Czar prysł dla obojga w tej samej chwili. Jill cofnęła się o krok, strofując się w myśli. Co też, u licha, przychodzi jej do głowy!

- Myślę, że na dzisiaj wystarczy - powiedziała jednocześnie z jego:

- No, zwijajmy interes.

Uśmiechnęli się oboje. Burke wyjął ręce z kieszeni. Jill wyjęła ręce z kieszeni. Podeszła do fotela i włożyła panto-

fle. Burke opuścił rękawy koszuli i włożył marynarkę. Po chwili szli korytarzem w kierunku windy. Zjechali szybko na dół i przeszli przez główny hol. Ich kroki odbijały się echem w pustym budynku.

- To mój pierwszy weekend po powrocie do cywilizowanego świata - zauważył Burke, przerywając milczenie.

Jill dosłyszała w jego głosie niepewność, być może nawet odrobinę strachu.

- Posłuchaj - powiedziała - moja siostra zaprosiła mnie jutro na kolację. Może miałbyś ochotę pójść ze mną. Mary nie będzie miała nic przeciwko temu.

- Nie, dziękuję - odparł bez wahania Burke. - Myślę, że zwierzę wciąż jest zbyt dzikie, by je wyprowadzać.

- Moja siostra uczy w pierwszej klasie - rzekła Jill z błyskiem w oku. - Myślę, że oswoiłaby cię w ciągu paru minut.

- Pewnie masz rację - uśmiechnął się Burke - mimo to jednak muszę odmówić. Ale bardzo dziękuję za zaproszenie. To naprawdę miłe z twojej strony.

- Zawsze możesz na mnie liczyć.

Pożegnali się w drzwiach z portierem, który otworzył im drzwi. Owionęło ich chłodne marcowe powietrze. Burke podniósł kołnierz marynarki, Jill otuliła się szczelniej lekkim płaszczkiem, który narzuciła na sukienkę.

- Może cię podwieźć? - spytała, wskazując gestem głowy zaparkowany nie opodal samochód. Zawsze zostawiała go w podziemnym garażu, ale recepcjonista, który kończył pracę o siódmej, wyprowadzał go na zewnątrz, jeśli pracowała do późna. Doceniała tę troskę o jej bezpieczeństwo i wygodę.

- Dziękuję, ale wynająłem mieszkanie w Prudential Centre.

Jill podejrzewała, że wybrał ten punkt ze względu na bliską odległość do pracy. A więc pogłoski na temat jego niechęci do prowadzenia samochodu są najwyraźniej prawdziwe.

- Muszę się przejść - dodał.

- Czy raczej przebiec?

Podniósł go góry teczkę.

- Z tym? Chyba żartujesz! - Na bieganie przyjdzie z pewnością czas później, pomyślał, gdy ściany mieszkania zaczną na niego napierać. Gdy znów runie na niego z impetem przeszłość.

- Wobec tego, dobranoc - powiedziała Jill.

- Dobranoc.

- Do zobaczenia w poniedziałek.

- Tak.

Począł dopóki nie otworzyła drzwi samochodu. Odszedł na niewielką odległość, po czym odwrócił się i zawołał:

- Hej, McClain!

Spojrzała na niego pytająco, z jedną nogą w samochodzie.

- Podobają mi się twoje okulary.

Płynęły sekundy. Serce Jill biło dziwnym rytmem. Postanowiła to zignorować.

- Tak, wiem - zawołała w końcu. - Wyglądam w nich inteligentnie.

Wiedziała, że Burke się uśmiecha, czuła płynącą od niego falę ciepła. Potem równie niespodziewanie, jak się odezwał, odwrócił się i ruszył w noc. Jill obserwowała

oddalającego się mężczyznę. Samotny facet pochłonięty samotną misją przetrwania. Chciała go zawołać, ale zrezygnowała, ponieważ sama nie wiedziała, co powiedzieć. Usiadła za kierownicą, włączyła silnik i zjechała z krawężnika.

Właściwie czuła się równie samotna jak Burke i choć nie cierpiała po stracie kogoś bliskiego, smucił ją sam fakt, że nie miała dotąd ukochanego, po którym mogłaby rozpaczać.

- Co to za niespodzianka?

- Zaraz, zaraz, może się najpierw przywitasz? - droczyła się z siostrą Jill, wchodząc nazajutrz wieczorem do salonu w niedużym, skromnym domku z jasnego drewna. - A skoro już mówimy o niespodziankach, to zdaje się, że ty też masz jedną dla mnie - dodała, rzucając torebkę na kwiecistą kanapę i stawiając butelkę wina na bufecie w kuchni. - Ponieważ Mary popatrzyła na nią ze zdziwieniem, wyjaśniła: - Mówię o napisie „Sprzedane” na tablicy przed domem.

- Ach, tak - powiedziała Mary gardłowym głosem, który jej narzeczony porównywał do głosu przeziębionej June Allyson. Za każdym razem, gdy to mówił, młodsza od nich Jill udawała kompletną ignorancję i pytała: „Kim jest June Allyson?”. - Wczoraj po południu był u mnie pośrednik z wiadomością, że najprawdopodobniej mamy kupca na dom. Małżeństwo z Ballard Vale.

- To właściwe - powiedziała Jill, myśląc o małym miasteczku Shawsheen, kilkanaście kilometrów od Ballard

Vale. Mieszkały tam aż do śmierci rodziców. W kilka tygodni później przeniosły się do Bostonu. Dopiero będąc dorosłą kobietą Jill zrozumiała, jaką odwagą wykazała się Mary, która przez całe życie mieszkała w małym mieście, podejmując tę decyzję.

- Tak, myślę, że to właściwe - uśmiechnęła się Mary.

- Dlaczego zdecydowałaś, że przeniesiemy się z Shawsheen do Bostonu? - spytała Jill, jak gdyby tylko czekała na ten moment, żeby zadać nurtujące ją od dawna pytanie.

Uśmiech zniknął z twarzy Mary, weszła do kuchni i zajęła się skrobaniem marchwi pod bieżącą wodą.

- Ponieważ nie chciałam, żebyś miała małomiasteczkową mentalność.

Jill poszła za siostrą, wzięła plasterek marchwi i wrzuciła go do ust.

- To znaczy, jaką?

- Nie potrafiłabyś wybaczać. Byłabyś fałszywa. To następstwo ciasnych horyzontów. Pragnęłam, żebyś poznała życie, więcej ludzi. Nie chciałam, żebyś czuła się ograniczona.

Jill zmarszczyła brwi, słysząc zasadniczy ton siostry.

- Czułaś się tak bardzo ograniczona w Shawsheen?

Mary spojrzała na nią przez ramię i roześmiała się krótko, nienaturalnie.

- Jasne, że nie. Po prostu spytałaś mnie o powód przeprowadzki, więc ci odpowiedziałam. Poza tym - dodała, starając się jak najszybciej zmienić temat - postawiłam sobie za cel, że będziesz uczęszczała do szkoły o bardziej postępowym systemie nauczania. Przy twoim ilorazie inteligencji zależało mi, żebyś otrzymała jak najlepsze wy-

kształcenie. - W piwnych oczach Mary McClain zatańczyły wesołe iskierki, będące w sprzeczności z poprzednią powagą. - Chciałam, żebyś studiowała na uczelni prawniczej, została bogatą i sławną adwokatką po to, bym mogła pożyczać od ciebie pieniądze. Zostawisz te marchewki? - ofuknęła siostrę, chwytając ją za rękę.

- Już widzę, jak pożyczasz pieniądze! Myślę, że nie muszę pytać, co jest na kolację - powiedziała Jill, wiedząc, że bez wątpienia będzie to jej ulubione danie - pieczeń wołowa z ziemniakami i marchewką, a na deser ciasto bananowo-orzechowe.

- Owszem, nie musisz.

- Kiedy się przeprowadzasz? - spytała Jill, przetrząsając szufladę w poszukiwaniu korkociagu.

- Zastrzegłam pośrednikowi, że raczej nie będę mogła się przeprowadzić przed ślubem.

- Staroświecka cnotka - nieodparcie nasuwa ją mi się te dwa słowa! Czy nigdy nie przyszło pani na myśl, panno Nieprzystosowana z dwudziestego wieku, żeby po prostu zamieszkać z Robem przed ślubem? Gdzie jest korkociąg? I, na miłość boską, przestań się czerwienić.

- Nie jestem staroświecka - w górnej szufladzie - i będę się czerwienić, kiedy zechcę. - I rzeczywiście to właśnie robiła. Lekki rumieniec wypłynął na jej twarz, ledwie musniętą makijażem. Z krótko ostrzyżonymi ciemnobrązowymi włosami, ogromnymi piwnymi oczyma i rumieńcem zakłopotania na twarzy, wyglądała przy swojej pięćdziesiątce młodziej od Jill. Jill często myślała, że to wrodzona naiwność siostry jest przyczyną jej młodego wyglądu, jej

niepodatności na czas. A może była to „wina” piegów, rozsianych na twarzy dużo gęściej niż u Jill.

Obie kobiety droczyły się ze sobą żartobliwie, jak to miały w zwyczaju, gdy spędzały razem czas. Nagle Mary cisnęła w siostrę kuchenną ściereczką.

- Ach, ty! Celowo próbujesz mnie zaszokować!

- Przecież sama chciałaś, żebym nie czuła się ograniczona - odgryzła się Jill, uchylając się przed ściereczką, która wylądowała na nieskazitelnie czystej, starej paterze na owoce, należącej jeszcze do ich matki. - Zabrałaś mnie nawet w tym celu z Shawsheen.

- Może powinniśmy były zostać tam nieco dłużej.

Znalazłszy korkociąg, Jill usiadła na jednym z czterech wysokich stołków stojących przy drewnianym bufecie i otworzyła wino.

- A gdzie to się podziewa facet, do którego nie chcesz się wprowadzić bez oficjalnego błogosławieństwa?

- Poszedł do sklepu po sałatę, bo okazało się, że ta, którą mam w domu, już przywiedła. - Mary ułożyła marchew wokół pieczeni i przykryła z powrotem garnek, po czym usiadła na stołku obok Jill, dotykając kolanem kolana siostry. Obie miały na sobie jednakowe dzinsy i jednakowe niebieskie adidasy. - Zaraz wróci. Powiedz mi w końcu, co to za niespodzianka?

Jill nalała białego wina do dwóch kieliszków.

- To coś zupełnie ekstra.

- Pozwól mi to osądzić. To ty mi powiedziałaś, że nowy fryzjer jest ekstra.

- A nie jest?

- To maniak na punkcie nożyczek. Przyjrzyj się temu.
- Mary przejechała palcami po włosach w taki sposób, że musiałyby je potargać, gdyby nie były tak bardzo krótkie. Podobne rozmowy miały już miejsce kilkakrotnie w ciągu ostatnich dwóch tygodni, toteż obie strony dobrze znały swoje kwestie.

- Fryzura jest naprawdę świetna, Mary. Bardzo modna. I nowoczesna.

- Bardzo krótka - nie dawała za wygraną Mary.

- Robowi się podoba. - Jill przechyliła szalę na swoją stronę.

- Tak to bywa, gdy człowiek pozwoli kobiecie, która nigdy nie obcina włosów, doradzić...

- Właśnie że je podstrzygam - przerwała jej Jill, odrzucając na plecy rdzawozłote loki, podpięte z jednej strony modną klamrą.

- .. z usług którego fryzjera skorzystać.

- Chcesz usłyszeć moją niespodziankę?

- Jasne, że tak. Uprzedzam cię - lepiej niech będzie bardziej ekstra od tej ostatniej.

- Jest, jest, możesz mi zaufać. - Na ustach Jill pojawił się uśmiech, będący wyrazem jej zadowolenia z siebie.

- Przydzielono mi sprawę Strokerów.

Zapadła chwila ciszy. Dłoń Mary zastygła na szklanym dzbanku.

- Sprawę Strokerów? Czy to w niej chodzi o... nieślubne dziecko?

- To znacznie bardziej skomplikowane, ale owszem, jest tam i nieślubne dziecko. - Jill zapaliła się jak zwykle,

jej niebieskie oczy błyszczały z podniecenia. - Och, Mary, każdy prawnik w mieście oddałby wszystko za tę sprawę. Zostaną stworzone nowe precedensy, zastosowane prawdopodobnie nowe podejście do praw kobiet. Chodzi w dodatku o rozwód bardzo bogatej pary, w grę wchodzi ogromne pieniądze. Mówimy o starym majątku z Louisburg Square - powiedziała z typową dla bostończyków afektacją. - Dodatkowo smaczku całej sprawie dodaje fakt, że pani Stroker oskarża męża o psychiczne i fizyczne maltretowanie. Twierdzi, że pięciokrotnie w ciągu sześciu lat małżeństwa zmusił ją do zajścia w ciążę, uciekając się nawet do gwałtu. Za każdym razem dochodziło do poronienia. Pani Stroker utrzymuje, że mąż ma obsesję na punkcie posiadania spadkobiercy - którego ona nie mogła mu dać. W sprawie występuje też służąca z czteroletnim dzieckiem, a jego ojcem jest podobno pan Stroker. To nies... - Przerwała, widząc, że Mary nie podziela jej entuzjazmu. Prawdę mówiąc, miała raczej ponurą minę. - Myślałam, że się ucieszysz.

Jej pełne wyrzutu słowa podziały na siostrę niczym mocna kawa na pijanego.

- Och, kochanie, cieszę się - powiedziała Mary, ujmując dłonie Jill. - Oczywiście, że się cieszę. Czemu miałyby być inaczej?

- Nie wiem, ale wydajesz się... - Jill nie potrafiła znaleźć właściwego słowa. Może zdenerwowana to zbyt mocne określenie, ale uczucia odzwierciedlające się na twarzy siostry należały z pewnością do negatywnych. Zaniepokojona? Tak, Mary wyglądała na zaniepokojoną wzmianką o sprawie Strokerów.

- Jestem z ciebie po prostu niesamowicie dumna - wyjaśniła szybko Mary. - Zaskoczyło mnie tylko, że sprawa, o której jest tak głośno, przypadła właśnie tobie. Zwykle niewiele wiem o twojej pracy.

Uczciwe brązowe oczy patrzyły na Jill tak przekonująco, że doszła do wniosku, iż była to tylko gra jej wyobraźni. Czemu Mary miałyby niepokoić się sprawą Strokerów, skoro w żaden sposób jej nie dotyczyła? Z pewnością natomiast miała prawo dziwić się, że została przydzielona jej młodszej siostrze.

- Pracujemy nad tą sprawą razem z Burke'em Rawlinsem - oznajmiła Jill. W jej głosie znów brzmiała radość.

- To Burke wrócił?

- Tak - odrzekła Jill z uśmiechem. - Dwa dni temu.

- Jak się miewa?

- Lepiej, niż mu się wydaje. I wygląda wspaniale. Opalony, świeżo ostrzyżony. - Jill upiła łyk wina. - Próbowałam go namówić, żeby przyszedł tu ze mną dziś wieczorem.

- Powinien był. - Szczerłość jej reakcji nie pozostawiała żadnej wątpliwości. Choć Mary nie знаła Burke'a osobiście, jego tragedia bardzo ją poruszyła.

- Nie sędzę, żeby był już gotów udzielać się na spotkaniach towarzyskich - wzruszyła ramionami Jill. Podniosła znów kieliszek do ust, zastanawiając się, co też może w tej chwili robić Burke. Je? Biega? A może siedzi w czterech ścianach pustego mieszkania ze wzrokiem wlepionym w sufit? Ostatnia myśl wywołała w niej absurdalną chęć pocieszenia go. Natychmiast jednak sama ochłodziła swoje zapędy, tłumacząc sobie, iż on zapewne wcale tego nie

potrzebuje, że to ona osiągnęła w życiu pewien etap, w którym pragnie być potrzebna nie jako prawniczka klientowi, lecz jako kobieta mężczyźnie.

Zazgrzytał klucz w zamku, przerywając te niezbyt wesole myśli.

- No, jesteś wreszcie - powitała Jill swego przyszłego szwagra.

Rob Sheffield miał pięćdziesiąt jeden lat, metr osiemdziesiąt sześć wzrostu, wypłowiałe na słońcu jasne włosy, które kręciły mu się niezależnie od tego, jak krótko były ostrzyżone, i ciemnobrązowe, wiecznie śmiejące się oczy. Od dziesięciu lat był rozwiedziony, od dwudziestu trzech pracował jako inżynier chemik, a od trzynastu miesięcy znajdował się na prowadzonej przez Jill liście najsympatyczniejszych mężczyzn, jakich kiedykolwiek spotkała. Umieściła go na tej liście po trzydziestu sekundach znajomości i to z wielu przyczyn, z których na plan pierwszy wysuwała się jego szalona, nieprzytomna, niezaprzeczalna miłość do Mary McClain.

- Hej, witaj, Błękitnooka! - Przechodząc z zakupami obok Mary, musnął jej wargi pocałunkiem. - Cześć, kochanie.

- Cześć - odpowiedziała Mary, wstając ze stołka i podchodząc do dzwoniącego telefonu.

- Jak się masz? - spytał Rob, miażdżąc Jill w niedźwiedzim uścisku swych muskularnych ramion.

- Świetnie - powiedziała, obejmując go w pasie. Pomyślała, że Rob jest wysoki, nie tak jednak jak Burke. Gdyby objęła w ten sposób Burke'a, jej głowa znalazłaby się sporo

poniżej jego brody. I ramiona miał chyba dużo szersze. Chyba... Następne słowa Roba przerwały jej rozmyślenia.

- Co tam słyszać w prawniczym świecie?
- Fantastycznie. Pracuję nad sprawą Strokerów.

Oczy Roba zabłysły.

- Czy to o niej jest tak głośno ostatnimi czasy?
- Tak - odrzekła z dumą Jill.
- Moje gratulacje.
- Dzięki. - Jego zachowanie potwierdziło przypuszczenie Jill, że myliła się w ocenie pierwszej reakcji siostry na nowinę.

Uwagę Roba odwróciło od Jill pojawienie się z powrotem w kuchni jej siostry, która poprawiała kolczyk w uchu.

- Kto to był, kochanie?
- Pomyłka - wzruszyła ramionami Mary. Wzięła torbę z zakupami i spytała: - Czy któreś z was potrafi przyrządzić sałatkę?

- Czy nie sądzisz, że ktoś właśnie szarga naszą kulinarną reputację? - spytał Rob z obrażoną miną, patrząc na Jill.

- W pełni się zgadzam - powiedziała Jill ponurym głosem.

- Czy potrafimy przyrządzić sałatkę? - odwrócił się Rob do swej narzeczonej. - Czy potrafimy przyrządzić sałatkę? - Spojrzał ponownie na Jill i powtórzył z miną, która wywołała radosny uśmiech na jej twarzy: - Czy potrafimy przyrządzić sałatkę?

Jill bezskutecznie usiłowała zrobić poważną minę.

- Oczywiście, że potrafimy.
- Oczywiście, że potrafimy - potwierdził jeszcze raz

Rob i sięgnął do torby. Wyciągnął stamtąd dwa owoce awokado, które rzucił bez ostrzeżenia Jill. Schwytała oba. Następnie wyjął sałatę, którą trzymał w ręku niczym piłkę futbolową, przymierzając się do rzutu. - Sheffield - zawołał, udając sprawozdawcę sportowego - wykonuje długie podanie do McClain. - Sałata poszybowała w powietrzu wysokim łukiem. - Piłka leci prosto ku zręcznym dłoniom McClain, które podobno zostały ubezpieczone na sumę jednego dolara dziewięćdziesięciu pięciu centów. Uwaga, kibice, wygląda na to, że będzie... - Jill schwytała sałatę, nim zdążyła stracić butelkę z winem. Oboje wykrzywili się komicznie. - Rzut obroniony!

Mary chrząknęła znacząco.

Popatrzyli z minami winowajców w kierunku tego dźwięku. Jill powoli opuściła ręce, Rob zaś spytał, prowokując nowy atak śmiechu obu kobiet:

- Hej, trenerze, czy potrafi pan przyrządzić sałatę?

Dwadzieścia minut później sałata była gotowa. W tej samej chwili zadzwonił ponownie telefon.

- Odbiorę, wy zaś tymczasem podziwiajcie swoje dzieło - powiedziała Mary, zdejmując machinalnie kolczyk.

- Myślę, że kompozycja jest interesująca - oznajmił Rob, wchodząc natychmiast w rolę krytyka sztuki.

- Zdecydowanie - potwierdziła Jill, spoglądając na miskę pełną kolorowych jarzyn. - Czy nie sądzi pan, że wizja artysty jest ostrą ripostą na wątpliwości niedowiarków, którzy pytali: „Czy potrafi pan przyrządzić sałatę?”.

- W pełni się zgadzam, pani doktor McClain. To subtelne, a jednocześnie niezwykle odważne dzieło stanowi

wyznanie pewności siebie. Zdaje się mówić, że nie tylko potrafię przyrządzić sałatę, w dodatku jest to cholernie dobra sałata.

- Całkowicie podzielam pański sąd. Ja... - Spojrzenie Jill powędrowało ku pobladłej twarzy siostry. - Mary?

Rob odwrócił się szybko ku narzeczonej.

- Mary? - powtórzyła Jill.

Dźwięk własnego imienia zdawał się budzić Mary z jakiegoś koszmarnego snu. Trzymała wciąż kurczowo słuchawkę przyciśniętą do ucha.

- Słucham? - wyszeptała, patrząc nieprzytomnie na siostrę.

- Co się stało? - spytała Jill, instynktownie postępując krok w jej kierunku. Rob za nią.

- Nic, nic - odpowiedziała Mary, budząc się z odrętwienia i rzucając słuchawkę na widełki, jak gdyby plastik parzył ją w palce. Ręka drżała jej lekko. - To kolejna pomyłka. Cóż, jeśli skończyliście już zachwycać się swoim dziełem, może zabierzemy się do jedzenia?

Rob chwycił ją za ramię i odwrócił twarzą do siebie. Ich oczy się spotkały.

- Jesteś pewna, że się dobrze czujesz?

- Jasne, że tak - odrzekła Mary bez drgnienia powieki, odwróciła się jednak szybko i podniosła pokrywkę garnka.

- Jill, postaw sałatę na stole. Rob, nalej nam wina.

Posiłek przebiegał w normalnej atmosferze. Mary jadła, rozmawiała, nawet śmiała się we właściwych momentach. Wznosili toasty za powodzenie Jill w pracy, Mary wydawała się szczerze uradowana, że siostrze przypadła

w udziale tak prestiżowa sprawa, planowała wspólną kolację w przyszłą sobotę. Raz czy dwa Jill przyłapała Roba na tym, że przygląda się podejrzliwie Mary, jak gdyby próbował upewnić się, że wcześniejsze dziwne zachowanie narzeczonej było wytworem jego wyobraźni. Robiła zresztą dokładnie to samo.

- Muszę już iść - oświadczyła na krótko przed dziesiątą. Wstała z kanapy i sięgnęła po torebkę. - Wiem, że nie możecie się doczekać, kiedy wreszcie zostanieie sami.

Mary nie zareagowała, jak zwykle rumieńcem i pomrukiem oburzenia.

- Myślałem, że już nigdy sobie nie pójdziesz - podjął rękawicę Rob, obejmując czule przyszłą żonę.

Zachowanie Mary w dalszym ciągu odbiegało od normy - nie uszło to uwagi Jill, podobnie jak fakt, że siostra wyglądała na całkowicie pochłoniętą audycją, którą oglądali w telewizji.

- Naprawdę nic ci nie dolega? - spytała ponownie od drzwi.

- Nie, nie - odpowiedziała Mary ze słabym uśmiechem. - Po prostu chyba bierze mnie grypa. Grasuje ostatnio w naszej szkole.

W powietrzu starły się dwa spojrzenia - jedno podejrzliwe, drugie uspokajające.

- Uważaj na siebie - rzekła w końcu Jill, po czym popatrzyła na mężczyznę, który stał za Mary, obejmując ją w tali i przytulając do siebie. - Albo jeszcze lepiej, ty na nią uważaj.

- Możesz na mnie liczyć. Dobranoc.

Wymienili pożegnalne pocałunki i Jill zbiegła do samochodu.

- Pa - zawołała, otwierając drzwi.

- Pa - odpowiedziała Mary, machając ręką na pożegnanie.

Po chwili samochód zniknął za zakrętem.

Rob przyciągnął Mary bliżej do siebie i szepnął jej do ucha:

- Dobrze się czujesz, kochanie?

Mary skinęła twierdząco głową i wtuliła się mocniej w jego ramiona. W mroku nie zauważył łyzy, która stoczyła się z wolna po jej policzku.

Wzdychając głęboko, Burke przesunął wierzchem dłoni po zamkniętych oczach. Pomyślał po raz setny z kolei, że powinien był przyjąć zaproszenie Jill na kolację w domu jej siostry. Gdyby przewidział, jak straszliwie będzie mu się dłużyć pierwsza sobota po powrocie do cywilizowanego świata, skorzystałby z każdej okazji, byle ratować swoje zdrowie psychiczne. W tej chwili przypominało ono cieniutką nitkę, która w każdej chwili groziła pęknięciem.

Burke przekręcił się na bok, odkrywając się do pasa. Przesunął machinalnie dłonią po ciemnych włosach na piersi, przyjął wygodniejszą pozycję. Dotyk czystej gładkiej pościeli, zamiast koić znużone nagie ciało, dziwnie drażnił jego zmysły, przypominając mu, że jest mężczyzną, i to mężczyzną, który od dawna nie miał kobiety. Nie dawało mu spokoju poczucie winy, odpychał od siebie tę myśl, ona jednak wracała jak bumerang.

By odgonić dręczące wyrzuty sumienia, zaczął przypominać sobie, co robił przez cały dzień i stwierdził, że było wręcz fatalnie. Obudził się z góry przerażony perspektywą ciągnącego się bez końca weekendu. Zmusił się, by rozpakować rzeczy, spotkał się na lunchu z ojcem, potem zrobił zakupy w supermarkecie. Jak zwykle przygnębiły go, ponieważ implikowały domową atmosferę, której nie czuł. Właściwie nie miał domu i denerwował go fakt, że musi jeść, że musi wykonywać wszystkie te drobne obowiązki, żeby przeżyć.

Przeżyć.

Znowu to słowo, pomyślał Burke. Ale prawda była taka, że naprawdę chciał przeżyć. Walczył z tym uczuciem, ale instynkt był silniejszy. Odkrył, iż nie potrafi zmienić tego aspektu natury ludzkiej, podobnie jak... mężczyźni nie uda się zwalczyć potrzeb fizycznych.

Ponieważ chciał przeżyć, spędził resztę popołudnia i część wieczoru nad sprawą Strokerów. Potem próbował oglądać telewizję... bezskutecznie. W końcu napierające nań znów ściany mieszkania wyгнаły go na ulicę. Biegł, biegł i biegł, a gdy nogi odmówiły mu posłuszeństwa, wrócił do mieszkania, wziął prysznic i położył się do łóżka. Niestety, sen nie chciał przyjść.

Powinien był przyjąć zaproszenie Jill.

Jill.

Lekki uśmiech przewinał się po jego wargach. Zawsze potrafiła sprowokować go do uśmiechu. Była małą wiązką niepohamowanej energii. Filigranowa... Jest mniejsza, niż zapamiętał. Burke zmienił pozycję, wtulając twarz

w miękką poduszkę. Odetchnął spokojnie, czując, że sen zbliża się coraz bardziej. Powieki mu opadały. Włosy miała płomienne niczym zachodzące słońce. Oczy... kusocielsko błękitne... błękitne... błękitne... Sen spowijał go niczym mgła, aż w końcu w jego myślach powstał kompletny galimatias.

Szkła kontaktowe...

Okulary... okulary... wygląda inteligentnie w okularach...

Jill... Jill... Ji...

Miarowy oddech Burke'a wypełnił pokój. Po raz pierwszy od osiemnastu miesięcy zasnął, myśląc o kimś innym, a nie o zmarłej żonie.

Mary McClain nabawiła się przeziębienia, w związku z czym Jill poczuła ogromną ulgę, wytłumaczyła sobie bowiem, że poniosła ją zbyt bujna wyobraźnia. Sobotnia rozmowa telefoniczna najwyraźniej była rzeczywiście pomyłką. Uspokoiwszy się, mogła poświęcić pełną uwagę sprawie Strokerów. Pracowali z Burke'em w poniedziałek do pierwszej w nocy, po czym oboje udali się do swych domów, by wyciągnąć się na łóżkach, które

pomimo że byli straszliwie zmęczeni, wydawały się zbyt duże i puste.

We wtorek spotkali się znów ze swą klientką Alysią Stroker, kobietą o ogromnej uczciwości, przeciętnej inteligencji i minimalnej urodzie, zachowującą się z ujmującą, niezaprzeczalną godnością. Jill nie była zdziwiona w środę rano, widząc nazwisko tej pani na pierwszej stronie „Boston Herald”, ponieważ należała do eleganckiego świata, zaskoczyło ją natomiast, że jej i Burke'owi, jako adwokatom Alysii Stroker, poświęcono tam również sporo miejsca. Widocznie każdy, kto miał coś wspólnego z tą sprawą, stawał się godny wzmianki.

Gdy Jill przyjechała do pracy tamtego ranka, Burke był bardzo milczący. Pomyślała sobie, iż być może ma to coś wspólnego z faktem, że w artykule wspomniano, choć krótko i taktownie, o wypadku Nicole Rawlins. Nie pytała, a Burke nie przejawiał ochoty, by poruszyć ten temat.

- Tylko mi nie mówcie, że znów zamierzacie pracować do późna - zawołał Andrew Rawlins od drzwi gabinetu Burke'a. Była za piętnaście siódma w środę wieczorem. Dwie pary zmęczonych oczu spojrzały na niego znad dokumentów. Jill zamrużyła powiekami, miała uczucie, że zebrał się pod nimi piasek.

- Cześć, tato. Co tu robisz o tak późnej porze?

- Miałem trochę papierkowej roboty. - Starszy pan wszedł do gabinetu i usiadł w fotelu, obok Jill.

Przyglądała się, jak siada i zakłada nogę na nogę z wytworną elegancją. Prawdę mówiąc, Andrew Rawlins ze śnieżnobiałymi włosami, w garniturze od Brooks Brothers,

wyglądał jak model pozujący przed kamerą. Podobnie jak jego syn, pomyślała Jill, przenosząc wzrok na mężczyznę za biurkiem. Burke jednak siedział w zupełnie innej pozie - rozparty niedbale w fotelu, wyciągnąwszy przed siebie długie nogi. Pod ciemnoszarymi spodniami rysowały się sprężyste mięśnie, podwinięte rękawy koszuli odsłaniały ciemne owłosienie na przedramionach, z wycięcia rozpiętej koszuli również wyłaniały się gęste kędziory. Był pięknie zbudowanym i nad wyraz atrakcyjnym mężczyzną. I seksownym?

Jill celowo zainteresowała się rozmową, by zmienić tok swych myśli.

- Wyglądacie oboje na zmęczonych - powiedział starszy pan. - Wolałbym, żebyście nie spali podczas rozprawy.

- Jill i ja będziemy na zmianę przytomni na sali sądowej - rzekł Burke z lekkim uśmiechem, który okazał się ogromnie zaraźliwy.

- Szczerze mówiąc - powiedziała Jill - modłę się gorąco, żeby mnie wylano z pracy.

- Nigdy pani szanse nie były mniejsze, panno McClain - droczył się z nią Andrew Rawlins. - Jak wam idzie? - spytał, nagle poważniejąc.

- Doskonale. Świetnie - odpowiedzieli chórem. Spojrzenia zielonych i niebieskich oczu spotkały się na krótką chwilę.

Wygląda na bardzo zmęczonego, pomyślała Jill.

Ma zamglone oczy, pomyślał Burke. I lewe musi ją boleć, ponieważ wciąż je pociera. Czy szkła kontaktowe...

- Ustaliliście już strategię? - spytał Rawlins senior.

Przeniósłszy wzrok z twarzy Jill na przeszkloną ścianę, Burke zauważył pierwszą gwiazdę na wieczornym niebie.

Wyprostował się i rzucił na biurko stertę papierów, które trzymał na kolanach.

- Zamierzamy wykorzystać fakt, że w Massachusetts można zaskarżyć do sądu męża, który dopuścił się gwałtu na własnej małżonce.

Andrew Rawlins skinął głową z aprobatą.

- Czy uda wam się wygrać, stosując tę taktykę?

- Nie mamy najmniejszych wątpliwości - odrzekła Jill - że Stroker gwałcił żonę, jeśli określimy tym mianem stosunek płciowy bez przyzwolenia. Poza tym zarzucimy mu, że jego obsesja na punkcie posiadania spadkobiercy przyjęła inne formy presji fizycznej i psychicznej.

- W oskarżeniu o gwałt mamy jej słowo przeciwko jego - dodał Burke - ale jeśli idzie o fizyczne i psychiczne maltretowanie, dysponujemy zeznaniami świadków - przyjaciół, służących.

- Pytam jeszcze raz - nie ustępował Andrew Rawlins - czy taka taktyka pozwoli wam wygrać proces?

- Sądzę, że tak - odpowiedział Burke. - Zwłaszcza że naszej klientce nie chodzi o to, by koniecznie zamknąć męża za kratkami, lecz o sprawiedliwy wyrok.

- Myślę, że mamy dużą szansę na zwycięstwo.

Andrew Rawlins ponownie skinął głową.

- Czy casus Rideout kontra Rideout będzie wam pomocny? - spytał, mając na myśli znany przypadek gwałtu popełnionego na żonie.

- Niestety, nie - odrzekła Jill. - Tam werdykt zapadł na korzyść męża. Czynnikiem decydującym był fakt, że w czasie gdy popełniono gwałt, małżonkowie współżyli ze sobą.

- Pani Stroker twierdzi, że w czasie gdy mąż dopuścił się jednego z gwałtów, już ze sobą nie żyli - dodał Burke.
 - A my mamy przypadek faceta z New Jersey, skazanego za zgwałcenie żony w takiej sytuacji.

- Świetnie - ucieszył się Rawlins senior. - Aha, plotka głosi, że rozprawie będzie przewodniczył sędzia O'Halleron.
 Z ust Jill i Burke'a wyrwał się głośny jęk.

- Stary „Dzięcioł” O'Halleron, co? Myślałem, że jest już na emeryturze.

Sędzia Timothy O'Halleron, łysy, z bujną brodą, rumiany na twarzy, cieszył się reputacją najstarszego, najbardziej konserwatywnego i najkonsekwentniejszego sędziego w Massachusetts. Był tak surowy, że jego młotek wciąż znajdował się w ruchu, dzięki czemu zyskał przydomek „Dzięcioła”.

- Słyszałem też, że matka nieślubnego dziecka zamierza również wytoczyć proces - dodał starszy pan. - Czy ustalono już datę rozprawy?

- Jeszcze nie - odpowiedziała Jill.

- Skoro już mówimy o datach - zwrócił się Andrew Rawlins do syna - to czy zamierzasz wybrać się na kolację wydaną przez Stowarzyszenie Adwokatów?

Jill niemal wyczuła napięcie, które nagle owładnęło Burke'em.

- Naprawdę, nie wydaje mi się, żebym był gotowy...

- Przyjęcie ma cel dobroczynny - przerwał mu ojciec.

- Towarzystwo Walki z Rakiem...

- Nie neguję chwalebego celu spotkania - odwdzięczył się tym samym Burke. - Po prostu chcę...

- Naprawdę, powinieneś pójść, Burke. - W tonie ojca

zabrzmiały rozkazujące nutki. Patrząc na syna z ciepłym zrozumieniem, dodał: - Zaufaj mi. Zawsze ci się będzie wydawało, że nie nadszedł jeszcze właściwy czas, by podjąć życie na nowo.

Mężczyźni wymienili spojrzenia, Jill zaś pomyślała, że wolałaby nie być świadkiem tak osobistej rozmowy. Z drugiej strony ciekawa była, jaką decyzję podejmie Burke. I jeśli zdecyduje się pójść, to czy weźmie ze sobą...

- Nie wybralibyście się tam razem? - przerwał jej rozmyślania Andrew Rawlins.

Rzuciła szybkie spojrzenie na Burke'a. Nie potrafiła się połapać w jego uczuciach.

- A może masz już jakieś inne plany? - spytał Rawlins senior.

- Nie... nie, proszę pana. Wybieram się na tę kolację.
- Choć od imprezy dzieliły ją jeszcze dwa tygodnie, miała już zaproszenie od kilku miesięcy, odrzuciła nawet uprzejmie ofertę Charlesa Evansa, że ją tam zabierze.

- Łączy was sprawa Strokerów, czego nie omieszkali podkreślić wścibscy dziennikarze. Byłoby całkiem naturalne, gdybyście pokazali się na kolacji razem.

Jill rozumiała pobudki Andrew Rawlinsa. Próbował uspokoić w ten sposób Burke'a, iż nikt nie wyciągnie fałszywych wniosków z faktu, że pokazał się razem ze swą partnerką, z którą prowadzi sprawę. Była to, oczywiście, prawda, tyle że zrobiło jej się dziwnie przykro z powodu uznania ją za bezpieczne alibi, osobę nic nie znaczącą. A zwłaszcza, nic nie znaczącą dla Burke'a. Spojrzała na niego wyczekująco, nie chcąc zabierać pierwsza głosu. On

jednak również milczał. Po prostu patrzył na nią. W końcu dobre wychowanie nakazało jej odpowiedzieć:

- Jeśli idzie o mnie, to bardzo chętnie. Może przyjadę po ciebie?

Burke wciąż się nie odzywał.

- Świetnie - odpowiedział za niego Andrew Rawlins.

- A więc ustalone. - Wstał z fotela. - Jadę do domu. Myślę, że powinniście zrobić to samo.

- Chyba tak - zgodziła się Jill.

- Dobranoc - zawołał Burke za ojcem.

Żadne z nich nie odzywało się przynajmniej przez piętnaście minut po wyjściu starszego pana.

- Przykro mi, że tata postawił cię pod murem - powiedział wreszcie Burke.

- Nic podobnego.

- Właśnie, że tak.

- Właśnie, że nie!

- McClain, znalazłaś się w sytuacji przymusowej. Tata uparł się, żebyś zabrała na potańcówkę jego małego synka.

Oboje się uśmiechnęli, Burke spoważniał pierwszy.

- Daję ci szansę - możesz się wycofać.

- Wcale nie chcę się wycofać - odpowiedziała Jill, również poważniejąc, zdała sobie bowiem sprawę, jak bardzo prawdziwe są te słowa.

- Czy jakiś wspaniały facet nie czeka na twoje „tak”?

- Prawdę mówiąc, powiedziałam „nie” jednemu facetowi, który mnie zaprosił. Charlesowi Evansowi.

- Evans? Jest w twoim typie?

- Jasne, że nie. Odmówiłam mu.

- Dobra, to twoja przedostatnia szansa, żeby dać mi kosza.

- Przedostatnia?

- Teraz już ostatnia.

- Przyjadę po ciebie około wpół do ósmej, Rawlins. A teraz, co powiedziałbyś na to, żebyśmy już skończyli i przespali się osiem godzin, tak jak reszta ludzi?

- Zgoda. - Sięgnął po swoją teczkę z papierami, Jill po książkę. - Hej, McClain?

- Słucham? - spojrzała na niego.

- Wolisz mieć wystąpienie wstępne czy końcowe?

- Wstępne - odrzekła Jill, mrugając lewym okiem i machinalnie pocierając powiekę palcem. - Nie, końcowe. Nie, jednak wstępne. - Znow zaczęła mrugać i trzeć oko palcami.

- Twoje zdecydowanie doprawdy mnie zadziwia - powiedział Burke uszczypliwie, po czym dodał: - Czy coś jest nie w porządku z twoim okiem?

- Słucham?

- Twoje oko. Wciąż nim mrugasz.

- Wyślizguje mi się soczewka.

- Naprawę? To w ogóle możliwe?

- Uhum. Zechciałbyś podać mi pojemniczek z mojej torebki?

- A gdzie ona jest?

- Na podłodze, obok biurka.

Burke sięgnął po czarną skórzaną torebkę i zaczął przeszukiwać jej wnętrze. Żadne z nich zdawało się nie uświadamiać sobie intymności tego gestu.

- Mógłbyś się pospieszyć? - spytała. Oko miała zamknięte, grymas bólu wykrzywiał jej twarz.

Burke podniósł oczy, nie przestając grzebać w torebce.

- Co się stało?

- Soczewka wślizguje mi się pod powiekę.

- Pod powiekę?! - wykrzyknął Burke tonem, jakim z pewnością kapitan Titanika musiał wykrzyknąć: „Góra lodowa!”.

- Nie wpadaj w panikę, Rawlins. Podaj mi lusterko.

Mrucząc coś pod nosem, zaczął przetrząsać w popłochu zawartość torebki - szminka, portfel, chusteczki higieniczne, pęk brzęczących kluczy.

- Przynajmniej rozwiązałem w końcu tajemnicę zaginionej Atlantydy. Jest w tej choliernej torebce!

- Histeryzujesz - wymówiła oskarżycielskim tonem Jill, jęknąwszy głośno, gdy soczewka wsunęła się jeszcze głębiej pod powiekę. - Pośpiesz się.

- Nie jestem w stanie zrozumieć, że ktoś chce nosić kontakty! - Odłożył książeczkę czekową i przedarte na pół bilety do Filharmonii Bostońskiej. - Jak można wkładać sobie obce ciało do oczu, jak...

- Zamknij się.

- Uff, znalazłem. Proszę.

- Dziękuję. Czy możesz przytrzymać pojemnik? Tu. Nie, trochę wyżej. Dobrze.

Burke stał pomiędzy nią a biurkiem, starając się trzymać pojemnik bez ruchu, tymczasem Jill, uniósłszy do góry powiekę, próbowała uchwycić widoczny brzeg soczewki czubkiem palca.

- Czy to boli? - spytał Burke, naśladowując mimo woli jej grymasy.

Jill rzuciła mu miążdzące spojrzenie zdrowym okiem.

- Masz rację, to głupie pytanie. Mój Boże -jęknął, gdy wywineła mocniej powiekę, odsłaniając różową śluzówkę.

- Mam ją - westchnęła z ulgą Jill, wyłuskawszy wreszcie soczewkę czubkiem wskazującego palca. Schowała ją do pojemniczka i spojrzała na Burke'a. Stał wciąż w tym samym miejscu, przyglądając się jej bacznie.

- Twoje oko wygląda fatalnie.

- I fatalnie mnie boli.

- Pozwól, że je obejrzę. - Naturalnym gestem, jak gdyby robił to przez całe życie, ujął palcami jej brodę i podniósł głowę do góry. - Powinnaś zapaść sobie kro... - Ich oczy się spotkały. Jill poczuła ciepły oddech mężczyzny na policzku. Ciepło jej skóry podrażniło jego wygłodniałe zmysły.

Ciepły oddech.

Ciepła skóra.

Ciepłe uczucia. Uczucia zbyt ciepłe.

Burke przypomniał sobie nagle, że jest mężczyzną, ona zaś kobietą. To samo spostrzeżenie poczyniła Jill.

Spuściwszy oczy, zabrał gwałtownie palce, jak gdyby sparzył go dotyk jej brody. Odsunął się i rzekł ochryplym głosem:

- Powinnaś zapaść krople po powrocie do domu.

Wmawiał sobie, że nic się przecież nie stało, ale sam fakt, że temu przeczył, dawał mu wiele do myślenia.

Gdy Burke puścił jej brodę, Jill doznała osobliwego uczucia porzucenia. Niewytłumaczalnego i całkiem

nieoczekiwanego. A zarazem niepokojącego. Zaskoczył ją również sposób, w jaki zareagowało jej ciało na dotyk Burke'a - jak gdyby cała jej kobiecość obudziła się z długiego snu.

- Zrobię to - powiedziała, chowając pośpiesznie pojemniczek do torebki. - Idę do domu - dodała, nie patrząc na Burke'a.

Po chwili szła sama korytarzami wyludnionego budynku - Burke wymówił się zamiarem dokończenia pracy, która jej zdaniem dawno była skończona. Tłumaczyła sobie, że nic pomiędzy nimi nie zaszło, jednak w głębi serca miała uczucie, że po raz pierwszy w życiu uczciwa Jill McClain oszukuje samą siebie.

Kłamstwa.

W tym samym czasie, gdy Jill wychodziła z biura, Mary McClain siedziała, wpatrując się w imię Jill na kartce papieru i zastanawiając się nad zdradziecką potęgą kłamstwa. Pomyślała, że początkowo były to drobne kłamstewka, które z latami krzepły, nabierały mocy, zaczynały żyć własnym życiem. Mrocznym życiem, które, chcąc przetrwać, broniło się przed zniszczeniem, jakie niosłoby odkrycie prawdy.

Na samym początku zamierzała powiedzieć Jill prawdę, gdy będzie już dostatecznie duża, by zrozumieć. Kiedy już będzie na tyle dorosła, by wiedzieć, że dobro i zło nigdy nie są wyłącznie białe i czarne. Ale dni mijały, a kłamstwo pozostawało nietknięte, aż wreszcie było już za późno. Kłamstwo zaczęło żyć własnym życiem. A nawet gdyby tak się nie stało, jak mogłaby powiedzieć najuczci-

wszej osobie, jaką znała, że jej życie zawsze było kłamstwem?

Nie mogła. Ukryła tajemnicę głęboko, nie wiedział o niej nikt, tylko noc.

Nikt.

A jednak ktoś wiedział. Jakiś dziwny męski głos powiedział jej o tym przez telefon. Znał jej tajemnicę!

Mary starała się uspokoić oddech i przestać zadawać sobie pytania, kto to mógł być i po co dzwonił. Uczepiła się kruchej nadziei, że więcej już nie zadzwoni. Może jeśli będzie bardzo pragnęła, modliła się o to gorąco...

Zadzwonił telefon. Mary podskoczyła z wrażenia. Okrągłymi oczyma wpatrywała się w aparat, wsłuchiwała w głośny, natarczywy sygnał.

Dryń... dryń... dryń...

Proszę, modliła się bezgłośnie Mary, zdejmując słuchawkę z widełek.

- Słucham? - Serce waliło jej jak młotem, w uszach miała taki szum, że prawie nie słyszała męskiego głosu.

- Mary?

- Rob? - Poczowała tak wielką ulgę, że kolana się pod nią ugięły.

- A kogo się spodziewałaś, kochanie?

- Nikogo - skłamała, zamykając oczy i myśląc z poczuciem winy, że jest to coś, co potrafi zrobić najlepiej.

- Chcesz filizankę mułu z Charles River? - spytał Burke w piątkowe popołudnie, gdy wskazówki zegara zbliżały się do wpół do czwartej.

- Tak - odrzekła z uśmiechem Jill, zdejmując okulary w szylkretowej oprawce i rzucając je na biurko Burke'a. Nosiła je od środy zamiast soczewek kontaktowych. Nie miała pojęcia, czemu, jednak po głębszym namyśle musiała przyznać, że ma to coś wspólnego ze środową przygodą, i to bynajmniej nie z jej problemami z soczewką. Wciąż czuła dotyk dłoni Burke'a na brodzie, jego ciepły oddech na policzku, dreszcze podniecenia, przebiegające jej ciało.

- Czy mogę skorzystać z twojego telefonu? - spytała, starając się myśleć o czymś innym.

- Jasne.

Jill wybrała numer siostry i odchyliła się na oparcie fotela, czekając aż Mary podniesie słuchawkę. Była już bliska rezygnacji, gdy siostra podeszła wreszcie do telefonu.

- Halo?

- Cześć. Robiłaś coś na zewnątrz?

- Nie. Ja... eee... byłam na tyłach domu - odpowiedziała Mary po chwili wahania.

- Dzwonię, żeby się dowiedzieć czy twoje zaproszenie jutro na kolację jest aktualne. - Jill podziękowała uśmiechem Burke'owi, który postawił przed nią plastikowy kubek z ciemnym gęstym płynem, a następnie podszedł do przeszklonej ściany i wpatrzył się w panoramę miasta. Jill odprowadziła go wzrokiem.

- Oczywiście - odrzekła Mary z niekłamany entuzjazmem. W świecie, który nagle zachwiał się w posadach, przebywanie z rodziną dawało jej poczucie pewnej stabilizacji. Poza tym tajemniczy ktoś już więcej nie zadzwonił. Należało to uczcić. - Pomyślałam, że upieczemy steki na grillu.

- Brzmi zachęcająco. Myślę, że to wspaniały sposób na spędzenie sobotniego wieczoru - powiedziała Jill, obiecując sobie, że popełni grzech i kupi po drodze czekoladowy deser w swej ulubionej cukierni.

Sobotni wieczór.

Te dwa słowa odbiły się echem w głowie Burke'a. Mój Boże, pomyślał, jakim cudem przetrzymam jeszcze jeden sobotni wieczór? Samotny sobotni wieczór. Było to trudne, gdy biegał jak szalony plażami Atlantyku, ale w mieście złe samopoczucie jeszcze się potęgowało. Przypominał dzikie zwierzę w niewoli. Cztery ściany mieszkania więziły go niczym klatka, wyrzuty sumienia ograniczały jak żelazne pręty, gorycz...

- Burke? Burke?!

Oprzytomniał i popatrzył na Jill pytającym wzrokiem.

- Mary chce wiedzieć, czy przyjdiesz jutro na kolację.
- Jill zasłoniła dłonią słuchawkę. - Nie ma przymusu. Jeśli nie masz ochoty...

- Mam.

W niebieskich tęczęwkach błysnęło zdziwienie, właściciel zielonych też wydawał się zaskoczony swoją odpowiedzią.

- Mówi, że przyjdzie.- powiedziała Jill do słuchawki, patrząc wciąż na Burke'a. - Dobrze, powtórzę mu. - Pożegnała się i odłożyła słuchawkę. - Przyjadę po ciebie około szóstej - rzekła do mężczyzny po chwili milczenia.

- Tak jest, około szóstej.

- Aha, Mary powiedziała, żebyś ubrał się swobodnie.

- Swobodnie - potwierdził skinieniem głowy.

- Swobodnie - powtórzyła bezmyślnie.

Czemu nagle poczuli się tacy skrępowani? Jak gdyby nie byli od dawna dobrymi przyjaciółmi. Jak gdyby nie spędzali ze sobą większości czasu. Jak gdyby którekolwiek mogło opacznie zinterpretować ten wieczór jako randkę.

Burke rzeczywiście ubrał się swobodnie.

Jill zauważyła to natychmiast, gdy wyszedł z domu i podbiegł do jej samochodu, zaparkowanego przy krawężniku. Była tego świadoma przez cały czas - gdy usiadł obok niej, gdy jechała zatłoczonymi ulicami, gdy wysiedli z samochodu i szli w kierunku niedużego domku Mary McClain.

Jill przypominała sobie, jak kiedyś przyszło jej do głowy, że Burke musi wyglądać rewelacyjnie w dżinsach. Rzeczywistość przewyższyła wyobrażenia. Sam Levi Strauss byłby prawdopodobnie zachwycony, nie wspominając o jego żonie. Kompletu dopełniała czerwona bluza sportowa z podwiniętymi rękawami, wspaniale uwypuklająca klatkę piersiową.

- Czy jestem ubrany zbyt swobodnie? - spytał Burke półszepem.

- Słucham?

- Czy nie przesadziłem z tą swobodą? - Przesunął spojrzeniem po jej luźnych granatowych spodniach, kracastej bluzce i białym swetrze, narzuconym na ramiona.

- Ależ nie. Wyglądasz... świetnie. - I seksownie, dodała w myśli.

Otworzyła siatkowe drzwi i oboje weszli do chłodnego wnętrza domu. Powitał ich Rob Sheffield.

- Hej, Błękitnooka - powiedział, całując Jill w policzek. Nie czekając na oficjalną prezentację, wytarł rękę o dzinsy i podał ją Burke'owi, który musiał żonglować ciastem Jill i butelką wina, żeby odwzajemnić gest.
- Cześć. To ty z pewnością jesteś Burke.

- Ten sam - uśmiechnął się Burke. - A ty jesteś Rob.

- Nie da się ukryć. Przepraszam za rękę, ale szykowałem węgiel drzewny. A propos, jakie befsztyki lubisz?

- Średnio wypieczone - odpowiedział Burke. Wszyscy troje uśmiechnęli się.

- Dzień dobry - rozległ się gardłowy kobiecy głos.

- Cześć. - Jill przywitała się z siostrą, która pojawiła się właśnie w fartuszku z napisem: „Pocałuj kucharkę”.

Mary McClain również wyciągnęła do Burke'a usianą piegami dłoń.

- Cieszę się, że mogłeś przyjść - powiedziała ze szczerym uśmiechem.

- Dziękuję za zaproszenie. Muszę wyznać, że wyobrażałem sobie ciebie zupełnie inaczej. Sądziłem, że...

- Powinna wprowadzić do jadłospisu drożdże, podobnie jak ja? - wtrąciła Jill.

- ..jesteś niewysoka - dokończył Burke, rzucając Jill złośliwe spojrzenie.

- Jestem jedynym mikrusem w naszej rodzinie - powiedziała Jill. - Przynajmniej sądząc po zdjęciach w rodzinnym albumie. Daje to wiele do myślenia na temat genetyki, prawda? - Wzięła od Burke'a pudło z ciastem, nie zauważając dziwnego spojrzenia Mary. - Burke przyniósł wino - zawołała, kierując się w stronę kuchni.

Rob czekał, aż narzeczona weźmie od Burke'a butelkę, gdy jednak Mary wciąż nie reagowała, wyręczył ją.

- Bomba. Właśnie się zastanawialiśmy, czy nam wystarczy.

Oprzytomniawszy nagle, Mary zerknęła z miną winowajcy na Roba, który obserwował ją z nie ukrywanym zaciekawieniem. Uśmiechnęła się, jak gdyby nigdy nic, i powiedziała, wskazując kierunek gestem ręki:

- Przejdźmy do ogródka.

Ogródek, podobnie jak domek, był nieduży i bezpretensjonalny, ale ogromnie zadbany. Złociste słońce zniżało się coraz bardziej, wieczorne marcowe powietrze było rześkie, w grillu żarzyły się kawałki węgla drzewnego, w ciszy rozbrzmiewały dźwięczne chóry cykad.

- Napijesz się piwa? - zawołał Rob do Burke'a.

- Chętnie.

- A ty, Jill?

- Później, na razie chcę trochę pomóc Mary - odpowiedziała.

Choć było raczej chłodno, postanowili zjeść na dworze. Na drewnianym stole stały plastikowe talerze w żywych kolorach, harmonizujące z obrusem w biało-czerwoną kratkę. Jill owijała kaczany kukurydzy w folię aluminiową, tymczasem Mary przygotowywała mięso i doprawiała zapiekanekę ziemniaczano-serową.

- Jest miły - szepnęła Mary, wykorzystując fakt, że Jill szeleściła folią.

- Uhum. Bardzo.

- I przystojny.

Jill spojrzała na siostrę, potem na Burke'a, który stał obok grilla z puszką piwa w ręku, rozmawiając z Robem. Właśnie w tej chwili uśmiechnął się do swego rozmówcy i włożył rękę do tylnej kieszeni dżinsów, zwracając uwagę kobiet na wąskie, zgrabne biodra.

- Owszem - przyznała szczerze, po czym dodała szybko, widząc błysk w oczach Mary: - Pracujemy razem, nie ponadto. Nie baw się więc w swatkę.

- Czasami ludzie, którzy pracują razem...

- On jest żonaty - przerwała siostrze Jill, spoglądając znów na Burke'a. Gdy podnosił do ust puszkę z piwem, obrączka błysnęła w świetle zachodzącego słońca. - Jego żona nie żyje, ale on wciąż jest żonaty. - Uświadomienie sobie tego faktu sprawiło jej przykrość. Wolała nie zastanawiać się, dlaczego.

- A gdyby nie był? - spytała Mary.

- Jesteśmy przyjaciółmi. Partnerami w pracy. Nic poza tym. - Była to prawda. Absolutna. Całkowita. A może nie?

Mary zaniósła zapiekankę do kuchni, Jill zaś próbowała znaleźć odpowiedź na postawione przez nią pytanie, co byłoby, gdyby Burke nie rozpaczał po utracie żony.

- Bardzo apetyczne - usłyszała nagle obok siebie męski głos. Dla potwierdzenia tych słów Burke zeszkrobał kroplę zastygłej czekoladowej polewy, która skapnęła z ciasta na papier i oblizał ze smakiem palec.

Jill nie mogła oderwać wzroku od jego warg. Na widok czubka języka poczuła ciepło rozlewające się po jej ciele. Nie chcąc przyznać się przed sobą do myśli, które jej się mimowolnie nasunęły, popatrzyła Burke'owi w oczy.

- Czekolada z piwem? - spytała, robiąc zgorzszą minę.
- Nicole zawsze mówiła... - Przerwał.

Imię Nicole podziałało na Jill niczym kubeł zimnej wody. Była to odpowiedź na nurtujące ją pytanie. Daj sobie spokój, dziewczyno, on wciąż myśli wyłącznie o zmarłej żonie. Wszystko powróciło do właściwych wymiarów. Uśmiechnęła się ze zrozumieniem, zachęcająco.

- Co mówiła zawsze Nicole?

Burke wpatrzył się w niebieskie oczy, ukryte za szklami okularów. Dobre oczy, dodające otuchy. Oczy, w które zaglądał z tak bliska tamtego wieczora, gdy wyslizgnęła jej się soczewka kontaktowa. Odsunął to wspomnienie, ponieważ było w nim coś niepokojącego.

- Że mam żołądek jak struś.
- Ja również. - Jill uśmiechnęła się jeszcze szerzej.
- Ale wy, sportowcy, powinniście chyba uważać na to, co jecie.

- Ja, sportowcem? Chyba żartujesz! Biegam wyłącznie w celach terapeutycznych. Zwykle po bardzo obfitym posiłku.

- Nie lubisz biegać?

Zastanawiał się dość długo nad odpowiedzią. Wreszcie wzruszył ramionami.

- Owszem, chyba lubię.
- Ale nie na tyle, by wziąć udział w bostońskim maratonie w przyszłym tygodniu? - droczyła się z nim.

Roześmiał się - był to niski, gardłowy dźwięk, który skojarzył się Jill z nieoczekiwanym grzmotem w spokojny letni dzień.

- Nigdy w życiu. Zostałbym stratowany przed pierwszym punktem z napojami.

- Ja też.

- To ty biegasz? - spytał, podnosząc znów puszkę z piwem do ust.

Pokręciła głową, aż zatańczył jej koński ogon, w który uczesała się dziś dla wygody.

- Sporadycznie. Czasami mam wyrzuty sumienia, że zażywam zbyt mało ruchu, zwłaszcza gdy oglądam reklamy w telewizji ze zwiewną dziewczyną, odżywiająca się płatkami zbożowymi i uprawiająca sport. Po czymś takim przez kilka dni biegam lub przynajmniej chodzę na spacer.

- Moglibyśmy kiedyś pobiegać razem - powiedział Burke.

Było to zwykłe stwierdzenie, bez żadnych podtekstów, ale Jill poczuła ściskanie w dołku. Powiedziała sobie, że to z pewnością z głodu.

- Tak, uciekniemy z miasta, jeśli przegramy sprawę Strokerów - zażartowała.

- Nie przegramy - uśmiechnął się do niej.

- Jest pan bardzo pewny siebie, panie mecenasie.

- Rzeczywiście. Przecież współpracuję z najlepszym prawnikiem w mieście.

- Dziękuję - odrzekła mile połączona, że Burke docenił jej profesjonalizm.

Jego oczy mają szczególny odcień zieleni, pomyślała. Zapewne ciemniej w chwilach namiętności. A usta... Odwróciła oczy.

- Chyba też się napiję piwa - powiedziała, spoglądając w stronę wiaderka z lodem. - Może za chwilę - dodała szybko na widok Mary oraz Roba, który bardzo serio potraktował napis na fartuszkach kucharki.

Burke poszedł za spojrzeniem Jill i oboje zapatrzyli się na powolny pocałunek tamtych dwojga. Wreszcie Rob oderwał się od Mary i spytał ją o coś szeptem, na co kobieta pokręciła uspokajająco głową. Musnął dłonią jej policzek i znów przylgnął wargami do jej ust. Nawet z tej odległości dało się zauważyć, że pocałunek był czuły, zmysłowy, pełen oczekiwania.

Zarówno Jill, jak i Burke poczuli nagle przeszywającą tęsknotę. Burke za tym, co stracił, Jill za tym, czego nigdy nie miała. Ich oczy spotkały się na chwilę, po czym oboje odwrócili wzrok, jak gdyby sprawiło im to jeszcze większy ból.

Nie zastanawiając się nad tym, co robi, Burke podał Jill swoją puszkę z piwem. Jill przytknęła usta w miejscu, gdzie dotykały jej przed chwilą wargi Burke'a i pociągnęła długi łyk. Brzeg puszkę był jeszcze ciepły. I smakował słodem. Tak jak jego wargi? Odpędziła od siebie tę myśl, oddała mu z podziękowaniem puszkę i oparła się o stół. Burke podszedł do niej i oboje zaczęli obserwować pierwsze gwiazdy na wieczornym niebie.

Żadne z nich nie odezwało się ani słowem.

W głębokiej ciszy rozległ się dźwięk syreny. Burke przygotował się w duchu na znajome wyrzuty sumienia, tym razem jednak było inaczej. Piękno i spokój wieczora osłabiły ich siłę. Oraz przyjaciółka u jego boku.

- Cieszę się, że tu przyszedłem - powiedział cicho.

Ich oczy się spotkały. Niebieskie i zielone. Szczerłość za szczerłość.

- Ja też - odrzekła Jill.

Okulary Jill leżały zapomniane na stole. Kosmyki rudawozłotyich włosów wymsknęły się z końskiego ogona i powiewały wokół uszu i szyi, bluzka wysunęła się ze spodni, które nie miały już kantów. Mimo wieczornego chłodu i swetra, który okrywał ramiona dziewczyny, pot perlił się nad jej górną wargą.

Włosy Burke'a, bardziej złociste niż brązowe w sztucznym świetle, opadały mu na świecące od potu czoło, pierś unosiła się w nierównym oddechu, w kącikach ust czaił się chłopiący uśmiech.

- A więc chcesz iść na całość? - zapytał.

- Problem polega na tym, Rawlins - powiedziała wyzywająco Jill, wycierając o spodnie poplamione trawą dłonie - że dla ciebie i Mary to zabawa, natomiast my z Robem traktujemy grę śmiertelnie poważnie.

To stwierdzenie wywołało okrzyk oburzenia ze strony Mary i potwierdzenia ze strony Roba. Wszyscy wybuchnęli śmiechem.

Po kolacji któreś z nich - w tej chwili nie pamiętali już nawet, kto - zaproponowało grę w piłkę. W miarę upływu czasu atmosfera stawała się coraz gorętsza, stosowano niezbyt czyste chwyt.

- Podaj! - zawołał Rob, klaszcząc w dłonie.

Burke i Mary porozumieli się szeptem przed zajęciem pozycji.

Jill szykowała się właśnie, by podać piłkę Robowi, stojącemu za nią, gdy z domu doleciał ich przytłumiony dźwięk dzwonka telefonu. Rob wyprostował się.

- Odbiorę...

- Nie! - wykrzyknęła Mary. Trzy pary oczu zwróciły się ku niej. Powietrze NAELEKTRYZOWANE było strachem znaczy, niech sobie dzwoni. Jeśli to coś ważnego, zadzwonią jeszcze raz. - Powoli płynęły sekundy. Mary patrzyła na nich błagalnie.

Jill i Rob wymienili nic nie rozumiejące spojrzenia. Nawet Burke miał niepewną minę.

Telefon zadzwonił jeszcze kilka razy i umilkł.

- No, grajmy dalej - powiedziała Mary z pełnym ulgi uśmiechem i przyjęła pozycję wyjściową.

Po chwili wahania Jill, Rob i Burke stanęli na swoich miejscach i gra potoczyła się dalej.

Jill podała piłkę do Roba, który pobiegł prawą stroną, a sama zabiegła drogę Burke'owi od lewej. Zatrzymał się w ostatniej chwili, wyciągając ręce, by złapać piłkę, która leciała w kierunku brzucha Jill. Ona wykonała ten sam manewr. Ich ręce spotkały się, nogi splątały.

Piszcząc i chichocząc, Jill upadła na trawę.

Burke stracił równowagę i śmiejąc się, upadł również, przygniatając jej drobne ciało swoim ciężarem.

Zmysły Jill zareagowały na zetknięcie z ciężkim ciałem mężczyzny. Wilgotna bluza. Wyczuwalne bicie serca tuż przy jej sercu. Nagła inwazja zapachów - zgniecionej wiosennej trawy, męskiej wody kolońskiej i jeszcze bardziej męskiego zapachu potu. Pot. Przesunęła językiem po wargach, niemal czując słony smak kropli zraszających czoło Burke'a. Wyobraziła sobie, że słyszy, jak kapią na jej bawełnianą bluzkę. Zapięcie jego dżinsów

uciskało jej brzuch, czuła również namacalny dowód tego, że jest mężczyzną.

Kobieta. Mózg Burke'a błyskawicznie zarejestrował ten fakt. Czuł wszystkie krągłości i wgłębienia jej ciała, po raz pierwszy od niepamiętnych czasów krągłe piersi wtulały się w jego klatkę piersiową. Nozdrza przyjemnie drażnił lekki, świeży zapach perfum, słyszał przyśpieszony, przerywany oddech - swój? Jill? Nie wiedział. Może obojga.

Na krótką chwilę zatopił wzrok w jej oczach. Poruszyła ją naga, niepohamowana żądza, którą w nim ujrzała. A także naga, niepohamowana żądza, która ogarnęła ją samą. Nie potrafiła zapanować nad swoją reakcją. Bardziej niż czegokolwiek na ziemi pragnęła unieść, rozsunać nogi i powitać go tak, jak kobieta wita mężczyznę. Powstrzymało ją tylko wrodzone poczucie przyzwoitości. Przeraziło ją to na równi z faktem, że nigdy nie pragnęła nikogo tak bardzo. I oszołomiło. A także rozbudziło tysiąc innych zaskakujących emocji.

- Hej, nic się wam nie stało? - zawołał Rob, biegnąc do nich.

Rzeczywistość przywołała ich do porządku.

Burke zamrugał powiekami, Jill przeniosła wzrok na Roba Sheffielda. Oczy Burke'a nie wyrażały w tej chwili żadnych uczuć. Zadała sobie z zakłopotaniem pytanie czy przed chwilą nie była to wyłącznie gra jej wyobraźni?

Nie patrząc na nią, Burke zerwał się na równe nogi i podał jej rękę. Dała się podnieść. Jego dłoń była ciepła i drżąca, a dotyk tak krótki, że omal się nie potknęła, gdy ją puścił.

Powrócili do gry w piłkę, którą Burke rzucił w stronę Roba.

- Punkt dla was - powiedział ochryplym, nie swoim głosem.

- Świetnie! - wykrzyknął Rob, przygważdżając piłkę i miażdżąc żebra Jill w niedźwiedzim uścisku. - Daliśmy im bobu, co, Błękitnooka?

- Aha - odpowiedziała Jill z wymuszonym uśmiechem. Poszukała wzrokiem Burke'a. Nie patrzył na nią. Sprawiał wrażenie człowieka zdecydowanego nie patrzeć na nią.

- Odgrywacie się? - spytał Rob Burke'a i Mary. Odpowiedź jednak padła z ust Burke'a i Jill.

- Chyba nie...

- Robi się...

Oczy Burke'a i Jill spotkały się na krótką chwilę.

- Robi się późno - dokończyła Jill.

- Daj spokój, jest dopiero trochę po dziesiątej - powiedział Rob.

- Mieliśmy ciężki tydzień w pracy - wyjaśniła Jill.

Rob protestował jeszcze przez chwilę - Jill dopiero później zdała sobie sprawę, że Mary była tak dziwnie roz-targniona, iż w ogóle nie próbowała jej zatrzymać - po czym pozwolił im odejść. Jill obiecała, że wkrótce zadzwoni. Burke obiecał, iż chętnie do nich znowu wpadnie. Jill pomyślała, że w jego głosie brak szczerości.

Droga powrotna zdawała się trwać całą wieczność. Burke siedział z kamienną twarzą, nie patrząc na Jill. Prawie się do siebie nie odzywali, oboje czuli się niezręcznie.

- Masz miłą rodzinę - powiedział Burke, gdy przejeź-

dźali przez Boston Common. O tej porze panowała tu cisza i spokój. Przez myśl przemknęło mu nagle wspomnienie filigranowej, zmysłowej kobiety, uwięzionej pod jego ciałem. Odsunął je natychmiast od siebie.

- Tak - powiedziała Jill, rzucając mu szybkie spojrzenie. Siedział, wpatrzony przed siebie, z nogą założoną na nogę. Jego ciało wydało jej się silne, twarde.

- Kiedy ślub? - spytał, gdy mijali Park Miejski. Przypomniawszy sobie piękne niebieskie oczy, utkwione w jego twarzy... i pokręcił głową.

- W maju - odrzekła Jill, wspominając elektryzujący dotyk ciała Burke'a.

- Ja... chciałem bardzo podziękować za zaproszenie. - Stały mu przed oczyma miękkie, kuszące usta tak blisko jego warg... Wziął głęboki oddech, niepożądana wizja prysła.

- Najadłeś się? - spytała, zastanawiając się, jak to byłoby całować się z nim.

- Wolne żarty! - Tym razem rzucił jej krótkie spojrzenie i uśmiechnął się lekko.

Oderwała niechętnie wzrok od jego ust.

- Świetnie. - Pewnie tak właśnie całuje.

- Ciasto było pyszne. - .. a twój zapach...

- Kupiłam je w tej doskonałej małej piekarni przy Newbury Street. - Czy byłby czułym kochankiem? Czy wymagającym?

- Chciałbym wiedzieć, jak się nazywa. To znaczy, piekarnia. Na wszelki wypadek, gdyby odezwał się we mnie głód czekolady. - Głód... Boże, jakże mu doskwierał!

- Jasne. Dowiem się dla ciebie.

- Dzięki.
- Drobiazg.

Koniec tematu. Koniec idiotycznego tematu.

Czy nie czułeś tego, co ja?! - zapragnęła nagle krzyknąć. Czy twoje ciało nie drży jeszcze z pożądania? Wielkie nieba, co się ze mną dzieje?

Mój Boże, co się ze mną dzieje? - myślał gorączkowo Burke. Próbował na siłę myśleć o Nicole, przypomnieć sobie jej śmiech, jej piękną twarz i sylwetkę, chwile, gdy się kochali.

- Burke?

Drgnął, wracając do rzeczywistości. Nie zauważył, że Jill podjechała pod jego dom i zaparkowała, a teraz siedzi, przyglądając się jego dłoniom. Opuścił wzrok... jego palce obracały nerwowo złotą obrączkę. Zapanował nad tym odruchem i odnalazł wzrokiem jej oczy. Nawet w ciemności mogłaby przysiąc, że tęczęwki mu pociemniały.

- Świetnie... się bawiłem - powiedział.
- Ja również.
- Podziękuj jeszcze raz Mary ode mnie.
- Dobrze.

Chwila wahania.

- No, to dobranoc - rzekł, otwierając drzwi.
- Dobranoc.

Będąc już na zewnątrz, znów się zawahał i oparłszy się o dach samochodu, zjrzał do kabiny przez otwarte okno.

- Jedź ostrożnie - powiedział, zanim zdążył się zastanowić, co mu dyktuje te słowa.

Obok nich przejeżdżały samochody. Skądś dobiegał

przysłumiony szmer ludzkich rozmów. Światła na skrzyżowaniu zmieniły się na zielone, potem znów na czerwone, ale dla Jill i Burke'a czas stanął w miejscu.

- No, to dobranoc - powtórzył Burke, odrywając się od samochodu.

Jill patrzyła, jak idzie w kierunku eleganckiego budynku, pokonuje biegiem ostatnie kilka stopni i znika za drzwiami, nie oglądając się za siebie.

Przeklinała w tej chwili swoją uczciwość, ponieważ kazała jej ona wyłożyć karty na stół. Musiała przyznać, że Burke Rawlins pociąga ją, i to bardzo. Przyszły jej na myśl słowa starej piosenki: „Kiedy się to zaczęło?”. Nie miała pojęcia kiedy, może pierwszego dnia po powrocie Burke'a, a może podczas długich godzin wspólnej pracy i żartobliwych rozmów. Może tego wieczora, gdy wyslizgnęła jej się soczewka kontaktowa, a może pół godziny temu, gdy leżała pod nim na trawie. Może uczucie to czało się od dawna, czekając tylko, by pobudził je do życia odpowiedni katalizator. Nie potrafiła określić dokładnie chwili wyznaczającej jego początek. Po prostu nagle zdała sobie z niego sprawę. Wydawało jej się, że ona również działa na Burke'a, miała jednak wątpliwości, czy nie za wiele sobie wyobraża. Z całą pewnością jednak, jeśli nawet tak było, Burke nie chciał dopuścić tej myśli. Walczył z nią na wszelkie sposoby, wszelkimi siłami. Doprowadziło to Jill do smutnej konkluzji, że zaangażowała się w jednostronny związek.

Czy rzeczywiście?

Przez cały następny tydzień usiłowała odpowiedzieć

sobie na to pytanie, niestety bez skutku. Raz przekonywała samą siebie, że wyobraziła sobie iskierkę pożądania w oczach Burke'a, to znów była pewna, że naprawdę ją widziała. Jeśli nic się nie zdarzyło między nimi w ciągu tych kilku sekund, gdy przygniatał ją swym ciężarem do ziemi, dlaczego milczał przez całą drogę powrotną do domu?

To proste, zganiła się w myśli. Może wyczuł jej pożądanie i znalazł się w niezręcznej sytuacji, nie odwzajemniając go? Może, leżąc na niej, przypomniał sobie Nicole, zatęsknił za nią, za jej miłością? A może... Jill poddała się - tyle było możliwych wytłumaczeń...

Nie potrafiła nic wywnioskować również z atmosfery panującej w pracy, choć wyczuwała ledwo uchwytną zmianę w stosunkach pomiędzy nimi. Burke wydawał się spokojny, nawet markotny, nie przekomarzał się z nią tak chętnie, jak poprzednio. Był całkowicie pochłonięty pracą, ale jednocześnie wymawiał się, ilekroć Jill proponowała, by popracowali dłużej.

Sama też czuła się i zachowywała trochę inaczej. Jak gdyby po żywiołowej reakcji swego ciała przestała być sobie pewna. Nigdy nie zareagowała tak silnie na żadnego mężczyznę, miała, po prostu, ochotę kochać się z nim bez zbędnych pytań, bez oporów. Co więcej, wydawało jej się to absolutnie naturalne. A jeszcze niedawno uważała Burke'a wyłącznie za przyjaciela. Musiała przywyknąć do tego nowego układu.

Zmiany zdawały się wisieć w powietrzu. Nawet Mary była jakaś inna, choć trudno określić, na czym polegała

zmiana. Stała się drażliwa, nerwowa - nigdy przedtem nie przejawiała takich cech. Jill składała to na karb podekscytowania zbliżającym się ślubem. Czasami przychodziło jej do głowy, że może istnieć jakiś inny powód, ale nie miała pojęcia jaki.

Gdy nadszedł wreszcie piątek, Jill poczuła ulgę. Był jej potrzebny odpoczynek po tygodniu emocjonalnego napięcia. Wychodząc z pracy, natknęła się na Burke'a i jego ojca. Planowali wspólną kolację. Jill pokazała im książkę na temat gwałtu, którą zamierzała przeczytać wieczorem, w nadziei, że znajdzie w niej materiał, który może im się przydać w sprawie Strokerów. Rozstali się w głównym holu budynku. Gdy szła w kierunku podziemnego garażu, ogarnęło ją niepokojące uczucie, że Burke jej się przygląda. Zabrakło jej odwagi, by się odwrócić i sprawdzić, czy jest tak rzeczywiście. Nie wiedziała czy bardziej obawia się potwierdzenia, czy zaprzeczenia.

O siódmej, wykapana i po przegryzieniu kanapki, ułożyła się na łóżku z książką prawniczą. Odsuwała od siebie wszelkie myśli o Burke'u. Za piętnaście dziesiąta, zmęczona czytaniem i ciągłą walką z obsesyjnym myśleniem o Burke'u, sięgnęła po telefon i wybrała numer siostry. Był zajęty.

- Kim pan jest? Czego pan chce? - wyszeptała Mary. Zimny pot zrosił jej czoło na dźwięk obcego męskiego głosu. Słyszała go po raz drugi w życiu, choć wielokrotnie wyobrażała sobie tę rozmowę. Modliła się, by więcej nie zadzwonił, ale w głębi duszy była pewna, że to uczyni.

- Nieważne, kim jestem - odpowiedział niski, niepokojący głos. - Liczy się to, czego chcę. - Nastąpiła znacząca pauza. - A chcę pieniędzy. Pięć tysięcy dolarów w banknotach o niskich nominałach...

- Skąd mam wziąć tyle pieniędzy! - wykrzyknęła.

- Poradzisz sobie. Albo pomoże ci pani mecenas. A może twój narzeczony...

- Skąd pan wie o...

- O Robie? Och, wiem o tobie wszystko. Wszystko, co jest ważne. Na przykład, znam twój mały sekret. Daj spokój, Mary, pięć tysięcy i zapomnę o twojej przeszłości.

- Nie... proszę...

- Pięć tysięcy do piątku - powiedział ostro mężczyzna. - Zostaw je na ławce w Parku Miejskim. - Przez kilka minut tłumaczył jej dokładnie, o którą ławkę mu chodzi i o której godzinie ma zostawić pieniądze. - Zrobisz to, prawda, Mary? W przeciwnym razie porozmawiam z Jill. Nie będzie ci się to podobało. - Po czym odłożył słuchawkę.

- Chwileczkę!

Ale w słuchawce dźwięczał już tylko głośny denerwujący sygnał.

- Chwileczkę - powtórzyła szeptem Mary. - Proszę...

- Wstrząsana szlochem, osunęła się na kanapę. Zapomniana słuchawka wysunęła jej się z ręki. Płakała gorzko, dręczona poczuciem winy i żalem. A słuchawka leżała obok niej, nadając swe monotonne przesłanie...

Piętnaście po dziesiątej telefon wciąż był zajęty. Jill uśmiechnęła się. To z pewnością Rob. Po chwili uśmiech

spełził z jej twarzy, pozostawiając na niej wyraz tęsknoty. Nagle poczuła się straszliwie samotna w świecie pełnym par. W sposób nieunikniony skierowało to jej myśli ku Burke'owi. Znow zaczęła powtarzać dobrze znaną litanię. Czy zobaczyła naprawdę pożądanie w jego oczach, czy też była to gra jej wyobraźni? Jakaż jest idiotką zadając sobie w kółko to samo pytanie!

Stukot stóp o płyty chodnika, ciężki oddech, wrywający się z szerokiej piersi. Ścigając się z wiatrem, Burke zdołał wreszcie zagłuszyć myśli, które dręczyły go przez cały tydzień. W tej chwili odczuwał wyłącznie ogromne zmęczenie - ileż to kilometrów przebiegł? Piętnaście? Dwadzieścia? Dwadzieścia pięć? - i ból w klatce piersiowej, nogach, w każdym skrawku ciała. Dobry, upragniony ból, nie dopuszczający żadnych niepożądanych myśli.

Nie miał pojęcia, ile godzin spędził na bieganiu w tym tygodniu ani ile kilometrów ma na swoim koncie. Wiedział tylko, że każdego wieczora po kolacji gnał przez ulice miasta. Kiedy zaś nie biegał, zmuszał się, by myśleć o Nicole, przypominał sobie niemal każdą chwilę z pięciu lat, które razem przeżyli - dzień, gdy ją zobaczył po raz pierwszy, pierwszy pocałunek, dzień ślubu, pierwszą noc, którą spędzili jako mąż i żona, wypadek. Wypadek. Samobiczował się tym wspomnieniem, karał nim samego siebie. Odczuwał potrzebę ukarania siebie. Nie potrafił sprecyzować, czemu, miało to jednak coś wspólnego z sobotnim wieczorem.

Zwolnił kroku, następnie bieg powoli przeszedł w chód. Wreszcie oparł się bezsilnie o ścianę ceglanego

budynku. Zamknawszy oczy, zgiął się w pół i oparł ręce nad kolanami. Przez długą chwilę nie mógł zapanować nad oddechem. Wreszcie uspokoił się i otworzył oczy. Jego wzrok padł na ślubną obrączkę. Ale to nie postać żony miał przed oczami. Myślał o Jill i o tym, jak dobrze było mieć ją pod sobą.

Chcąc się ukarać za tę zdradziecką myśl, przebiegł kolejne dwa kilometry.

Kilkanaście kilometrów stąd, w lichej dzielnicy Bostonu, w dwupokojowym mieszkaniu z obitą umywalką poznaczoną plamami rdzy i z rozklekotanym łóżkiem, siedział mężczyzna wpatrzony w fotografię. Przedstawiała ona niewysokiego młodzieńca w nowiutkim, świeżo odprasowanym mundurze khaki. Na odwrocie fotografii widniała adnotacja, wykonana kobiecą ręką, drobnym starannym pismem: „2 maja 1951 - Tommy wyjeżdża do Korei”.

„Wspaniale, Tommy, znów masz same piątki na świecie”.

„Lenny, czy słyszałeś, że twój kuzyn zorganizował drużynę pływacką?”

„Nie sprawił nam odrobiny kłopotu, odkąd przyjęliśmy go pod swój dach”.

„To tak, jak byśmy stracili syna. Wspaniały chłopak. Był taki dumny, że idzie na wojnę. Zamierzał studiować prawo”.

Mężczyzna pokręcił głową, kończąc ten bezgłośny dialog. Niedbałym ruchem wrzucił zdjęcie do tekturowego pudełka, zawierającego cały dobytek jego niedawno zmar-

łej matki. Parsknął pogardliwym śmiechem. Tekturowe pudełko. To niezbyt wiele jak na siedemdziesiąt dwa lata życia. Ale też Maude Larimer nie była kobietą przywiązującą wagę do dóbr doczesnych. Miała niezłomne zasady i liczyły się dla niej dobre uczynki. Była dobra dla wszystkich, z wyjątkiem swego syna.

Gniew narastał w nim, powodując ściskanie w dołku. Grzebał uparcie w pudełku. Znał jego zawartość na pamięć, przeglądał ją setki razy od czasu, gdy przesłano mu z kliniki to, co pozostało po jego matce, ale dotykane tych pamiątek stanowiło swoistą terapię, potwierdzenie, że on żyje. Jego matka zmarła, wspaniały chłopak, chodząca doskonałość, Tommy, dawno gryzie ziemię. Ale on, Lenny, żyje.

Odłożył na bok małą zniszczoną książkę z poezją i przerzucił plik listów, ściągniętych zleżałą gumką, które słał do matki przez lata, głównie prosząc o pieniądze, których nigdy mu nie przesyłała. Była tam nawet dziecinna kartka walentynkowa, którą jej podarował, gdy był w drugiej klasie. Zawalił wtedy szkołę po raz pierwszy i do dziś pamiętał lanie, jakie wtedy mu spuścili matka i ojciec. Lanie od niej zawsze bolało go bardziej, ponieważ to ją pragnął zadowolić. Ponieważ nie udawało mu się to od dnia, w którym się urodził. Jego palce zatrzymały się na brązowym nekrologu z 1951 roku. Znał na pamięć jego treść, ponieważ czytał go dziesiątki razy. Przeczytał raz jeszcze.

„Szeregowiec Thomas Jacob Wilson, syn świętej pamięci June i Johna Wilsonów, oddał życie za ojczyznę w dniu 1 czerwca 1951 roku. Za bohaterskie czyny...”

- ..został pośmiertnie odznaczony Medalem Honoro-

wym. Pochowany został na Cmentarzu Narodowym w Arlington - wydeklamował z pamięci mężczyzna, wrzuciwszy nekrolog z powrotem do pudełka.

„Jego życie było doskonałe, podobnie jak jego śmierć. Cały był chodzącą zasmarkaną doskonałością!”

- Nie waz się mówić w ten sposób o swoim zmarłym kuzynie! I nie przeklinaj w tym domu, Leonardzie Larimerze - usłyszał głos matki tak wyraźnie, jak gdyby cofnął się w czasie o trzydzieści lat.

- Będę mówił o Tommym, co mi się podoba...

Uciszył go silny policzek.

- Jeśli doskonałość oznacza poczucie przyzwoitości, to Tommy był doskonały.

Doskonały.

Mężczyzna roześmiał się głucho. Jak się okazało, Thomas Jacob Wilson był takim samym człowiekiem, jak inni.

Sięgnął po zgnieciony list, który znalazł na samym dnie tekturowego pudełka, i rozłożył go. Był napisany obcym charakterem pisma i nosił datę 13 stycznia 1952 roku. Zaczynał się następująco:

„Droga Maude!

Dziecko urodziło się wczoraj. To dziewczynka. Myślę, że będzie miała oczy Tommy'ego...”

Leonard Larimer gapił się na list przez dłuższą chwilę, rozmyślając, czemu pozwolono mu uważać przez całe życie, że Thomas Jacob Wilson był doskonały.

Burke poleciał do Nowego Jorku w poniedziałek rano i pozostał tam przez cały tydzień. Podróż wypadła nieocze-

kiwanie i wiązała się z inną sprawą, którą prowadziła kancelaria Rawlins, Rawlins, Nugent and Carson. Burke zaoferował się, że zbierze do niej materiały, skoro nie został jeszcze wyznaczony termin procesu z powództwa Alysii Stroker.

Fakt, że sam tak ochoczo zgłosił gotowość odbycia tej podróży, nasunął Jill śmiałe przypuszczenie. Miała rację, Burke naprawdę zareagował na jej kobiecość tamtego sobotniego wieczora u Mary - a teraz po prostu od niej uciekał. Zdawała sobie jednak sprawę, że nie ma to znaczenia, ponieważ emocjonalnie nie był na to przygotowany. Wciąż czuł się związany ze zmarłą żoną, a zmarła była znacznie groźniejszym przeciwnikiem od osoby żyjącej. Tak groźnym, że Jill nie miała zamiaru z nią rywalizować. Nigdy nie startowała w grach, w których nie miała szans i nie zamierzała tego robić teraz.

Poza tym stwierdziła, że jest dla niej ważne, by zachować w swym życiu dawnego Burke'a. Był jej przyjacielem i partnerem w pracy, nie chciała komplikować tak prostego układu. Włoży sobotni incydent pomiędzy sprawy, które mogłyby się potoczyć inaczej, gdyby...

Przyjęcie, wydane przez Stowarzyszenie Adwokatów, miało się rozpocząć o ósmej, a samolot Burke'a wylądował dokładnie za dwie minuty siódma. Z teczką w jednej ręce i walizką w drugiej, śpieszył korytarzami Portu Lotniczego Logan do najbliższego automatu telefonicznego. Włożył monetę, po czym wybrał numer Jill. Czekał, aż podniesie słuchawkę, po raz kolejny wyrzucał sobie, że zgodził się pójść na tę kolację. A może, że zgodził się pójść

na tę kolację z Jill? W głębi duszy musiał przed sobą przyznać, że tydzień oddalenia nie przyniósł pożądaných rezultatów.

Jill wyszła z wanny, owijając się ręcznikiem kąpielowym, gdy usłyszała dzwonek telefonu. Przerwał myśli, które nękały ją przez cały dzień. Dałaby wiele, żeby nie iść na tę kolację. A jeszcze więcej, żeby nie iść z Burke'em. Jakoś nie przyszło jej do głowy, że kłóci się to z nową postawą, którą przyjęła.

- Słucham?

Jej głos był ciepły, kobiecy, wcale nie taki, jak go zapamiętał. Był tysiąc razy ładniejszy, tysiąc razy...

- Spóźnię się - wymówił zdławionym głosem.

Jill odruchowo przycisnęła dłoń do brzucha, jak gdyby chcąc złagodzić ściskanie w dołku. Zwykła reakcja na rozmowę z Burke'em.

- Cześć - powiedziała łagodnie.

- Cześć - rzekł, odwracając się tyłem do mężczyzny, który korzystał z sąsiedniego telefonu. - Posłuchaj, samolot wylądował dopiero przed chwilą. Jestem wciąż na lotnisku.

- Mam przyjechać po ciebie później, niż się umawialiśmy?

- Tak. Może piętnaście po ósmej?

- Dobrze. Nie ma znaczenia, że nie będziemy tam punktualnie.

- Wejdz na górę, zamiast czekać na mnie w samochodzie. Na tyłach budynku jest parking.

- Nie warto. Zaczekam...

- Nie wiem, jak szybko uda mi się złapać taksówkę.

Potem muszę wziąć prysznic, ogolić się i ubrać. Proszę, wejdź na górę.

Wzmianka o prysznicu i ubieraniu nasunęła Jill wizje, zapierające dech w piersi. Nagle oblała ją fala gorąca.

- Zgoda - ustąpiła Jill, przypominając sobie swoje postanowienie. - Do zobaczenia o ósmej piętnaście. Jak poszły sprawy w Nowym Jorku?

- Świetnie. A co słysząc tutaj?

- Spokój. Wysłaliśmy rozrabiakę do Nowego Jorku.

Po raz pierwszy od tygodnia Burke uśmiechnął się lekko. To zabawne, ale Jill McClain stała się w krótkim czasie strażniczką jego dobrego nastroju.

- Do zobaczenia wkrótce - powiedział.

- Na razie. Och, Rawlins... nie podałeś mi numeru mieszkania.

- Po twojej uwadze na temat rozrabiaków, powinienem kazać ci dowiedzieć się samej.

Mogłaby przysiąc, że Burke się uśmiecha.

- Pięćset osiemnaście - powiedział i odłożył słuchawkę.

Po wargach Jill również przewinał się uśmiech. Nie mogła się już doczekać, kiedy go zobaczy.

Gdy Jill spinała włosy w luźny węzeł na czubku głowy i nakładała perłowe cienie na powieki, Mary McClain wsiadała do metra z dużą torbą, w której znajdowała się papierowa koperta. Była przerażona.

Gdy Jill pudrowała nagie ramiona, Mary wysiadła z metra i szła w kierunku Parku Miejskiego. Szare i lawendowe cienie kładły się na trawie. Serce Mary waliło jak młotem, zadawała sobie pytanie, czemu nie powiedziała

Jill prawdy, zamiast opróżnić swoje konto bankowe i podtrzymywać kłamstwo. Odpowiedziała sobie natychmiast, że Jill nigdy nie wybaczyłaby jej, iż zataiła przed nią prawdę. Nie, powiedziała sobie, nie ma wyboru. Przegapiła tę szansę wiele lat temu.

Gdy Jill wkładała suknię na swe kształtne biodra, Mary szukała drewnianej ławki pod pochyłym wiązem, wokół którego rosły bratki i tulipany.

Gdy Jill wsuwała stopy w złote sandały na ośmiocentymetrowych obcasach i opuszczała mieszkanie, Mary - rozjezrawszy się pośpiesznie wokół siebie - rzuciła torbę na ławkę. Wiedziała, że jest obserwowana. Czuła jego obecność - niczym cuchnącą, plugawą mgłę nad grzęzawiskiem. Szła, szła, po czym ruszyła biegiem - nie potrafiła się powstrzymać - dopóki nie znalazła się na ulicy. Z trudem chwytając oddech, zwolniła kroku i uśmiechnęła się nerwowo do nadchodzącej pary.

Gdy Jill parkowała samochód i wchodziła do domu, w którym mieszkał Burke, Mary przekreślała klucz w zamku swoich drzwi wejściowych. Wpadła do środka i zatrzasnąwszy drzwi, oparła się o nie plecami. Westchnęła i zamknęła oczy. Dzięki Bogu, już po wszystkim!

Jill przebiegła wzrokiem po metalowych tabliczkach z numerami mieszkań. Pięćset osiemnaście. Zatrzymała się na chwilę, po czym nacisnęła dzwonek. Poczowała znów łaskotanie w żołądku.

- Otwarte! - usłyszała głos Burke'a.

Nacisnęła klamkę i weszła do środka, próbując zachować spokój.

- Zaraz będę gotów! - Głos dochodził prawdopodobnie z sypialni.

- Wiesz, że nie powinno się zostawiać otwartych drzwi?- spytała, rozglądając się wokół. Pomyślała, że to nieduże, lecz z pewnością drogie mieszkanie, zostało urządzone ze smakiem, nie nosiło jednak indywidualnego piętna właściciela.

- No cóż, miałem nadzieję, że ktoś się włamie i ukradnie ten cholerny smoking! Nalej sobie drinka, jeśli masz ochotę. Alkohol jest w kuchni.

Wzrok Jill machinalnie pobiegł w tamtym kierunku. Zobaczyła dwie prawie pełne butelki i torbę z ubraniami, rzuconą na bufet. Teczka stała na podłodze. Widać było, że ich właściciel bardzo się spieszył.

- Nie, dziękuję - odpowiedziała. - Jest mi dobrze.

- Rozgość się.

- Dobrze - powiedziała, ale nie ruszyła się z miejsca. Stała gdzieś w połowie drogi między kuchnią a kanapą, między pragnieniem, by go zobaczyć, a uczuciem wręcz przeciwnym.

Jej oczy nadal błędziły po pokoju, czyniąc krótkie, chaotyczne obserwacje. Kremowy dywan. Oliwkowozielone meble w interesujący deseń. Ciemne drewno, kominek, fotografia... Nicole. Ładna. Boże, jaka była ładna! Klasyczny typ urody. Jill poczuła się nagle taka... pospolita. Mała, bezbarwna i pospolita. Odpadająca w przedbiegach w rywalizacji, z której wcześniej zrezygnowała.

- Cholera! - zaklął Burke.

Oczy Jill powędrowały ku drzwiom sypialni.

- Czy umiesz sobie poradzić ze spinkami... - ich oczy się spotkały, zatoneły w sobie - ..do mankietów? - Ostatnie słowo niemal zamarło mu w krtani.

Burke poczuł się, jak gdyby dostał potężną pięścią w splot słoneczny, Jill natomiast miała wrażenie, że ktoś wypruwa z niej wnętrzości. Oboje mogliby przysiąc, że w pokoju nagle zabrakło tlenu.

Jill McClain była oszałamiająco piękna. Ta myśl przemknęła przez głowę Burke'a z szybkością błyskawicy. Rudawozłote włosy, przypominające mu kolor herbacianych róż, które hodowała jego matka, upięte na czubku głowy w luźny węzeł, z którego wymykały się niesforne kędziory, naturalny rumieniec na lekko wystających kościach policzkowych, oczy błyszczące jak błękit nieba splukany wiosennym deszczem - zauważył, że miała szkła kontaktowe - usta pociągnięte szminką w kolorze pasującym doskonale do sukienki. Sukienka. Wzrok Burke'a prześlizgnął się po lśniącej sukni ze złotej lamy. Pod szyję, z długimi rękawami, ściągnięta w talii paskiem, długa do ziemi, z wyzywającym rozcięciem z jednego boku. Ta lustracja potwierdziła jego pierwsze wrażenie. Jill była piękna. Oszałamiająco piękna.

Przystojny, myślała Jill, przyglądając się stojącemu przed nią mężczyźnie. W kasztanowatych włosach lśniły złote pasma, policzki miał gładko wygolone, zieleń oczu nasuwała skojarzenie z dziewiczym lasem. Był ubrany w czarny smoking i nieskazitelnie białą koszulę, kontrastowe kolory, które sprawiają, że mężczyzna wydaje się silny, władczy i... seksowny.

Musiała przyznać, że stęskniła się za nim.

To był długi, samotny tydzień bez uśmiechu, pomyślał Burke, mimo iż spowodowało to natychmiastowe wyrzuty sumienia.

Milczenie przedłużało się, aż stało się kłopotliwe.

Jill zmusiła się, by spojrzeć na nadgarstek Burke'a. Drugą ręką przytrzymał mankiet koszuli.

- Potrzebujesz... - odchrząknęła - .. pomocy?

Burke wydawał się autentycznie zdziwiony swoimi kłopotami ze spinką.

- Tak - wykrztusił wreszcie.

Jill położyła torebkę na bufecie i zbliżyła się do niego, kołysząc wdzięcznie biodrami. Ten ruch nie uszedł jego uwagi.

- O co chodzi?

- Ee... spinka do mankietu. Zapiąłem jedną, ale...

Słowa zamarły mu w gardle, gdy palce Jill zaczęły manipulować przy jego nadgarstku. Wzięła od niego złotą spinkę z onyxem - gdy ich palce zetknęły się na krótką chwilę, oboje mieli uczucie, że ich ciała przeszył prąd elektryczny - i spróbowała przełożyć ją przez otwór w mankiecie.

Poczuła ciepło skóry Burke'a i łaskotanie porastających ją włosków. Mogła nawet wyczuć nabrzmiąłą żyłę na wierzchu dłoni.

Burke również zarejestrował ciepło skóry Jill, dotyk przesuwającego się pod mankiem paznokcia. Gdy się pochyliła, by zapiąć spinkę, pasmo włosów musnęło wierzch jego dłoni, podrażniając mu zmysły. Odczuł nagłą potrzebę ćwiczeń fizycznych, choćby obiegnięcia naokoło kuli ziemskiej.

- Gotowe - powiedziała, owiewając oddechem jego dłoni.

Choćby obiegnięcia dwukrotnie kuli ziemskiej.

Spojrzeli sobie w oczy.

- Dziękuję - wymówił piskliwym głosem.

- Proszę bardzo - odpowiedziała cichutko.

Czas stanął w miejscu. Obojgu brakowało powietrza w płucach.

- Możemy już iść? - spytał, odsuwając się. Im bardziej zwiększała się odległość między nimi, tym łatwiej mu się oddychało. Wieczór zapowiada się nie najgorzej, pomyślał optymistycznie.

- Jasne - odpowiedziała, odwracając się i biorąc torebkę z bufetu.

Wzrok Burke'a powędrował ku plecocom Jill. Nagim plecocom Jill. Ogromny dekolt w kształcie litery U odsłaniał każdy centymetr skóry od karku aż do talii. Każdy centymetr kuszącej skóry. Burke zdał sobie sprawę, że jego optymizm był przedwczesny.

O Boże, pomyślał, to będzie długi wieczór.

Szampan był drogi i perlisty, cielęcina idealnie wypieczona i soczysta, orkiestra świetna. Jednakże Burke w ogóle tego nie zauważył, podobnie jak zdobnego sufitu, kryształowego żyrandola, stołów z marmurowymi blatami i antycznych mebli.

Prawdę mówiąc cała jego uwaga koncentrowała się na plecach Jill. Gładkich, kremowych plecach, usianych rdza-

wymi piegami i przypudrowanych złotym pudrem, lśnią-
cym wyzywająco w ostrym świetle.

Burke podniósł kieliszek do ust i pociągnął łyk zimne-
go szampana bez smaku. Dwudziesty trzeci, pomyślał cier-
pko, przyglądając się kolejnemu mężczyźnie, przystojnia-
kowi z innej kancelarii adwokackiej, który musnął czubka-
mi palców nagie plecy Jill. Nigdy przedtem nie zastanawiał
się nad tym, że mężczyzna towarzysząc kobiecie, prowa-
dząc ją, kładzie często dłoń na jej plecach, i to w różnych
punktach, od karku aż do talii, i uważa to za najnaturalniej-
szą rzecz pod słońcem. Szczerze mówiąc, czy sam nie miał
czasem tego zwyczaju? Najwyraźniej, nie było też towa-
rzysko naganne, by rozmawiając z kobietą, dotykać jej od
niechcenia na ułamek sekundy. Oczywiście, jeśli nie było
w tym geście zbytnej ostentacji.

Dwudziesty czwarty. Burke obserwował Charlesa Evansa,
w stalowoszarym smokingu i różowej koszuli, który podszedł
do Jill, podwyższając wynik. Burke odnotował ten fakt, po-
ciągając kolejny łyk szampana, po czym spojrział na zegarek.
Miał rację. Zapowiada się długi wieczór.

- Cape Cod.

Burke pochylił głowę ku kobiecie, z którą wypadało mu
rozmawiać, co jednak wymagało od niego zaangażowania
uwagi, on zaś kompletnie nie słuchał swej interlokutorki.

- Proszę?

Harriet Cummings, znana adwokatka z reputacją osoby,
która zawsze wie, do kogo zadzwonić, wyjęła złotą papie-
rośnicę ze swej wieczorowej torebki.

- Pozwolisz? - spytała, pokazując na eleganckie pa-

pierosy. Burke skinął głową. - Mówiłam, że uwielbiam Cape Cod. Kupiłeś tam willę, czy wynająłeś?

- Wynająłem. - Spojrzenie Burke'a, jak przyciągane magnesem, powędrowało ku Jill. Ona również poszukała go wzrokiem. Ich oczy spotkały się na chwilę, po czym oboje szybko odwrócili wzrok, jak gdyby zostali przyłapani na czymś zdrożnym.

- To dobrze, że znów jesteś czynny zawodowo.

- Ja też się cieszę - odpowiedział z roztargnieniem Burke.

- Słyszałam, że zaangażowałeś się z Jill McClain...

- W tym miejscu Harriet Cummings zrobiła przerwę, by zapalić papierosa. Burke nadstawił ucha. - ...w sprawę Strokerów. - Biały obłoczek dymu przesaczył się pomiędzy czerwonymi paznokciami.

- Tak, to prawda - odrzekł Burke z niezbyt mądrą miną.

- Zapowiada się ciekawy proces. Oczy wszystkich prawników w Bostonie...

Burke ponownie się wyłączył i skierował oko prawnika w stronę Jill. Stała do niego bokiem, mimo to jednak wciąż widział jej plecy. Gdy błądził wzrokiem po dekolcie odsłaniającym szczerze jedwabistą skórę, przyszło mu do głowy pytanie, co kobiety robią w takiej sytuacji ze staniem? Machinalnie przesunął wzrokiem po wypukłościach, rysujących się dumnie pod materiałem ze złotej lamy. Jill zmieniła pozycję i sprawa się wyjaśniła. Po prostu go nie wkładają. Burke zganił się z niesmakiem za podobne myśli. Ogarnęło go znów poczucie winy. Na litość

boską, co on robi? Dwudziesty piąty, policzył, jak gdyby odpowiadając sobie na to pytanie.

Wypił szampan do dna.

W tejsze chwili Jill uczyniła to samo.

Czy jej się zdaje, czy też wszystkie obecne kobiety interesują się Burke'em? Ledwie zdążyła o tym pomyśleć, zobaczyła, że Harriet Cummings odchodzi, a jej miejsce zajmuje inna kobieta. Tej Jill nie znała, zauważyła jednak natychmiast, że jest wysoka, zgrabna i piękna. Zupełnie jak...

- Wygląda tak, że chciałoby się go zjeść, prawda?
- szepnęła do niej tęsknie Ellen.

- Przypomnij mi, żebym wzbogaciła w poniedziałek twoje słownictwo - odrzekła Jill z niespodziewaną irytacją i odeszła.

Oczy Ellen zrobiły się niemal okrągłe ze zdumienia.

Wieczór toczył się dalej. Dziwnie. Czasami Jill i Burke zdawali się dystansować od siebie, tak jak przez ostatnie dwa tygodnie. Pełni rezerwy, odsuwali się od siebie fizycznie i uczuciowo. W takich chwilach Jill czuła w powietrzu dławiące napięcie. Czy on czuł je również? A może tylko wyobrażała to sobie? Kiedy indziej znów rozmawiali ze sobą jak para dobrych przyjaciół, dawna Jill i dawny Burke, którzy zawsze tak lubili się ze sobą przekomarzać.

W takim właśnie momencie Jill podeszła do Burke'a, świeżo po rozmowie z sędzią O'Halleronem i powiedziała:

- Myślałam, że już nic z ciebie nie zostało.

Burke uniósł brew do góry.

- Jeśli Ellen jeszcze raz powie, że wyglądasz tak, iż

chciałoby się cię zjeść... - nie dokończyła groźby.
- Wprost pożera cię oczami.

Jej uwaga całkowicie zaskoczyła Burke'a. Wybuchnął śmiechem. Stuprocentowo męskim śmiechem. Stuprocentowo kobiece serce Jill zatrzepotało. Przekląła się za swoją słabość.

- Dla niej każdy, kto nosi spodnie, tak wygląda.
- Bardzo możliwe.
- Czy ona znów powiększała chirurgicznie piersi?

W odpowiedzi Jill tylko wzruszyła ramionami.

- Po co kobiety to robią? - spytał poważnie.
- Prawdopodobnie z różnych powodów, ale myślę, że większość robi to po to, by się bardziej podobać mężczyznom.
- Przecież numer stanika niewiele ma wspólnego z atrakcyjnością. Znacznie więcej rzeczy stanowi o seksowności kobiety.

Na przykład? - chciała spytać.

Na przykład, nieskazitelnie piękne plecy - omal mu się nie wyrwało.

Nastrój znów się zmienił, tym razem przechodząc w intymność, której żadne z nich się nie spodziewało i nie umiało się w niej znaleźć. Nie mogli oderwać od siebie oczu. I nie chcieli. Tylko czuli się coraz bardziej zakłopotani przeciągającym się milczeniem.

Orkiestra zaczęła grać jakiś wolny utwór. Coraz więcej par gromadziło się na parkiecie. W końcu zostali sami. Stali naprzeciwko siebie, patrząc sobie w oczy.

Zapominając o ostrożności, Jill puściła wodze wyobraźni. Zaczęła marzyć, jak wyglądałby taniec z Bur-

ke'em. Niemal czuła ciepły dotyk jego ramion, bliskość jego ciała. Wyobrażała sobie, że tańczą jako para, choć dobrze wiedziała, że nią nie są. Że nawet nie zamierza poprosić jej do tańca. Wmawiała sobie, że wcale jej na tym nie zależy. A jednak wydało jej się, iż słyszy jego głos:

- Może zatańczymy?

Usłyszała te słowa tak wyraźnie, jak dźwięk dzwonów w pogodny dzień, choć usta Burke'a nie poruszyły się. Wyobraźnia płata czasami dzikie figle, myślała, gdy usłyszała znów:

- Jilly, zatańczysz ze mną?

Czar prysnął... Charles Evans mierzył ją wyczekującym spojrzeniem.

- Zatańczysz?

- Ja... eee... oczywiście - odpowiedziała Jill z namiastką uśmiechu. Oczy jej i Burke'a spotkały się na chwilę. Oczy mężczyzny nic nie wyrażały. - Przepraszam - wymówiła szeptem.

Burke patrzył bez słowa, jak Charles Evans prowadzi Jill na parkiet. Jego dłoń dotykała pieśczośliwie pleców dziewczyny, także podczas tańca. Burke wyobraził sobie, co musi czuć. Ciepłą, gładką, jedwabistą skórę. Odsunął od siebie tę myśl, jak również tę, że filigranowa Jill i Charles Evans, średniego wzrostu, o atletycznej budowie, stanowią przyjemną dla oka parę.

Mogłeś ją poprosić do tańca, mówił mu głos jego serca. Nie, nie mogłeś, protestował głos rozsądku.

Charles Evans pochylił się ku Jill i coś do niej powiedział. Dziewczyna roześmiała się.

Burke wziął kolejny kieliszek szampana. Trzeci. Kto by tam liczył? - prychnął lekceważąco.

Dobrze tańczy, pomyślał. Widział to nawet z tej odległości. Sposób, w jaki stawiała stopy, kołysała ramionami, biodrami... Dobrze tańczy.

Evans opuścił rękę niżej i ujawszy Jill w talii, obrócił ją. Przy tym ruchu suknia rozchyliła się i w długim wycięciu Burke dostrzegł zgrabną nogę w jedwabnej pończosze.

Pociągnął solidny łyk szampana. W głowie kłębiły mu się bezładne myśli. Pewnego dnia Jill poślubi mężczyznę w typie Evansa - bystrego, przystojnego, obiecującego - i będzie miała z nim dzieci. Tak być powinno. On też powinien je mieć z... Czy Evans przesunął dłoń jeszcze niżej? Nie twój interes, Rawlins. Nie twój in... Ciekawe, co jej przed chwilą powiedział? I co ona mu odpowiedziała?

Burke sięgnął po następny kieliszek.

Dłoń Evansa, gdy obracał Jill w tańcu, zsunęła się na jej krągłe biodro.

Jeszcze przed chwilą Burke pragnął, by Evans zabrał rękę z nagich pleców Jill, teraz wolałby, żeby ją tam położył z powrotem. Tłumaczył sobie, że nie ma prawa do takich myśli, ale nie mógł nic na to poradzić.

Orkiestra przestała grać, tańczące pary zaczęły schodzić z parkietu. Charles Evans niechętnie puścił Jill. Wymienili jakieś spostrzeżenia, śmiejąc się, potem Evans znów coś powiedział, prawdopodobnie pochwalił suknię. Jill mu podziękowała.

Orkiestra znów zaczęła grać jakiś wolny utwór, smętnie zawodził saksofon. Jill chciała zejść z parkietu, ale Evans

przytrzymał ją lekko za ramię, wskazując głową tańczące pary. Uśmiechnął się kusząco. Nieodparcie?

Burke wysączył szampana do dna, odstawił kieliszek na pobliski stół i ruszył w stronę parkietu. Wyrzucał sobie, że zachowuje się impulsywnie, mimo to jednak nie potrafił się powstrzymać.

- No, chodź, Jilly - mówił Charles Evans - zatańczmy jeszcze raz. - Pociągnął ją za rękę.

Burke poczuł nagłą chęć, by go odepchnąć, zamiast tego jednak powiedział:

- A co z tańcem, który mi obiecałaś?

Podniosła wzrok. Ich oczy się spotkały. Dostrzegła w oczach mężczyzny coś pośredniego między wściekłością a zazdrością. Jej wyrażały wyłącznie zdumienie.

Można było odnieść wrażenie, że na chwilę cała trójka została zawieszona w czasie i przestrzeni.

Wreszcie Charles Evans puścił ramię Jill.

- Proszę bardzo - powiedział, uśmiechając się - nie mam zamiaru konkurować z szefem. W końcu od niego zależą moje dochody. - Uśmiechnął się jeszcze szerzej i patrzył wyczekująco na pozostałą dwójkę. Oni jednak nie odwzajemnili uśmiechu. Stali wpatrzeni w siebie, jak gdyby świat wokół nich przestał istnieć. - No cóż - powiedział z zakłopotaniem Charles Evans - zobaczymy się później, Jill.

Jill znalazła się w ramionach Burke'a. Nie potrafiła określić, kiedy to się stało. Po prostu najpierw stała sama, a w następnej chwili została pochłonięta przez niewiarygodne ciepło. Masywne ciepło. Ciepło, dające poczucie bez-

pieczeństwa. Ciepło, które oplotło ją płomiennymi, żarzącymi się niteczkami.

Jest taki wysoki!

Jest taka malutka!

Uniosła rękę, kładąc ją na ramieniu Burke'a. Burke walczył ze sobą, by nie dotknąć jej pleców. Zamiast tego ujął ją niezręcznie w pasie, tam gdzie materiał izolował jego dłoń od nagiego ciała.

- Skłamałaś - powiedziała, spoglądając mu w oczy.

Nie prosiłaś mnie wcale do tańca, jak więc mogłam ci go obiecać?

- No to podaj mnie do sądu za krzywoprzysięstwo.

- Znasz dobrego adwokata?

Uśmiechnęły się do siebie. Szczerze. Bez zahamowań.

Jill pomyślała żartobliwie, że być może nie zna dobrego adwokata, natomiast z pewnością zna przystojnego. Natychmiast skarciła się za tę myśl i celowo przeniosła wzrok na ich splecione dłonie... i na złotą obrączkę na palcu Burke'a.

To tylko taniec, mówiła sobie. Nic więcej. Czemu więc la ciepła dłoń budziła w niej zupełnie inne uczucia niż dłoń przypadkowego partnera? I czemu miała ochotę wtopić się w jego silne ciało?

- Widzę, że spinki się trzymają - powiedziała, próbując skierować swoje myśli na inne tory.

Burke mruknął jakąś niepochlebną uwagę o spinkach i ich wynalazcy.

Tym razem unikali spojrzenia sobie w oczy, jak gdyby obawiali się zobaczyć w nich odbicie tych kilku niepokojących minut w mieszkaniu Burke'a.

- Jesteś zmęczony? - spytała Jill w chwilę później, zwracając się najwyraźniej do starannie zawiązanej muszki. - Wiem, że miałaś ciężki dzień. Rano jeszcze w Nowym Jorku, wieczorem w Bostonie.

- Owszem - odpowiedział Burke -jestem zmęczony.

- Wyjdziemy, kiedy zechcesz - powiedziała, spoglądając w górę na jego gładko wygolony podbródek i wdychając męski, podniecający zapach wody kolońskiej.

Nie mógł zaprzeczyć, że podoba mu się kolor jej oczu, jak również świeży, słodkawy zapach perfum, który zaczął mu się z nią kojarzyć. Złota suknia szeleściła lekko, zalotnie.

- To zależy od ciebie.

Czy to z powodu różnicy wzrostu, czy też ze zmęczenia, a najpewniej dlatego, że raczej wpatrywali się w siebie, niż tańczyli, Jill potknęła się nagle.

- Och! - pisnęła, przytrzymując się klap smokingu Burke'a. Odruchowo przesunął rękę, muskając jej nagie plecy.

Żar!

Żywy ogień!

Oczy Burke'a pociemniały, zamgliły się, były teraz zupełnie szmaragdowe. Oczy Jill zrobiły się niemal granatowe, niczym ocean nocą.

Oboje zamarli w oczekiwaniu, wstrzymując oddech.

Burke przestrzegął siebie, by tego nie robić, by nie dotykać pleców Jill, ale, słodki Boże, nie mógł się powstrzymać! Marzył o tym przez cały wieczór. Działając wbrew rozsądkowi, wbrew swej woli, pogładził lekko

czubkami palców jej skórę. Jill zadrżała. A może on? Powoli, powoli, nie odrywając oczu od jej twarzy, położył dłoń na jej plecach.

Obojgu wyrwało się mimowolne westchnienie. Oboje przeniknął dreszcz. Oboje stracili panowanie nad sobą.

Powieki Jill zatrzepotały. Ich uda otarły się o siebie, nie skrępowane stanikiem piersi przyłgnęły do muskularnego torsu. Serca waliły jak młotem. Na jedną krótką, zapierającą dech w piersiach chwilę, Burke oderwał spojrzenie od oczu Jill i utkwiał je w jej ustach.

Patrzył.

Patrzył.

Pragnął...

- ...pańskiej żony.

Te słowa smagneły ich niczym srogi zimowy wiatr. Burke podniósł oczy... grzebał w pamięci, próbując przypomnieć sobie nazwisko intruza. Ted... tak, Ted Jakiś-tam. Pracował z Harriet Cummings. Do Burke'a dotarło, że orkiestra przestała grać. Pytanie, kiedy. Jego oczy znów poszukały oczu Jill. Zmieszany, puścił ją i odsunął się. Włożył do kieszeni rękę, która jej dotykała. Była wciąż ciepła. Ciepłem Jill.

- Bardzo mi przykro - mówił Ted Jakiś-tam.

- Dziękuję - odpowiedział Burke z nieobecną miną.

- Miło, że wróciłeś.

- Dziękuję - powtórzył Burke.

Mężczyzna oddalił się wraz ze swą partnerką, zostawiając Jill i Burke'a samych w morzu ludzi. Ich oczy się spotkały.

Poczucie winy. Tryskało zeń wszystkimi porami. Widać to tak wyraźnie, jak gdyby miał je wypisane na czole. Oczy zamgliło mu pożądanie. I to bolało ją najbardziej. Nie miała wątpliwości, że go pociąga, niestety, nie sprawiało mu to radości, przyjemności - budziło tylko wyrzuty sumienia. Niekłamane, straszliwe wyrzuty sumienia. I coś więcej. Gniew. Jeśli nie myliła jej intuicja, był zły na siebie... i na nią. Na siebie, że jej pragnie. Na nią, że wzbudza jego pożądanie.

- Burke...

- Chciałbym już pójść - powiedział cicho, lecz stanowczo. Bez wątpienia do domu, bezpiecznego domu, gdzie mógłby tarzać się w poczuciu winy i koić gniewem wyrzuty sumienia.

Jill nie zaprotestowała. Nagle również zapragnęła wyjść. Wyjść na powietrze, ochłodzić rozgorączkowane zmysły. Zeszli z parkietu i skierowali się ku drzwiom. Byli już w holu hotelowym, gdy usłyszała, że ktoś woła ją po imieniu.

- Jilly?

Zatrzymała się, niemal wpadając na Burke'a.

- Hej, czyżbyście już wychodzili? - spytał Charles Evans z pełną niedowierzania miną.

Jill i Burke wymienili spojrzenia.

- Tak - odpowiedziała. - To był... długi dzień.

- Jestem zmęczony - rzekł Burke, dodając coś na temat Nowego Jorku i podróży samolotem.

- Dajcie spokój, jest jeszcze wcześnie.

- Nie, doprawdy...

- Do zobaczenia w poniedziałek.

Gdy Charles Evans zorientował się, że tych dwoje naprawdę zamierza wyjść, pociągnął Jill za rękę.

- Posłuchaj, chciałem zaprosić cię później, ale... mam dwa bilety do teatru w przyszłym tygodniu. Czy nie...

- Charles, ja nie... - odparła Jill, powoli idąc ku drzwiom wyjściowym.

Wietrząc odmowę, mężczyzna dodał:

- Zadzwoń do ciebie jutro, dobrze?

- Ja nie... - Jill przerwała. Nie mogła potraktować go tak niegrzecznie. Charles był sympatycznym facetem i nie chciała urazić jego uczuć. Udało jej się przywołać uśmiech na twarz. - Dobrze. Zadzwoń do mnie.

Burke pchnął energicznie drzwi. Jill zauważyła błysk białego mankietu na tle opalanej skóry. I złotą obrączkę. Po raz pierwszy ten widok ją rozgniewał. Na litość boską, pomyślała, jak długo jeszcze ten facet zamierza ją nosić!

Na dworze Burke opisał portierowi samochód Jill. Gdy czekali na jego podstawienie, żadne nie odezwało się ani słowem. Parę chwil później Jill włączyła się w strumień samochodów. Jazda z St. James Avenue do apartamentu Burke'a trwała krótko i, podobnie jak podczas drogi powrotnej od Mary, przebiegała w kompletnym milczeniu.

Jill dałaby wiele, żeby poznać myśli Burke'a. Przydałoby się również uporządkować własne myśli i emocje. Bez wątpienia dominowało uczucie zawodu. Czuła do niego pociąg i to pociąg odwzajemniony. Wszystko powinno być proste, a nie było. Pomyślała, że teraz z pewnością nie będzie mógł się wyprzeć swoich uczuć. Nie będzie? Spojrzała na mężczyznę siedzącego na fotelu pasażera. Twarz

miął surową, ściagniętą. Nie tylko się ich wyprze, po prostu nie zechce nawet dopuścić takiej myśli. Ta świadomość spotęgowała jej gniew. Jak długo jeszcze ten facet zamierza nosić żałobę? Przyznała niechętnie, że jej pytanie jest nieszlachetne, nie fair.

Pomyślała również, że to niesprawiedliwe, by dotyk ręki Burke'a na jej plecach budził takie cudowne doznania. Ta myśl sprawiła, że jej gniew sięgnął niemal zenitu, toteż gdy Burke się wreszcie odezwał, odpowiedziała mu z takim samym rozdrażnieniem, jakie słyszała w jego głosie.

- Jilly? - wymówił najzłośliwszym tonem, na jaki potrafił się zdobyć.

Rzuciła szybkie spojrzenie w jego stronę i napotkała jego wzrok.

- I co z tego, że tak mnie nazywa? - Jej ton mówił: „Zrób coś z tym, chłopie!”.

- Masz zamiar się z nim umówić?

Wzruszyła ramionami, choć w gruncie rzeczy nie miała najmniejszej ochoty spotykać się z Charlesem Evansem.

- On nie jest w twoim typie.

- Kto tak powiedział?

- Ty.

Patrzyli sobie w oczy, nie mogąc nic z nich wyczytać.

- Och - powiedziała wreszcie z zakłopotaniem.

Żadne z nich nie powiedziało nic więcej, dopóki Jill nie zaparkowała samochodu przed domem, w którym mieszkał Burke.

Położył rękę na klamce, po czym rzekł z wahaniem:

- Ja... eee... dziękuję, że przyjechałaś po mnie.

Skinęła głową, aż zatańczyły pasemka jej jasnych włosów.

- Nie ma sprawy. - Po chwili, która zdawała się trwać wieczność, dodała zdławionym głosem: - Burke...

- Nie - przerwał jej, patrząc na nią błagalnym wzrokiem. - Proszę cię...

Chciała powiedzieć: „Musimy porozmawiać. Czy nie widzisz, co się dzieje między nami? Nie czujesz?” Nie powiedziała jednak nic. Burke odwrócił się, otworzył drzwi i wysiadł. Odprowadziła wzrokiem jego wysoką sylwetkę, ramiona pochylone pod ciężarem poczucia winy.

Było to nielogiczne, irracjonalne, i bynajmniej nie była z tego dumna, ale w tej chwili nienawidziła Nicole Rawlins. Dlaczego nie pozwala Burke'owi odejść? Odpowiedź była prosta. I bolesna. Nicole Rawlins wcale go nie trzymała. To on trzymał się jej. Ponieważ ją kochał.

W dziesięć minut po odjeździe Jill, Burke przebrał się w dres i wyruszył znów na ulice Bostonu. Biegł bez celu, aż znalazł się na Newbury Street. Mijał eleganckie butiki i drogie sklepy z wyrobami specjalnymi, teraz już zamknięte. Stare budynki, przeważnie z piaskowca, zamieszkałe niegdyś przez śmietankę towarzyską, wytrzeszczały na niego ciemne, zaspane okna. Łukowate bramy zdawały się ziewać, a nawet uśmiechać z pobłażliwością i mądrością właściwą podeszłemu wiekowi na widok wzburzenia obcego przybysza. Za piętnaście pierwsza, zmęczony, ociekający potem, wrócił do mieszkania. Celowo przeniósł fotografię Nicole z salonu do sypialni, wziął prysznic, po

czym położył się nagi na łóżku. Wciąż jednak nie mógł zasnąć. Do licha, czemu tak trudno zapomnieć dotyk ciepłej skóry Jill?

Burke przeklinał, Jill zaś do bladego świtu przewracała się z boku na bok, płacząc się w białej bawełnianej koszuli. Wreszcie trzy minuty po piątej zasnęła i spała do wczesnego popołudnia. Obudziła się z potwornym bólem głowy, wzięła dwie aspiryny i wyłączwszy telefon, wślizgnęła się z powrotem do łóżka. W tym samym czasie Burke przemierzał znów ulice Bostonu. Biegał, dopóki nie nadwerężył sobie mięśnia uda. Dokuśtykał do domu, opłukał się pod prysznicem, po czym spędził kolejny niespokojny dzień i kolejną bezsenłą noc.

Oboje obudzili się w poniedziałek rano ogromnie rozdrażnieni.

W korytarzu kancelarii Rawlins, Rawlins, Nugent and Carson rozlegał się głośny stukot obcasów Jill, przypominający odgłos wystrzałów. Usta miała zaciśnięte w wąską kreskę, oczy rzucały gniewne błyskawice.

- Cześć - powiedziała Ellen. - Świetnie się bawiłam w sobotę, a ty?

- Próbowałem się do ciebie wczoraj dodzwonić - rzekł Charles Evans.

- Masz może drobne do automatu z colą? - spytała recepcjonistka.

Jill pozostawiła Wszystkie pytania bez odpowiedzi. Prawdę mówiąc, nawet ich nie dosłyszała. Cała jej uwaga koncentrowała się na papierach, które trzymała w ręku.

Papierach, pokreślonych czerwonym długopisem, upstrzonych na marginesach uwagami.

Bez pukania, co było do niej absolutnie niepodobne, pchnęła drzwi do gabinetu Burke'a i wpadła do środka jak burza. Siedząc przy biurku, jedną ręką robił jakieś notatki, drugą trzymał przy uchu słuchawkę telefoniczną.

Podniósł na nią oczy. Jest wściekła. Potwornie wściekła, pomyślał. W następnej chwili uświadomił sobie, że chyba nigdy jeszcze nie wyglądała tak pięknie. Puszyste włosy, podpięte po obu stronach twarzy turkusowymi grzebinkami, idealnie pasującymi do żakietu, falowały przy jej energicznych poruszeniach, piękne niebieskie oczy słały błyskawice. Beżowa bluzka i beżowa spódnica dopełniały stroju. Gdy Burke przypomniał sobie, co się pod nimi kryje, zaklął w duchu.

- Co to ma znaczyć, do cholery? - wykrzyknęła Jill, rzucając papiery na jego biurko.

- Zadzwoń do ciebie później - rzekł Burke spokojnie. Jego spokój wzbudził jeszcze większy gniew Jill. Odłożył słuchawkę, odsłaniając mankiet bez spinek, co przywołało niepożądane wspomnienia, popatrzył przełomie w jej płonące gniewem oczy, potem na kartki papieru rozrzucone na blacie biurka. Poznał, że to jedyna praca, którą wykonał podczas tego weekendu. - Wydaje mi się - starał się mówić obojętnym tonem - że to twoje wystąpienie wstępne.

- Mylisz się - odparła Jill. - To twoje wystąpienie wstępne. Było moje, zanim się do niego nie dobrałeś swoim czerwonym długopisem.

- Prosiłaś mnie o uwagi - powiedział, czując, jak

wzbiera w nim gniew, który pielęgnował w sobie przez cały weekend.

- Nie prosiłam cię, żebyś je całkowicie przerabiał!
- Wcale go nie prze...
- Kiedy to zrobiłeś? - przerwała mu.
- Co?
- Kiedy naniósłeś swoje „uwagi”?
- Co to ma do...
- Kiedy?
- Wczoraj!

Jill zrobiła minę, mówiącą: „wiedziałam o tym” i westchnęła z najwyższym obrzydzeniem.

- Och, Burke, nie sądziłam, że możesz się do tego zniżyć.

Okręciła się na pięcie i wyszła z pokoju.

Zebrań papierów i dotarcie do gabinetu Jill zajęło Burke'owi nie więcej niż pięćdziesiąt siedem sekund. Zastał ją stojącą przy oknie.

- Czy imputujesz mi to, o czym myślę? - spytał, rzucając papiery na jej biurko. Jedna kartka ześliznęła się na podłogę niczym szybowiec, podchodzący do lądowania.

Odwróciła się na dźwięk jego głosu. Omal nie zemdląca na jego widok. Był tak nieprzyzwoicie przystojny. Wyglądał rewelacyjnie w ciemnobrązowej marynarce, beżowej kamizelce i brązowych spodniach.

- A co imputujesz, że ja ci imputuję?
- Że pozwalam sobie, by moje życie prywatne rzutowało na sprawy zawodowe.

Jill, jako dobry prawnik, nie omieszkała wykorzystać swojej przewagi.

- Jak mogłabym imputować, że twoje życie prywatne rzutuje na sprawy zawodowe!

- Doskonale wiesz, o co mi chodzi. Sugerujesz, że to, co się zdarzyło w piątek wieczorem... - przerwał, widząc, że zaplątał się we własne sidła.

- A cóż takiego zdarzyło się w piątek wieczorem? - spytała Jill, wymierzając ostateczny cios.

Niemal czuła ból, który zadała, wyrzuty sumienia, które wzbudziła. Przez ułamek sekundy było jej go żal. Ale, do licha, ona też cierpiała!

- Nic, absolutnie nic - odpowiedział, cofając się instynktownie.

- Kłamca! - rzekła oskarżycielskim tonem, a jednocześnie bardzo łagodnie.

Wydawał się tak bezbronny, że serce Jill zabiło współczuciem.

- Burke...

- Nie! - szepnął. Odwróciwszy się, wyszedł kulejąc z pokoju.

- Burke! - krzyknęła za nim.

Nie zatrzymał się, nie odpowiedział, po prostu wyszedł. Pragnął zaszyć się w bezpiecznym schronieniu swego gabinetu. Był zaledwie w połowie drogi, gdy drzwi otworzyły się po raz drugi. Odwrócił się. Skrzyżowały się spojrzenia zielonych i niebieskich oczu.

- Przykro mi, Burke - powiedziała Jill - ale tym razem nie uciekniesz.

- O czym ty mówisz...
- Jeśli nie powiesz mi, co się dzieje...
- Nic się nie dzieje...
- ...to ja ci powiem.
- Jill, proszę...
- Pragniesz mnie i z tego powodu zzerają cię wyrzuty sumienia.

Jej słowa zawisły w powietrzu, groźne niczym burzowe chmury na błękitnym niebie.

Ze swojego miejsca Jill widziała, jak Burke przełyka z trudem ślinę.

- Mylisz się - wymówił ledwie dosłyszalnym szeptem.
- Doprawdy?
- Przecież ci powiedziałem.
- Udowodnij - powiedziała, podchodząc do niego.
- C-co masz na myśli?

Stała przed nim, niemal go dotykając.

- To, co powiedziałam. Udowodnij, że mnie nie pragniesz. - Wspięła się na czubki palców i otoczyła ramionami jego szyję. - Wystarczy, że po prostu nie zareagujesz
- wyszeptła, przywierając wargami do jego ust.

Zaskoczyła go kompletnie.

Nim zdążył zareagować, ciepłe ciało Jill przylgnęło do jego ciała. Przez króciutką chwilę, zanim Burke zareagował oporem, poczuła, czym byłby pocałunek z nim. Potem jego wargi zeszywniały, choć, o dziwo, pozostały rozchylone. Napięte ciało było bierne, biernością, którą narzucił sobie wysiłkiem woli. Nie odsunął się jednak, co z pewno-

ścią mógł zrobić. Czy miało to coś znaczyć? Jill zareagowała, jak gdyby odpowiedź była pozytywna.

Jej usta przesuwały się zaborczo, zdecydowanie po jego wargach. Nie zwracając uwagi na pasywność mężczyzny, rozchyliła wargi, pogłębiając pocałunek. Zmobilizowała całą swą kobiecość, by przełamać jego opory, uwieść go.

Nie, nie, nie! - powtarzał w duchu Burke, usiłując zapanować nad własną reakcją. Wmawiał sobie, że nie pragnie tego pocałunku, nie marzył o nim przez cały weekend, a nawet dużo dłużej. Usiłował przywołać na pamięć wizerunek Nicole. Ciemne włosy, niebieskie oczy. Ależ nie! Nicole miała oczy brązowe. Niebieskie oczy ma...

Jill przysunęła się bliżej, opierając się piersioma o jego muskularny tors. Prawą ręką dotknęła jego policzka. Był kanciasty, gładki i ciepły. Ujęła palcami brodę Burke'a i nachyliła ku swojej twarzy pod wygodniejszym kątem. Rozchyliła mocniej usta i zaczęła wodzić czubkiem języka po jego wargach.

Złapał z trudem oddech, zaciskając z całej siły dłoń.

- Pocałuj mnie - zażądała rwącym się głosem i wsunęła głębiej język, dotykając jego języka.

Burke nie potrafił się oprzeć temu ni to rozkazowi, ni to błaganiu. Poddał się z jękiem. Chwycił ją za ramiona i przytulił do siebie tak mocno, że czuł niemal każde włókno jej zakietu, małe twarde guziczki bluzki - a może były to jej stwardniałe sutki? Ta ostatnia myśl przepełniła czarę. Jedną ręką przygarnął ją do siebie, drugą zaś zanurzył w bogactwie jej kędzierzawych włosów. Prymitywnie. Z całej siły.

Nie potrafił się opanować. Nawet nie próbował. Po prostu czuł. Boże, czy to takie naganne czuć znowu? Mężczyzna w jego ciele krzyczał: nie, nie!

Ich języki badały się nawzajem, poczynając sobie coraz odważniej i wysyłając erotyczne sygnały.

Obojgu wyrwał się bezwiedny jęk.

Otoczyła silniej ramionami jego szyję w tej samej chwili, gdy on poszukał jeszcze większej bliskości. Jego ręce przesunęły się po jej plecach i ześlizgnęły na biodra. Przycisnął ją do siebie, czuła, jak bardzo jest podniecony.

Kręciło jej się w głowie, otwierała się dla niego cała - usta, ramiona, serce, łono - pragnęła wchłonąć go w siebie. Czuła się... czuła się... Boże, nie potrafiła określić, co czuje! Kompletnie przestała nad sobą panować. Było to wspaniałe! Reakcja mężczyzny była podobna, prysnęły resztki opanowania, jego pocałunek stawał się coraz głębszy, coraz gwałtowniejszy, szalony. Ach, jakże jej się to podobało! '

Pełna życia... taka pełna życia... Te słowa rozbrzmiewały w głowie Burke'a. Dobry Boże, była taka ciepła, taka kobieca, taka pełna życia!

Ich wargi i języki ścierały się z niepohamowaną siłą, aż wreszcie pocałunek sam się wypalił. Po prostu był zbyt namiętny, doznania przekroczyły wytrzymałość fizyczną i emocjonalną obojga.

W kulminacji radosnego zmysłowego oszołomienia, jakiego dotąd jeszcze nie przeżył, Burke oderwał nagle wargi od jej ust. Chwytną z trudem oddech, zdumieni intensywnością własnych doznań, wpatrywali się w siebie bez słów.

wa. Usta mieli wilgotne, oczy rozszerzone. Wreszcie Burke puścił ją. Odsunęła się, jak gdyby chcąc zyskać trochę perspektywy.

Potrzebowała jej, by przyjrzeć się Burke'owi. Jak było do przewidzenia, wyrzuty sumienia znów przytłoczyły stukilowym ciężarem jego ramiona. Serce jej się ścisnęło, gdy dostrzegła zmieszanie, malujące się na jego twarzy, i obrzydzenie do samego siebie. Na miłość boską, co ona najlepszego zrobiła?

Dotknęła drżącymi palcami obrzmiałych ust. Poruszyła bezgłośnie wargami, nie mogąc wykrztusić słowa. Uczyniła jeszcze jeden krok do tyłu, jeszcze jeden... po czym wybiegła z gabinetu, zostawiając za drzwiami swoje szaleństwo.

Wpadła do pokoju, zatrzasnęła drzwi i oparła się plecami o twarde drewno. Zamknęła oczy. Serce wciąż tłukło jej się w piersi jak spłoszony ptak, ciało mrowiło na wspomnienie pocałunku Burke'a, czuła się jak ostatnia idiotka. Dokąd zaprowadziła ją jej zwykła uczciwość? Jednym fałszywym krokiem, którego nie da się cofnąć, zniszczyła przyjaźń, która łączyła ją i Burke'a. Co ją teraz zastąpi? Nic. W dodatku sprawiła, że cierpiał. Widziała cierpienie w jego oczach, w jego pobladłej twarzy.

Odepchnąwszy się od drzwi trzęsącymi się rękami, podeszła do okna i stanęła przy nim, spoglądając na Boston w jasnym świetle poranka. Z jedenastego piętra ludzie na ulicach przypominali zabawki, wydawali się jacyś nierealni, wyzuci z uczuć. A przecież marzyli, pragnęli, cierpieli, płakali, kochali... Kochali. Czy zakochała się w Burke'u?

Nie miała pojęcia. Wiedziała tylko, że kilka minut temu przeżyła w jego ramionach coś, czego nie przeżyła z żadnym mężczyzną.

Przesunęła palcami po wciąż wilgotnych wargach. Były obolałe... podobnie jak jej uczucia.

Stała tak, przyciskając usta dłonią, z sercem podchodzącym do gardła, gdy usłyszała, że drzwi się otwierają. Usłyszała strzępki rozmów z korytarza, po czym zapadła cisza. Nie odwróciła się, wiedziała jednak, że Burke stoi za nią. Czuła go. Czuła, że jej serce znów zaczyna bić w przyspieszonym rytmie, war oblewa jej ciało.

- Musimy porozmawiać - powiedział.

Jill spojrzała na niego przez ramię... napotkała jego wzrok, zamglony wzrok... i spostrzegła, że z jednej strony ma rozburzoną fryzurę. Przeczesła palcami potargane loki w poszukiwaniu grzebyka, który je podtrzymywał, nie mogła go jednak znaleźć. Musiał jej wypaść. Ale gdzie i kiedy? Może...

- Proszę. - Burke podał jej grzebyk.

Ich oczy spotkały się na chwilę, nim wyciągnęła rękę po turkusową ozdobę. Oboje niezręcznie unikali jakiegokolwiek kontaktu fizycznego.

- Dziękuję.

Odwróciła się z powrotem do okna, poprawiając fryzurę niepewnymi palcami. Burke przypatrywał się jak zahipnotyzowany niesfornym lokom, po czym zbliżył się do niej i również zaczął wyglądać przez okno.

- Masz... ee... masz szminkę... - odezwała się Jill po chwili, nie patrząc na niego.

Burke spojrział na nią, po czym sięgnął do tylnej kieszeni spodni i wyjął białą chusteczkę. Wylał nią starannie usta, po czym schował z powrotem do kieszeni. Zastanowił się przelotnie czy jej usta są równie obolałe jak jego.

Płynęły sekundy, czas był płótnem, na którym malowały się emocje - wyraźne czerwone smugi niepewności i żalu, upstrzone chłodniejszymi kolorami wątpliwości i zawodu. Nad wszystkim dominowały miriady czarnych cieni poczucia winy.

- Jako prawnik... przywykłem do liczenia się z faktami - powiedział wreszcie Burke, wpatrując się w jakiś odległy punkt na horyzoncie i przestępując nerwowo z nogi na nogę. - Wszystko świadczy o tym, że jesteś dla mnie...
- przełknął ślinę i poprawił się: - .. że cię pragnę.

Jill się nie odezwała. Nie wiedziała, co powiedzieć. Wiedziała tylko, co czuje - ulgę, że wreszcie przyznał się do swego pociągu do niej, a jednocześnie coś w rodzaju wyrzutów sumienia, iż tak z tego powodu cierpiał.

Nagle Burke roześmiał się głośno, chrapliwie.

- Raczej trudno byłoby temu zaprzeczyć w sytuacji, gdy omal nie rzuciłem cię na podłogę w moim gabinecie.
- W jego głosie znów dał się słyszeć gniew. Skierowany przeciwko niemu czy przeciwko niej? Prawdopodobnie przeciwko obojgu.

- Burke, to moja wina. Gdybym nie...

- To nie była twoja wina.

- A właśnie, że tak.

- Nie!

- Tak!

Obrzucił ją wściekłym spojrzeniem.

- Do diabła, Jill, nie zmuszałaś mnie, żebym się tak podniecił - rzekł bez osłonek, wkładając ręce do kieszeni spodni. Jill była ciekawa, czy ten gest miał maskować jego reakcję. - Mogłem cię odepchnąć, ale najwyraźniej wolałem tego nie robić - dodał nieco ciszej.

Osaczyły ich wspomnienia tamtej chwili. Jill przypomniała sobie agresywny dotyk warg Burke'a, aksamitną pieśczość jego języka, intymny, bezwstydnym napór męskiego ciała, promieniującego zmysłową siłą.

Burke pamiętał wciąż niewiarygodne uczucie, jakie go ogarnęło, gdy przyłgnęła do niego swoim miękkim ciałem, kusicielską uległość jej warg, fakt, że nie obawiała się ani nie wstydziła okazać swego pożądania. Wiedział, że byłaby aktywną kochanką i ... Powstrzymał się od stwierdzenia, że go to podniecało. Za późno. Poczucie winy zdążyło już się wkraść do jego myśli.

- Ja... - Burke przeczesał palcami kasztanowate włosy
- ... muszę być uczciwy.

- Słucham.

- Nie... nie jestem pewny, dlaczego... to znaczy, pragnę cię, ale nie wiem... - Zawahał się, nie mogąc znaleźć odpowiednich słów.

- Czego nie wiesz?

- Czy dzieje się tak dlatego, że nie miałem... - Znowu przerwał i zaklął głośno. - Czy zawsze musisz być tak cholernie uczciwa? - spytał, wiedząc, że jego słowa mogą ją zranić.

- Co próbujesz mi powiedzieć, Burke?

Odwrócił wzrok.

- Jill, ja...

- Wyduś to z siebie wreszcie.

- Nie miałem kobiety od... śmierci Nicole.

- I nie jesteś pewny, czy pociąg, który czujesz do mnie nie jest spowodowany po prostu brakiem kobiety.

Czuł wewnętrzną potrzebę, by bronić jej nawet przed samym sobą, dlatego stłumił pragnienie, by znów pochwycić ją w ramiona.

- Tak.

To wyznanie spowodowało tępy ból w sercu Jill. Przyjęła go jednak z godnością.

- Sądzę, że istnieje taka możliwość, prawda?

Widział, jak zmagają się w niej różne uczucia, zauważył, jak dumnie unosi brodę i prostuje ramiona. Nigdy nie darzył nikogo większym szacunkiem. Upewnił się co do tego, co podejrzewał od samego początku - Jill McClain jest prawdziwą kobietą, której mężczyzna może zaufać, na której może polegać w trudnych sytuacjach życiowych.

- Jill, ja... ja sam nie wiem, co czuję. - Westchnął, dodając z rozdrażnieniem: - Nie chcę czuć czegokolwiek. Nie chcę mieć... - przerwał.

- Potrzeb seksualnych?

- Tak - odpowiedział chrapliwym, rwącym się głosem, zniecierpliwiony ludzką słabością swego ciała. - Tak - dodał spokojniejszym tonem - ale nie potrafię nad nimi zapanaować. Chciałem, żeby umarły razem z Nicole, ale...

- One wciąż ci przypominają, iż jesteś żywym człowie-

kiem? - podpowiedziała Jill, mając nadzieję, że zdobyła przynajmniej jeden mały punkt.

Tak było. Powiedziały to jego oczy. Powiedziały również, że odrzuca tę łatwą wymówkę.

Burke westchnął głęboko wiedząc, że jest jeszcze jedna sprawa, o której powinien powiedzieć Jill. Tylko to mógł jej ofiarować. Jednakże przyznając się do tego, dokładał jeszcze jedną cegiełkę do swych wyrzutów sumienia.

- Chcę, żebyś o czymś wiedziała - wymówił z trudem.
 - Powiedziałem, że mogę odczuwać do ciebie pociąg, tylko dlatego że nie miałem... - Przerwał, biorąc głęboki oddech. - Prawda jest taka, że nikt inny... to znaczy, żadna inna kobieta... nie pragnąłem tak żadnej innej kobiety.

Jill zrobiło się ciepło na sercu. Tym bardziej że zdawała sobie sprawę, jak trudno było mu się do tego przyznać.

- Dziękuję, że mi to powiedziałaś.

Stali, patrząc sobie w oczy. Oboje wyczuwali nawzajem swoje cierpienie i wiele daliby za to, żeby je uśmierzyć.

- Jill... - zaczął Burke, nie potrafił jednak znaleźć słów, które odzwierciedlałyby jego uczucia.

- Pragnę cię - rzekła Jill z właściwą sobie szczerością.
 - Pragnę cię w moim życiu. Z jednej prostej przyczyny. Zakochałam się w tobie. - Uśmiechnęła się. - Nie wiem, kiedy to się zaczęło. Wiem tylko, że tak jest.

Jej szczere wyznanie rozbroiło go.

- Jill... ja... nie mam ci nic do ofiarowania. Wciąż jestem związany z przeszłością. Znalazłem się w martwym punkcie, gdzieś pomiędzy śmiercią a życiem. Nie jestem martwy, ale też nie żyję.

- Ponieważ taki był twój wybór - powiedziała bez ogródek.

- Nie. Ponieważ na to zasługuję.

- Co to znaczy? - spytała, marszcząc brwi.

Burke odwrócił wzrok, zapewne w kierunku przeszłości, która więziła jego duszę.

- Zabiłem moją żonę. Gdybym nie...

- Nie możesz mówić poważnie - przerwała mu Jill.

- Mój Boże, Burke, popełniasz odwieczny błąd. Kompleks winy. Z pewnością jesteś zbyt inteligentny, żeby wierzyć...

- Tu się nie da zastosować racjonalnego podejścia. Ważne jest to, co czuję. Nocą. Gdy jestem sam. Tylko ja i reflektory samochodu, wyłaniające się nie wiadomo skąd! Powinienem był coś zrobić, zauważyć je, powinienem...

- Umrzeć razem z nią?

Starli się spojrzeniami.

- Tak, do cholery! Tak!

- To najgłupsza rzecz, jaką kiedykolwiek słyszałam - powiedziała Jill, czując, że nerwy ma napięte do granic możliwości. - Nie znałam Nicole, ale mogę cię zapewnić, że byłaby wściekła, słysząc twoje słowa. Miłość nie jest więzieniem, Burke, lecz wyzwoleniem.

Mijały długie sekundy, namiętności zdawały się iskrzyć w powietrzu, niczym wyładowania elektryczne.

- Czy nie widzisz, że spłacasz dług, którego nie zaciągnąłeś? - dodała wreszcie Jill. - Nie widzisz, że sam się oszukujesz?

- To lepiej niż gdybym oszukiwał ciebie. - Patrzyli so-

bie w oczy, nie wiedząc, co powiedzieć, jak się zachować. Wreszcie Burke wymówił szeptem: - Przepraszam.

- Burke? - zawołała Jill, gdy był już przy drzwiach. Odwrócił się.

- Pewnego dnia będziesz musiał pogodzić się z faktem, że Nicole umarła, a ty żyjesz, i że nie ponosisz winy ani za jedno, ani za drugie.

Nic nie odpowiedział.

Mierzył ją przez chwilę wzrokiem, po czym otworzył drzwi i wyszedł.

Tego popołudnia chyba wszyscy pracownicy, zmęczeni, poszukujący natchnienia, stłoczyli się o tej samej porze w bufecie firmy Rawlins, Rawlins, Nugent and Carson.

- Cukru?

- Poproszę.

- Możesz mi podać śmietankę?

- Oczywiście. Hej, gdzie jest śmietanka? Czy ktoś widział śmietankę?

- Nadepnałeś mi na nogę!

- To cholerne draństwo znowu połknęło moją ćwierćdolarówkę! - Ktoś rąbnął pięścią w automat z coca-colą.

Jill przepchnęła się przez tłum do dzbanka z kawą.

- Cześć - przywitała się z Idą Tumbrello, która nalewała właśnie do filiżanki ciemny płyn. - Czy coś tam jeszcze zostało?

- Żartujesz! To świństwo jest tak mocne, że chyba samo się rozmnaża.

- W dalszym ciągu nikt nie przyznaje się do parzenia?

- Ludzie mogą się przyznać do aktów terrorystycznych, ale nie do parzenia tej kawy.

Jill roześmiała się i sięgnęła po plastikowy kubek.

- Do zobaczenia później - powiedziała starsza kobieta, torując sobie drogę przez tłum.

- Dobrze - odrzekła Jill, uśmiechając się. Był to znany rytuał. Powiedziano jej kiedyś, że od dziesięciu lat, codziennie o czwartej po południu - ani minutę wcześniej, ani minutę później - od śmierci żony Andrew Rawlinsa, Ida Tumbrello nalewa szefowi filiżankę kawy, zanoszą mu ją i spędza u niego dziesięć minut - ani minutę dłużej, ani minutę krócej - rozmawiając z nim na różne tematy. Jill często zastanawiała się, czy to podczas tych dziesięciominutowych seansów Ida zakochała się w Andrew Rawlin-sie. A może zawsze go kochała? To pytanie zwróciło jej myśli ku Burke'owi. Czy ona też od dawna żywi dla niego te uczucia - jakiegokolwiek są - tylko ukrywała je dotąd skrzętnie? Nawet przed sobą? Nie знаła odpowiedzi na to pytanie.

- Och, przepraszam - powiedziała Ellen, przepychając się między stłoczonymi kolegami. Miała na sobie biały sweter, który wyglądał, jak gdyby kryły się pod nim dwa Mount Everesty. - Strasznie mi się chce pić. Czy ktoś może mi pożyczyć ćwierć dolara?

Wszyscy mężczyźni sięgnęli do kieszeni. Wszyscy, z wyjątkiem jednego. Burke stał, wpatrując się jak zahnotyżowany, w kobietę nalewającą kawę. Unikał jej przez cały dzień. Teraz zwątpił, czy była to mądra decyzja. Na widok Jill niemal stracił oddech. Cóż z niego za dureń!

Pracował z nią tak długo i nie zauważył, że jest tak piękna! I niezwykle atrakcyjna!

Jak gdyby przyciągana niewidzialnym magnesem, Jill podniosła oczy, natychmiast zwracając je w stronę Burke'a. Miała uczucie, że ziemia pod nią zadrżała.

- Bądź tak dobra i nalej mi kawy - poprosił, przekrzykując zgiełk głosów. - Nie mogę się do niej przepchać.

Skinęła głową i napełniwszy drugi kubek - czy ręce jej się trzęsły? - spróbowała utorować sobie drogę powrotną. Omal nie zderzyła się z Charlesem Evansem.

- Uważaj, Jilly! - zawołał Charles, chwytając ją pod ramię. Wzrok Burke'a natychmiast powędrował z twarzy Jill na rękę Evansa. Poczuł ściskanie w żołądku.

- Przepraszam - powiedziała Jill, nie zatrzymując się. Jeszcze kilka kroków i znalazła się obok Burke'a. Podała mu kawę, mówiąc. - Ostrożnie. Jest... - ich palce się zetknęły, oczy spotkały - ..gorąca. - Oboje zawiśli spojrzeniami na swoich ustach.

Takie ciepłe, pomyślała Jill. Wciąż pamiętała ciepły dotyk jego warg. Czy jej się wydaje, czy są lekko obrzmiałe?

Takie miękkie, pomyślał. Delikatne, o smaku miodu i namiętności. Czy mu się wydaje, czy są lekko obrzmiałe? Mój Boże, czyżby tak mocno ją całował?

- Jak ci idzie praca? - spytał, zmuszając się, by wrócić spojrzeniem do jej oczu.

. - Nieźle - wzruszyła ramionami. - Właśnie wprowadziłam pewne zmiany do mojego wystąpienia.

Jej uwaga sprawiła, że poczuł się jak ostatnia świnia.

- Jest dobre. Nie powinienem był...

- Owszem, wniosłeś kilka ważnych spostrzeżeń krytycznych.

- Wykorzystaj to, co uważasz za stosowne. Resztę wyrzuć.

- Czy wiadomo coś bardziej konkretnego o terminie procesu?

- Nie. Choć plotka głosi, że odbędzie się wkrótce.

- To dobrze.

Podszedł Charles Evans z kubkiem w ręku i stanął obok Jill. Upił łyk kawy i skrzywił się - może z powodu jej smaku, a może sparzył się w język.

- Przyjadę po ciebie około wpół do ósmej.

Jill spojrzała przelotnie na Burke'a, potem na Charlesa.

- Świetnie. - Starła się wykrzesać z siebie odrobinę entuzjazmu, ale jej się to nie udało.

- Co z twoją nogą, Rawlins? - spytał Evans.

Nie uzyskał odpowiedzi. Całe zainteresowanie Burke'a skupiało się na Jill. Wyczuła to i siłą woli zmuszała się, by na niego nie patrzeć.

Świdrujący wzrok Charlesa Evansa wreszcie dotarł do świadomości Burke'a.

- Słucham?

- Zauważyłem, że kulejesz. Co sobie zrobiłeś w nogę?

- Nadwreżyłem mięsień.

- Podczas biegania?

- Tak.

- Mnie się to też kiedyś zdarzyło. Podczas gry w piłkę nożną. - Przez następne kilka minut musieli słuchać nudnych szczegółów na temat nadciągniętego mięśnia Charle-

sa Evansa. Wreszcie odszedł... uśmiechając się przedtem do Jill.

Zapadło milczenie.

- Ja... ee... wybieram się z Charlesem do teatru.

Nie powiedziała tylko, czemu przyjęła jego zaproszenie. Przyparł ją w południe do muru po raz drugi, a gdy stało się jasne, że zamierza mu odmówić, spytał, czy to z powodu Burke'a? Zaskoczyło ją to. Co ma na myśli? Wzruszył ramionami i powiedział, że przyszło mu do głowy, iż być może „coś jest między nimi”. Potem dodał, że przecież „wyszli tak wcześnie z przyjęcia i w ogóle”. Jill bała się zapytać, co rozumie przez to „i w ogóle”. Czyżby Charles Evans posiadał szósty zmysł? Nie chcąc, żeby zaczęły się plotki na ich temat, zgodziła się z nim umówić. Sama zadawała sobie pytanie, czy był to jedyny powód? Czy nie miała nadziei, że obudzi zazdrość Burke'a?

- Kiedy? - spytał Burke.

- W środę wieczorem.

- Rozumiem. - Jego głos nie brzmiał całkiem pewnie. - Właściwie to dobrze. Spodziewam się... że będziesz się dobrze bawiła. No, cóż, mam jeszcze kilka telefonów do załatwienia.

Jill patrzyła, jak odchodzi, utykając. Czemu nie zauważyła tego wcześniej? No tak, rano była zajęta czymś zupełnie innym.

- Burke?

Odwrócił się.

- Czy to boli? To znaczy, twoja noga.

- Tak - odpowiedział. W głębi duszy musiał jednak

przyznać, że nadciągnięty mięsień sprawiał mu mniej cierpienia niż świadomość, że Jill spędzi środowy wieczór z innym mężczyzną.

W środę wieczorem padał deszcz, krople bębniły o szyby w niespokojnym rytmie. A może to on był po prostu podenerwowany?

Burke, boso i bez koszuli, w samych tylko zniszczonych dżinsach, zmusił się wreszcie do przerwania wędrówki po pokoju i usiadł ciężko na kanapie. Wziąwszy ostami numer „New Yorkera”, przejrzał go, omijając artykuły na temat ekonomii oraz rynków zagranicznych. Z głębokim, niecierpliwym westchnieniem rzucił magazyn z powrotem na podręczny stolik. Wreszcie włączył pilotem telewizor.

Ekran ożył. Kobieta o zgrabnych nogach namawiała do zakupu rajstop. Po niej znów mężczyzna wychwalał zalety mikrofalowego urządzenia do prażenia kukurydzy. Następnie kosmita robił wykład na temat płynów do płukania tkanin. Burke mruknął jakąś mocno niepochlebną uwagę na temat reklamówek i wyłączył telewizor. Wstał i poszedł do kuchni. Dopiero po raz drugi od powrotu do Bostonu nalał sobie bourbona z wodą.

Przechylił szklaneczkę, zadzwoniły kostki lodu, burztynowy płyn zwilżył mu wargi. Był łagodny w smaku, lecz mocny. Burke spojrział mimowolnie na zegarek na uniesionej ręce - trzynaście po dziesiątej.

Czy jest już w domu?

Wypił drinka do dna, próbując spłukać natrętą myśl.

Pogasił światła w mieszkaniu, przeszedł do sypialni, zrzucił dzinsy i wślizgnął się pod gorący prysznic. W kilka minut później, mokry i rozgrzany, wyszedł z kabiny prysznicowej i wzięwszy ręcznik oraz maść rozgrzewającą, pokuśtykał w stronę łóżka. Wytarłszy się z grubsza, rzucił ręcznik na podłogę i opadł na materac.

Zgiąwszy lewą nogę w kolanie, odkręcił tubkę i wycisnęła na dłoń białą maść. Oparł się wygodnie i wyprostował nogę, po czym zaczął pewnymi ruchami wcierać maść w obolały mięsień. Miała ostry mentolowy zapach i pozostawiała na skórze uczucie chłodu.

Było to przyjemne. Naprawdę przyjemne. A byłoby jeszcze przyjemniejsze, gdyby maść wcierała kobieca ręka - ręka Jill. Ta myśl spowodowała natychmiastową reakcję jego ciała. Oddech stał się szybszy, serce zaczęło tłuc się jak szalone, ogarnęło go podniecenie. Natychmiast poczuł wyrzuty sumienia. Próbował się ich pozbyć, wpatrując się w fotografię Nicole, stojącą na szafce nocnej przy łóżku. Było to jego ulubione zdjęcie, które zrobił na kilka miesięcy przed jej... śmiercią. Wyróżniał je spośród innych jej uśmiech. Radosny, pełen życia. Była szczęśliwa. Wiedział, że to on uczynił ją szczęśliwą. Wiedział też, że go kochała. Ta świadomość napełniła go radosnym zadowoleniem.

„Miłość nie jest więzieniem. Jest wyzwoleniem”.

Te słowa przypomniały mu kobietę, która je wypowiedziała. Burke spojrział na zegarek przy łóżku. Dwudziesta druga trzydzieści trzy.

Czy jest już w domu? Czy Evans pocałował ją na dobranoc? Może w tej chwili poznaje smak jej ust? Czy...

Burke zaklął, sturlał się z łóżka i odrzucił narzutę. Niecierpliwie wyłączył lampę i wślizgnął się pomiędzy chłodne prześcieradła. Podłożył ręce pod głowę i oddał się nieproszonym myślom.

Mrok. Deszcz. Huk pioruna. Błyskawica, która przecięła niebo. Tik tak... tik tak... tik tak... Burke popatrzył na zegarek. Dwudziesta druga trzydzieści cztery. Minęła zaledwie minuta. Jedna cholerna minuta!

„Pragnę cię w moim życiu. Z jednej prostej przyczyny. Zakochałam się w tobie”.

„Jilly?”

„I co z tego, że tak mnie nazywa?”

„Jilly... Jilly...Jilly...”

Wyobraził sobie Charlesa Evansa, całującego Jill. Zaklął ponownie. Nie zapalając lampy - ciemność sankcjonowała w jakiś sposób jego postępek - podniósł słuchawkę telefonu.

Przez niebo przewalił się niski grzmot właśnie w chwili, gdy w sypialni Jill zadzwonił telefon. Nie zapalając światła, poszukała po omacku słuchawki. Koszula z bladej żółtej satyny podjechała jej do połowy brzucha. Pod spodem nie miała nic.

- Halo?

- Cześć - powiedział Burke, czując nagłe ściskanie w dołku.

- Burke? - przełknęła z trudem ślinę.

- Czy... dzwonię może w niewłaściwej chwili? To znaczy, czy Evans wciąż jest u...

- Nie, poszedł już sobie.

Burke poczuł gwałtowną ulgę, po chwili jednak naszły

go znów wątpliwości. Czy Evans ją pocałował? A może wydarzyło się pomiędzy nimi coś więcej? Evans był zdrowym, normalnym facetem... Jill jest taka drobna, on zaś raczej atletycznej budowy, mógłby więc zrobić jej krzywdę... Duży mężczyzna musiałby uważać, żeby jej nie zmiażdżyć.

- Dzwonię, żeby cię powiadomić, że wyznaczono termin rozprawy.

Mówił sobie, że mógł zaczekać z tą nowiną do rana, tymczasem Jill doznała uczucia rozczarowania. Idiotko, myślałaś, że niby dlaczego dzwoni? Bo jest zazdrosny?

- Dostałem telefon zaraz po twoim wyjściu z pracy.

- Kiedy wyznaczono nam termin? - spytała, starając się, by jej głos brzmiał profesjonalnie.

Nie musi być tak cholernie oficjalna, pomyślał Burke, irracjonalnie rozdrażniony, że jej reakcja była raczej reakcją prawniczki niż kobiety.

- Na poniedziałek rano.

- To dobrze. Jesteśmy gotowi.

- Tak, damy im łupnia.

- Mogą nawet wygrać sprawę, gdy będziemy się tym zajmować - przekomarzała się z nim Jill.

Burke skrzywił wargi w uśmiechu i przewrócił się na bok. Prześcieradło owinęło mu się ciasno wokół bioder. Uwierało go boleśnie. Przesunął dłońią po nagim brzuchu, rozluźniając zaciśnięty materiał.

- Tak - odpowiedział z trudem.

Zapadło milczenie.

Czy leży w łóżku? Chyba tak, jego głos jest taki ciepły i rozleniwiony.

Czy leży w łóżku? Wydaje się taka rozluźniona. Ciekawe, w czym sypia?

Burke odchrząknął i stwierdził, że powinien się pożegnać.

- Jak podobała ci się sztuka? - spytał zamiast tego.

- Niezła - odpowiedziała Jill, opierając się na łokciu, włosy rozsypały się na jej ramionach złocistorudą falą.

- To była komedia muzyczna.

- Jedna z tych, na których facet zaczyna śpiewać, gdy zamierza pocałować dziewczynę?

To pytanie wywołało osobliwe mrowienie zarówno w ciele Jill, jak i Burke'a.

- Ta-ak.

Krępującą ciszę przerwał ogłuszający huk pioruna.

- U mnie pada - powiedział, wciąż odwołując chwilę odłożenia słuchawki.

- U mnie też.

- Co za zbieg okoliczności, prawda? - roześmiał się Burke.

Jill położyła się z powrotem na plecach i uśmiechnęła do poduszki.

- Właśnie. - W myślach błagała, by jeszcze nie odkładał słuchawki. - Jak twoja noga? - spytała, przedłużając tym samym rozmowę o kolejne kilka sekund.

Pytanie uświadomiło Burke'owi, że maść mentolowa wciąż szczypie go w udo. Przypomniało mu też, iż wcześniej pragnął, żeby to Jill mu ją wcierała, masowała nogę, głaskała... Odesłał tę myśl do diabła.

- Prawie dobrze. Do weekendu wykuruję ją na dobre. Będę mógł znów biegać.

- A jaką trasą zamierzasz biegać?
- To obojętne.

Znów zapadło milczenie. Tym razem było nie do zniesienia, zwłaszcza po ostatniej myśli Burke'a. Korciło go również straszliwie, by spytać czy Charles Evans pocałował ją na dobranoc. Jeśli nie odłoży słuchawki, nie wytrzyma i zada to pytanie.

- No cóż, nie będę ci dłużej zawracał głowy. Chciałem powiadomić cię o terminie rozprawy.

- Dzięki. Do zobaczenia jutro.
- Tak. Dobranoc.

Odłożywszy słuchawkę, długo leżała spokojnie w ciemności. Najpierw pomyślała, że mógł zaczekać z tą wiadomością do jutra, po chwili już tłumaczyła sobie, iż ludzi się tylko nadzieją.

Burke natomiast przewracał się niespokojnie z boku na bok. Tuż przed północą jego gniewny krzyk wypełnił pokój. Był to krzyk człowieka w potrzasku. Znajdował się gdzieś pomiędzy chłodnymi, odległymi wspomnieniami o Nicole i ciepłymi, wibrującymi wspomnieniami o Jill.

Przez resztę tygodnia padał deszcz, ale w niedzielę rano zaświeciło wreszcie oślepiające słońce. Uradowani bostończycy wylegli tłumnie na ulice.

Jill wracała właśnie z patio do kuchni z rękami brudnymi po przesadzaniu pelargonii, gdy ktoś zadzwonił do drzwi.

- Idę - zawołała, zastanawiając się, kto też to może być. Nie spodziewała się nikogo. I było dopiero - rzuciła okiem na ścienny zegar w kuchni - wpół do dziesiątej.

Uchylając zamknięte na łańcuch drzwi, wyjrzała przez szczelinę. Zobaczyła mężczyznę, który nie miał na sobie nic poza niebieskimi nylonowymi spodenkami i adidasami, włożonymi w dodatku na bose nogi. Pierwsze, co rzuciło jej się w oczy, to spocona, opalona skóra i gęste ciemne włosy na piersi.

Mężczyzna zaglądał przez szparę w uchylonych drzwiach... i czekał.

Jill zdjęła łańcuch i otworzyła szeroko drzwi. Spojrzała prosto w oczy koloru leśnego mchu.

- Nie pytaj mnie, co tu robię - powiedział Burke wciąż jeszcze zdyszany głosem.

Prawdę mówiąc, sam nie miał pojęcia, co go tu przywiodło. Dopiero zaczął biegać. Gdzieś w połowie drogi zorientował się, że tym razem nie biegnie bez celu. Biegł do Jill. Nie chciał analizować, dlaczego. Nie chciał z tego robić wielkiego halo. Nie chciał znowu czuć się winny. Pragnął po prostu zobaczyć Jill. Z pewnością nie ma w tym nic złego. Jest taki piękny niedzielny ranek... a on czuje się tak dobrze.

- Skoro nie wolno mi spytać, co tu robisz, pozwól się chociaż zaprosić do środka. - Uśmiechała się. Był to uśmiech płynący z głębi serca, ponieważ nieoczekiwanie niedzielne słońce zaświeciło jaśniej.

Burke odwzajemnił uśmiech, podpierając się pod boki.

- Chętnie dam się zaprosić - powiedział wchodząc. - Obiecuję, że nie zrobię ci kałuży na podłodze, zażartowałem ze swojego wyglądu. - Obiecuję również zachować bezpieczny dystans od twojego nosa.

- Chcesz powiedzieć, że przebiegłeś całą drogę od

swojego mieszkania? - spytała z niedowierzaniem. Bez-
wiednie taksowała spojrzeniem jego szeroką klatkę piersio-
wą. Pod kropelkami potu lśniła spalona na brąz skóra.
Włosy na piersi były mokre, splątane i miała nieodpartą
chęć, by ich dotknąć. Ten widok spowodował dziwne sen-
sacje w jej żołądku.

- Nie, przyjechałem taksówką - droczył się z nią.

- Jasne, że przebiegłem. To tylko około dziesięciu kilo-
metrów.

- Tylko?

- Bułka z masłem.

- Dla mnie to raczej atak serca.

- Niech cię nie zmyli mój oddech - powiedział, wciąż
łapiąc z trudem powietrze. - No, chodź - powiedział, gdy
mu się oddech trochę uspokoił.

- Chodź?

- Pobiegamy razem.

- Aleja...

- No, chodź, przecież obiecałaś.

Jill przypomniała sobie rozmowę podczas kolacji u Mary.

- Nic nie obiecywałam, to była taka luźna rozmowa.

- No to ją skonkretyzujmy.

- Nie jestem odpowiednio ubrana.

- No to włóż szorty.

- Jestem brudna - zaprotestowała, pokazując mu rękę.

- Przesadzałam kwiaty...

- Będziesz jeszcze brudniejsza, możesz mi wierzyć.

Wciąż się wahała.

- Burke, ja...

- Będę się z tobą obchodził delikatnie. - Oboje postanowili nie zwracać uwagi na intymność tych słów. Gdy wciąż nie ruszała się z miejsca, Burke ponaglił ją: - No, ruszaj się, kobieto. Mięśnie za bardzo mi ostygają.

W dwadzieścia minut później Jill miała wrażenie, że umiera. Przy każdym oddechu czuła ostry ból w klatce piersiowej, a nogi... nóg w ogóle nie czuła, tak były odrętwiałe.

- Mam dość - stęknęła, przystając i gymnastykując ramiona.

- Ja też - przyznał Burke. - Wracamy spacerem. - Zgiął się wpół, wsparł ręce na kolanach i pozostawał przez chwilę w tej pozycji. Gdy ruszyli w drogę powrotną, Jill zauważyła, że utyka lekko na lewą nogę.

- Znowu nadwreżyłeś nogę?

- Wszystko w porządku - powiedział, ocierając pot z czoła. - Prawdopodobnie powinienem trochę sobie odpuścić za pierwszym razem.

- Jesteś idiotą.

- Pochlebstwo donikąd cię nie zaprowadzi, McClain.

Uśmiechnęli się oboje. Burke zauważył, że bluza Jill przyłgnęła do spoconego ciała, widział nawet zarys jej biustonosza. Przypomniawszy sobie cudowne uczucie, gdy oparła się piersiami o jego tors. Nic nie jest w stanie zmienić tego faktu. Nawet Nicole.

Jill spostrzegła, że spodenki Burke'a są tak mokre od potu, że przylepiły mu się do pośladków. Z przodu... Usiłowała nie przyglądać się, nie myśleć, nie potrafiła jednak wyrzucić z pamięci dotyku jego podnieconego ciała.

Burke potknął się.

Jill manipulowała przy włosach. Były całkiem mokre, otaczały jej twarz kędzierzawą aureolą.

- Teraz już wiem, dlaczego nie widzi się, żeby ktoś biegał z rozpuszczonymi włosami - powiedziała, próbując odgarnąć mokre kosmyki z twarzy.

Bez zastanowienia Burke wyciągnął rękę i usunął palcem wilgotne pasmo włosów z zaróżowionego policzka. Skórę miała gładką... gorącą... rozkoszną. Oboje odebrali jego dotyk jak najbardziej intymną pieśczętę. Burke zatonął spojrzeniem w oczach Jill. Były takie niebieskie... takie głębokie... że mężczyzna mógł się w nich całkiem zatracić. Przełknął nerwowo ślinę i przeniósł spojrzenie na usta o kuszącym wykroju. Zaprzagnął przyłgnąć do nich wargami.

Czas zatrzymał się w miejscu. Ciała pulsowały. W powietrzu unosił się zapach potu i pożądania.

- Czy on cię pocałował? - spytał Burke ku swemu największemu zdumieniu. Nagle odpowiedź na to pytanie wydała mu się czymś niezmiernie ważnym.

- Słucham?

Palec Burke'a przybliżył się do warg Jill, prawie dotykał ich kącika.

- Evans. Czy cię pocałował? - powtórzył chrapliwym głosem.

Jill ścisnęła go w dołku - z powodu bliskości Burke'a, z powodu pytania, które zadał.

- Nie - wyszeptwała, kręcąc głową. Ten gest spowodował, że palec Burke'a musnął jej wargi. Dla obojga była to niebezpiecznie zmysłowa pieśczęta.

- Ale próbował, prawda?
- Burke...
- Jestem pewny, że próbował.

Nasuwało się pytanie: „Czemu go powstrzymałaś?”. Miał je już na końcu języka. Tego też oczekiwała Jill. Oboje byli więc zaskoczeni, gdy po przerwie, która zdawała się trwać całą wieczność, Burke odsunął się nagle i spytał:

- Odwieszysz mnie do domu?

Odwozła go. Prowadząc samochód, uświadomiła sobie, że wie, czemu nie zadał jej tego pytania. Wniosek nasuwał się sam. Po prostu znał odpowiedź i nie chciał jej usłyszeć. Była zbyt niewygodna dla mężczyzny, który wszelkimi siłami bronił się, by się nie zaangażować.

- Burke? - zawołała cicho, gdy podziękował jej za odwiezienie i otworzył drzwi samochodu.

Odwrócił się, patrząc na nią pytającym wzrokiem.

- Nie pozwoliłam mu się pocałować, ponieważ nie jest tobą.

- Jill, proszę... - Jego reakcja była dokładnie taka, jakiej się spodziewała.

- Nie wyzwolę cię od Nicole, Burke. Ale też nie ułatwię ci życia, nie pozwolę ci odwrócić się do mnie tyłem.

Jej słowa zabrzmiały jak delikatna groźba. Burke usłyszał ją i poczuł. I nie byłby uczciwy wobec siebie, gdyby nie przyznał, że go ucieszyła.

Proces rozpoczął się w poniedziałek rano w jednej z sal czerwonego gmachu sądu. Tylko lekką przesadą byłoby twierdzenie, że zebrał się tam cały Boston. Żądni sensacji dziennikarze siedzieli obok prawników, których sprowadziło zainteresowanie zawodowe, i którzy z trudem usiłowali ukryć zazdrość, że to nie im trafiła się taka gratka. Zjawili się też przyjaciele i członkowie rodzin powódki i pozwanego oraz ci, których przywiodła tu

zwykła ciekawość. Oczy wszystkich były zwrócone na głównych aktorów przedstawienia.

David Gareth Stroker III, sądząc po wyglądzie bogaty i wyniosły, siedział pomiędzy swoimi adwokatami, Alysia Wainwright Stroker, dumna i królewska, między Jill i Burke'em. W pierwszym rzędzie, na widoku, zasiadła dawna służąca Strokerów, kobieta w wieku około dwudziestu pięciu lat. Mimo skromnego ubioru rzucało się w oczy, że jest ładna. Obok niej kręciła się niespokojnie prześliczna jasnowłosa i niebieskooka dziewczuszka, przypominająca raczej księżniczkę z bajki niż dziecko z nieprawego łoża. Adwokat młodej kobiety z pewnością wziął pod uwagę korzyści, jakie mogą wypłynąć z pokazania małej dziennikarzom.

- Proszę wstać - wyrecytował potężny woźny o basowym głosie. - Posiedzenie sądu uważa się za otwarte. Przewodniczy sędzia Timothy O'Halleron.

Burke i Jill wymienili krótkie spojrzenia. Jill uniosła kciuk w geście zwycięstwa. Burke odwzajemnił go z uśmiechem. Na mocy cichego porozumienia odłożyli rozmowy na tematy osobiste do czasu zakończenia procesu. Mimo to Jill nachodziło wciąż wspomnienie owłosionej piersi, którą skrywał teraz idealnie skrojony granatowy garnitur, Burke natomiast wracał pamięcią do poprzedniej nocy, którą spędził bezsenność, zastanawiając się nad pożegnalną uwagą Jill. Coraz mniej był pewien, czy chce odwrócić się do niej tyłem. Coraz goręcej marzył, by poznać intymne tajemnice jej ciała. Coraz bardziej pragnął znaleźć jakiś sposób na pogodzenie przeszłości z teraźniejszością.

Przez następne dwa dni powódka i pozwany toczyli

walkę o pozyskanie przychylności sędziów przysięgłych. Trzeciego dnia, o jedenastej trzydzieści dwie, Jill wstała, by wygłosić swoje wystąpienie wstępne.

Burke, wsparty na łokciu, przyglądał się, jak podchodzi do ławy przysięgłych. Kołysała lekko biodrami w białej lnianej spódnicy. Rdzawa bluzka pod białym zakietem kontrastowała wspaniale z kolorem jej oczu, harmonizowała natomiast z kolorem włosów, spiętych na czubku głowy. Wyglądała szykownie, profesjonalnie i - poruszył się nerwowo - seksownie. Szybko odpędził od siebie tę myśl.

- Panie i panowie przysięgli - zaczęła z ufnym uśmiechem, mówiącym: „wiem, że zostaniemy przyjaciółmi” - czeka was bardzo poważne zadanie. W czasie trwania tego procesu będziecie państwo musieli odwołać się do swego serca, do swego sumienia...

Sumienie. Słowo to zawisło w powietrzu i poszybowało do uszu mężczyzny siedzącego w trzecim rzędzie od tyłu w galerii dla widzów. Był ubrany w wymiętą szarą koszulę w kratę, miał ponury wyraz twarzy. Pierwszego dnia procesu zjawił się w sądzie bardzo wcześnie, żeby zapewnić sobie miejsce na sali. Chciał koniecznie zobaczyć kobietę o oczach Tommy'ego. Chciał zobaczyć namacalny dowód jego niedoskonałości. Powracał każdego dnia, jak gdyby przyglądanie się jej, słuchanie jej, w jakiś sposób wybielało jego własne defekty.

Sumienie. To słowo huczało w głowie Leonarda Larimera. Powinien odczuwać wyrzuty sumienia z powodu tego, co uczynił Mary McClain. Wiedział o tym. Był przecież człowiekiem. Synem świętej kobiety. Wiedział jednak

również, że podobnie jak ktoś, kto uodpornił się na ból, on nie odczuwał skruchy. W najmniejszym stopniu. Prawdę mówiąc, nie pamiętał, by kiedykolwiek czuł się winny z jakiegokolwiek powodu. Czuł jedynie, że życie jest niesprawiedliwe. Poczynając od matki, która go nigdy nie kochała, kuzyna, który drażnił go swą doskonałością oraz serii innych życiowych wydarzeń, których jedynym celem zdawało się być wytrącenie broni z ręki Lenny'emu Larimerowi.

„Sam sprowadzasz na siebie kłopoty” - niemal słyszał świętoszkowaty głos Maude Larimer. Boże, jakżeż jej wtedy nienawidził za te słowa!

Podobnie jak za obarczanie go winą za to, że nie odznaczał się zbytnią bystrością, zbierał słabe oceny i nie mógł studiować prawa, że nie zginął śmiercią bohatera w jakiejś idiotycznej wojnie, że gdy wreszcie dostał się do policji, wyrzucili go, nie chcąc nawet słuchać jego wersji całej historii i zmusili do podjęcia słabo płatnej pracy stróża nocnego.

„To twoja wina, że cię zwolnili, Lenny. Jesteś zbyt porywczy. Nie powinieneś brać broni do ręki. Twoja wina... twoja wina...”

Leonard Larimer pomyślał o pistolecie, który trzymał w swoim mieszkaniu. Skrzywił usta w namiastce uśmiechu. Jego matka nie zaaprobowałaby tego. To mu odpowiadało. Lubił robić rzeczy, których ona nie aprobowała. A wiedział z całą pewnością, że nie podobałoby się jej to, co zrobił Mary.

Wrócił myślą do tamtego dnia, gdy znalazł list na dnie pudełka. Jego pierwszą reakcją było zdziwienie. Czemu

nie powiedziała mu, że Tommy również nie był doskonały? Zdziwienie bardzo szybko ustąpiło miejsca chęci zemsty. Chciał zranić matkę, tak jak ona zraniła jego. Cierpiał przez tyle długich lat. Mógł zrealizować ten zamiar jedynie zadając ból Tommy'emu, a ponieważ Tommy nie żył - komuś, kogo kochał. A on kochał Mary McClain! Dlatego to ona musi ponieść karę. Jest mu to winna, są mu to winni - Tommy, matka, życie.

Do diabła, jest mu to winien nawet niebieskooki bękart Tommy'ego!

Uwagę Leonarda Larimera zwróciły słowa Jill, która mówiła właśnie:

- ...Jesteście to winni mojej klientce, wszystkim kobietom i samym sobie. Bądźcie otwarci i uczciwi, wysłuchajcie, co ma do powiedzenia powódka, a następnie wydajcie mądry werdykt, zgodny z waszym sumieniem. - Zaciśnęła dłonie na barierce i pochyliła się ku sędziom przysięgłym. Dla większego efektu zrobiła dłuższą pauzę. - O to tylko prosi was Alysia Wainwright Stroker, o to prosi was cały stan Massachusetts. - Po kolejnej dramatycznej pauzie, puściła barierkę i wróciła na swoje miejsce.

W sali sądowej zapadła cisza, jak gdyby nikt nie chciał skalać tego, co zostało właśnie powiedziane.

Wreszcie sędzia O'Halleron przerwał milczenie.

- Ponieważ zbliża się dwunasta, zarządzam przerwę na lunch. Spotkamy się ponownie o godzinie czternastej.

Stuk młotka, rytualne „proszę wstać” i salę sądową wypełnił zgiełk rozmów.

- Co powiedziałyby panie na lunch? - spytał Burke

Alysię Stroker i Jill. Obie kobiety zgodziły się chętnie. Burke i Jill pozbierali dokumenty, po czym cała trójka zaczęła się przepychać do wyjścia przez tłum ludzi.

- Panie Rawlins, jaka jest pańska opinia na temat procesu? - spytał reporter, podtykając mikrofon pod nos Burke'a.

- Bez komentarza - odrzekł Burke, niewzruszony.

- Panno McClain, jak pani sądzi, czy ma pani po swojej stronie sędziów przysięgłych?

- Bez komentarza - odpowiedziała Jill.

- Przecież przed chwilą zwracała się pani do nich - nalegał reporter. - Jakie fluidy pani odbierała?

- Przepraszam - rzekł Burke grzecznie, lecz stanowczo - czy moglibyśmy przejść? - Jill czuła w talii pokrępiający dotyk jego dłoni. - Wiesz, McClain - dodał Burke, nachylając się do jej ucha - twoje wystąpienie było po prostu świetne.

- Dziękuję - uśmiechnęła się szelmowsko Jill. - Wykorzystałam konstruktywne uwagi mojego kolegi.

Burke odpowiedział jej uśmiechem. Następnie oboje spowaźnieli, jak gdyby przypomnieli sobie w tym samym momencie to, co się zdarzyło po kłótni z powodu tego wystąpienia.

Gdy byli już blisko wyjścia z sali, ktoś potracił Jill dość mocno łokciem. Podniosła wzrok i zobaczyła przed sobą nie ogolonego mężczyznę o kwadratowym podbródku i szarych, zimnych oczach. Zimnych jak lód. Poczuła nieprzyjemne mrowienie w całym ciele.

- Przepraszam - powiedziała grzecznie, mając wątpliwości, które z nich powinno się usprawiedliwić.

- Nie szkodzi - odrzekł niskim, ponurym głosem.
- Nikt nie jest doskonały.

Jill nie mogła oderwać wzroku od jego oczu - miały w sobie coś hipnotyzującego - i nie bardzo wiedziała, kiedy znalazła się w głównym holu sądu, otoczona żądnymi sensacji reporterami.

- Panno McClain, co pani...
- Panie Rawlins, czy sądzi pan...
- Pani Stroker, czy jest pani zadowolona...
- Panie i panowie - przerwał im Burke - czy moglibyśmy przejść?

Udało im się w końcu jakoś wyrwać z łap dziennikarzy, którzy rzucili się teraz ku Strokerowi.

- Zawsze musi być gorzej, zanim będzie lepiej - powiedział Burke.

Gdy wychodzili z gmachu sądu, Jill obejrzała się przez ramię. Mężczyzna w szarej kraciatej koszuli zniknął. Z jakiegoś niedorzecznego powodu poczuła ulgę.

Pod koniec tygodnia Jill zrozumiała, jak prorocze były słowa Burke'a. Sędzia O'Halleron przyjął skrajnie konserwatywną postawę, używał tak często młotka i podtrzymał tak wiele sprzeciwów obrońców pozwanego, że powódka nie mogła przedstawić wszystkich dowodów na gwałt. W rezultacie powstała sytuacja patowa - słowo Alysii Stroker przeciwko słowu jej męża. Sprawa nie wyglądała dobrze, bowiem obrona przedstawiła Davida Garetha Strokera III jako wielkiego filantropa, wybitnego członka społeczeństwa, i trudno było wyobrazić go sobie w roli brutalnego gwałtciela.

- Cholera! - zaklął Burke w piątek po południu, gdy młotek sędziego O'Hallerona obwieścił przerwę do poniedziałku.

- Mamy kłopoty? - spytała Alysia Stroker.

- Ależ nie - zapewnili zgodnie Jill i Burke. - W każdym razie nie takie, z którymi nie potrafilibyśmy sobie poradzić - dodała Jill, kładąc dłoń na ramieniu kobiety uspokajającym gestem.

- Płaci nam pani za to, żebyśmy się martwili - powiedział Burke z uśmiechem, od którego stopniało serce, jeśli nie ich klientki, to z pewnością Jill. - Proszę dobrze odpocząć podczas weekendu. Spotkamy się w poniedziałek rano.

W chwilę później oboje patrzyli, jak się oddala, otoczona tłumem reporterów.

- Cholera! - powtórzył Burke. - Rozumiem stanowisko O'Hallerona, ale...

- ..niech go diabli! - dokończyła Jill.

- Właśnie - zgodził się Burke. - Co się stało? - spytał, idąc za jej wzrokiem. Zobaczył dawną służącą Strokerów, tym razem bez córeczki. Młoda kobieta utkwiała wzrok w Jill, potem odwróciła go nerwowo. Trzymając pod pachą torebkę i nie oglądając się, ruszyła szybkim krokiem ku drzwiom. - O co chodzi?

- Nie wiem - odpowiedziała Jill - ale już po raz drugi dzisiaj łapię ją na tym, że mi się przygląda. - W tej samej chwili zauważyła mężczyznę w szarej kraciatej koszuli. On również kierował się w stronę drzwi, mierząc ją zimnym spojrzeniem. - Chyba zaczynam zachowywać się jak paranoiczka.

- Co masz na myśli?

- Tamten facet przy drzwiach, w szarej kraciatej koszuli, też gapił się na mnie przez cały tydzień.

Burke zauważył już tylko jego plecy. Wrócił spojrzeniem do twarzy Jill.

- Nic dziwnego - powiedział cicho. - Wszyscy mężczyźni na sali gapił się na ciebie.

- A ty? - spytała z właściwą sobie bezpośredniością.

- Ja też. - Odpowiedział wprost, co było dlań zupełnie nietypowe. Jeden głos wewnętrzny mówił mu, że spędza z Jill za dużo czasu, drugi - że za mało. A przynajmniej nie w taki sposób, jaki by mu odpowiadał. Na koniec nawiedziło go znów poczucie winy, ale był to raczej przelotny deszcz niż potop. Stłumiła je ulga, jaką odczuwał, mówiąc prawdę.

Jill marzyła o tym, żeby ją pocałował. Nieświadomie zwilżyła czubkiem języka dolną wargę.

Oczy Burke'a przesłoniła mgiełka.

- Przynajmniej O'Halleron jest konsekwentny - wyrwał ich z oszołomienia męski głos.

Drgnęli oboje. Ucieszyli się na widok Andrew Rawlinsa. Ich uwagę natychmiast zaprzątnęła z powrotem rozprawa sądowa. Dopiero później, w drodze powrotnej do domu, Jill rozpamiętywała słowa Burke'a i wyraz jego oczu. Cieszyło ją to małe zwycięstwo. Oznaczało bowiem, że Burke nie wyszedł bez szwanku z ich potyczki.

Przez cały piątkowy wieczór i całą sobotę aż do późnej nocy Jill studiowała akta sprawy. Rozmawiała raz przez telefon z Burke'em, ale wyłącznie na tematy związane

z procesem, być może dlatego, że u Burke'a był ojciec, a może po prostu tak sobie życzył. Ostatnia myśl ją przynębiła.

W niedzielne popołudnie stwierdziła, że musi trochę odpocząć zarówno od sprawy, jak i od myśli o Burke'u. Postanowiła pojechać do Mary, do której nie mogła się dodzwonić przez cały tydzień. Pukała, dzwoniła - nikt nie otwierał. Wreszcie otworzyła drzwi własnym kluczem i weszła do domu. Znalazła Mary na strychu, pogrążoną we wspomnieniach, kłęzącą wśród kartonowych pudeł i kurzu.

- Niech zgadnę. Zamierzasz urządzić największą światową wyprzedaż rupieci - powiedziała Jill, wsuwając głowę przez otwór w podłodze.

Mary podskoczyła ze strachu, po czym wydała westchnienie ulgi.

- Cześć - rzekła z uśmiechem. Jak zwykle na widok Jill ogarnęło ją uczucie dumy pomieszanej z miłością. - To nie żadne rupiecie, moja droga, tylko wspaniałe pamiątki. Pakuję wszystko do kartonów, żeby zawieźć do Roba.

Jill wślizgnęła się przez otwór do małego pomieszczenia, które służyło jedynie jako magazyn.

- Chcesz powiedzieć, że twoje rzeczy mogą mieszkać u Roba bez ślubu, ale ty nie?

- Nie zaczynaj znowu - uśmiechnęła się Mary od ucha do ucha.

- Ślicznie wyglądasz - odwzajemniła uśmiech Jill, po czym dodała: - Martwiłam się o ciebie.

- Daj spokój, wiesz, że zawsze przed końcem roku szkolnego dostaję kręćka.

- Ale do końca roku szkolnego zostało jeszcze trochę czasu.

- Widocznie tym razem mam „wczesny start”. - Pragnąc jak najprędzej zmienić temat, Mary zakończyła dyskusję: - Czuję się świetnie. Naprawdę. - Teraz, gdy koszmar już się skończył, dodała w myśli. Próbowwała w ogóle zapomnieć o tamtej sprawie, choć dręczyło ją pytanie, gdzie też powędrowało jej ciężko zarobione pięć tysięcy dolarów i jaki człowiek może być tak nieludzko okrutny. Zastanawiała się też, w jaki sposób ktoś odkrył tajemnicę, której ona i jej rodzice tak pilnie strzegli. Na szczęście już po wszystkim. Postanowiła zapakować przeszłość razem z rzeczami, które zamierzała przenieść do domu Roba. Miała wyjść za mąż, rozpocząć nowe życie i nie chciała słuchać wewnętrznego głosu, który podszeptował jej, że szantażyści - Boże, co za brzydkie słowo! - bywają zwykle zachłannymi ludźmi. - Czuję się świetnie - powtórzyła, ponieważ odsuwało to od niej czarne myśli.

- Pomóc ci trochę? - spytała Jill, siadając po turecku na podłodze.

- Czy wyglądam na idiotkę? Pewnie, że pomóc. - Popchnęła pusty karton w stronę Jill i wskazała na sterty starych książek. - Zaczynij od tego, a potem możesz posortować te rupiecie - to znaczy, te pamiątki - za tobą.

Obie kobiety zachichotały.

- Próbowалам się do ciebie dodzwonić przez cały tydzień.

- Wiele czasu spędziłam u Roba.

- Tak się domyślałam. - Jill skrzywiła się i zdmuchnę-

ła kurz z poźółkłej powieści sensacyjnej. - Czy ty kiedykolwiek coś wyrzucasz?

- Jasne. Te cienkie sznureczki, którymi obwiązane są pudełka z ciastkami, które przynosisz. Nie potrafię wymyślić dla nich żadnego zastosowania.

- A potrafisz dla tego wiekowego egzemplarza „Morderstwa o północy”?

- A czy napotkałaś kiedykolwiek drugi egzemplarz tej książki?

- Nie, ale...

- Wobec tego zostanę przy swoim. Czy wybierzesz się ze mną w przyszłą sobotę poszukać sukni ślubnej? Myślę, że powinna być do kolan, z szyfonu lub jedwabiu, w pastelowym kolorze. Jak uważasz, będzie mi lepiej w różowym czy niebieskim?

Nie słysząc odpowiedzi, Mary podniosła oczy znad staroci, które pakowała. Napotkała zamglone łzami spojrzenie Jill.

- Kocham cię - powiedziała Jill, uśmiechając się z zakłopotaniem z powodu swego sentymentalizmu. - Chyba dawno ci tego nie mówiłam.

- A czemu mówisz teraz? - spytała Mary chrapliwym głosem, czując, że serce jej się ściska. Dokładnie pamiętała, kiedy Jill powiedziała jej po raz ostatni, że ją kocha. Tak, jak pamiętała za każdym razem.

- Nie wiem - wzruszyła ramionami Jill. - Po raz pierwszy uświadomiłam sobie z całą ostrością, że się pobieracie z Robem. - Wyglądała na speszoną, ale wrodzona uczciwość kazała jej dodać: - Ni stąd, ni zowąd ogarnęły mnie strasznie mieszane uczucia.

- Co masz na myśli?

- Pragnę, żebyście byli z Robem szczęśliwi, dobrze o tym wiesz, nagle jednak wydało mi się, że cię tracę. Tak długo byliśmy tylko my dwie. - Otarła wierzchem dłoni zwilgotniały nos. - To brzmi tak, jak gdybym nie cieszyła się z twojego szczęścia, Mary, a to nieprawda. Przysięgam.

Mary pochyliła się i przytuliła dłoń do policzka Jill. Był ciepły, między palcami spłynęła jej pojedyncza łza. Walczyła z przemożnym pragnieniem, by wziąć ją w ramiona i pocieszyć jak mat... Nawet w myślach nie dokończyła tego słowa, nigdy sobie na to nie pozwalała.

- Ja też cię kocham. I wcale mnie nie tracisz.

Jej oczy również się zaszkliły. Weszłaby w pakt z diabłem, żeby tylko jej tajemnica nie wyszła na jaw. Nie pozwoli nigdy, by cokolwiek czy ktokolwiek zniszczył uczucia Jill do niej. A gdyby Jill poznała prawdę...

- Siostry na zawsze? - spytała Jill z nieśmiałym uśmiechem.

- Siostry... - to słowo było dla niej zawsze niczym pchnięcie nożem w serce - ..na zawsze. - Niechętnie zabrała dłoń z policzka Jill i zajęła się pakowaniem. - No więc wybierzesz się ze mną po zakupy?

- Tak - odpowiedziała Jill, ucieszona ze zmiany tematu na bardziej neutralny. - Myślę, że będzie ci ładnie w niebieskim. A może jasnoławendowym. A co powiedziałybyś na...

Pograżyły się w typowo babskiej rozmowie - o sukienkach, o ślubie.

- A jak tam proces? Wybierałam się do sądu w piątek po szkole, ale zatrzymał mnie niespodziewanie ktoś z ro-

dziców. - Mary rzadko przychodziła na rozprawy z udziałem Jill - kolidowały zwykle z jej rozkładem zajęć - ale tym razem trzymała się z daleka ze względu na problem nieślubnego dziecka... i z powodu własnych kłopotów.

- Żałuję, że cię nie było, ale rozumiem.

- Widziałam twoje zdjęcie w gazecie. Wyglądałaś na zdenerwowaną.

- Bo byłam. Dziennikarze przyczepili się do mojej klientki. A co do procesu, to utknęliśmy w martwym punkcie.

- Kłopoty?

- Nie byłoby ich, gdyby udało nam się schować sędziemu młotek. Nie pozwala nam przedstawić ważnych materiałów dotyczących gwałtu. Alysia Stroker ma siostrę, którą chcemy przesłuchać, ale obrona i sędzia O'Halleron obstają, że wszystko, co powie, usłyszała po prostu od Alysii, co zresztą jest prawdą... - Jill westchnęła głośno - ...to ogromnie frustrująca sprawa. Od początku do końca.

- Z jakiego powodu? - spytała Mary, zaczynając układać w pudle słoiki z przetworami.

- Skłania mnie do pewnych przemyśleń, przypomina, że my, ludzie, chętnie widzimy wszystko w czarnych lub białych kolorach, a tak nigdy nie bywa. Rozumiesz, o co mi chodzi?

Mary przerwała na chwilę swoje zajęcie.

- Tak, rozumiem.

Jill ponownie westchnęła z zadumą.

- Nie wiem, Mary. Myślę o Alysii Stroker i jej dawnej służącej... chyba nazywa się Paula Keszler. I o dziecku. Firma Rawlins, Rawlins, Nugent and Carson występuje

w imieniu Alysii Stroker i jeśli wygramy sprawę, dostanie ogromne odszkodowanie. Ale co z Paulą Keszler? Czy nic zasługuje na nic? Przecież urodziła dziecko tego mężczyzny. Co z dzieckiem?

- Co z nim? - spytała Mary, wracając nerwowo do pakowania.

- Jest owocem nieślubnego związku...

- W twoich ustach zabrzmiało to tak okropnie - prze-rwała jej Mary.

- W dzisiejszych czasach nieślubne dziecko nie jest napiętnowane społecznie, ale z pewnością stanowi pewien ciężar. Poza tym sprawa stała się głośna. Dziewczyna ma sporo własnych kłopotów i zasługuje na jakąś rekompensatę.

- Z pewnością zostanie to uwzględnione w kolejnym procesie. - Mary dokładała starań, by jej głos brzmiał naturalnie.

- O tak. Mimo to wciąż zastanawiam się, czemu Paula Keszler czekała tak długo z ujawnieniem, kto jest ojcem dziecka.

- Może zobaczyła, że wymykają jej się pieniądze...

- Nie sędzę - zmarszczyła brwi Jill. - Nie wygląda na osobę żądną pieniędzy. Zresztą, kto to może wiedzieć. - Wzruszyła ramionami. - Ciekawa jestem, czy zamierzała w ogóle powiedzieć córeczce, kto jest jej ojcem.

- Może nie chciała, żeby dziewczynka go znała - powiedziała Mary, czując, że robi jej się gorąco.

- Czy rodzice mają prawo do takich decyzji. Z pewnością dziecko powinno wiedzieć, kim są jego ojciec i matka, choćby przez wzgląd na problemy genetyczne, które mogą

wyniknąć. Chodzi mi o to, co stałoby się, gdyby... - Jill przerwała widząc, że Mary zrobiła się blada jak ściana

- ...Mary, co ci jest?

- Trochę tu gorąco - uśmiechnęła się z trudem Mary.

- Tobie nie?

- Nie, ale...

- Może napiłybyśmy się wody mineralnej?

- Chętnie - odrzekła Jill, wyraźnie zaniepokojona.

- Zostań tu, zaraz przyniosę.

- Nie, ja pójdę...

- Siedź grzecznie. Zgramolę się szybciej po tych schodach.

- Czy to aluzja do mojego podeszłego wieku? - zażartowała Mary, uspokojona zmianą tematu.

- Nie, do mojego wzrostu.

W kilka minut później Jill wróciła z napojami i wentylatorem. Po chwili na strychu znów rozbrzmiewał kobiecy śmiech.

- No, muszę już lecieć - powiedziała Jill, gdy na dworze zaczęło się już robić szaro. - Mam zabrać mój karton na dół?

- Tak, postaw go gdziekolwiek.

- Dobrze - odrzekła Jill, wkładając do pudła resztę książek, albumów z wycinkami i fotografiami, które leżały za nią. Przy tym ruchu na podłogę upadło czarno-białe zdjęcie, zniszczone i wypłowiałe. Jill podniosła je... przedstawiało młodego, niewysokiego mężczyznę w mundurze, uśmiechającego się szeroko. Spojrzała na odwrotną stronę zdjęcia. - Kto to jest Tommy?

Puszka z coca-colą upadła na podłogę, napój wylał się,

tworząc musującą kałużę. Obie kobiety natychmiast zaczęły osuszać ją szmatami, których przedtem używały do wycierania kurzu.

- Już dobrze. - Mary dołożyła starań, by jej głos zabrzmiał pewnie.

- Nic się nie stało. - Jill pomyślała, że napięcie, które wyczuwała w powietrzu, wiąże się z rozlanym napojem.

- Cola nie poplamiła niczego. No więc, kto to jest Tommy?

Mary zmusiła się, by spojrzeć na zdjęcie. Widziała je tysiące razy, nosiła je w portfelu przez wiele lat.

- Tommy... Wilson. Był... był naszym sąsiadem w Shawsheen.

- Nie pamiętam go.

- Nie możesz - powiedziała Mary, odwracając oczy.
- Zginął w Korei, a jego rodzina, jego ciotka, wyprowadziła się z Shawsheen wkrótce potem.

Całkowicie usatysfakcjonowana tym wyjaśnieniem, Jill wrzuciła niedbale fotografię do pudła z resztą rzeczy, po czym podniosła je z trudem i rzekła:

- Zadzwoń do ciebie w przyszłym tygodniu.

- Dobrze - odpowiedziała Mary patrząc, jak Jill schodzi po schodach.

- Pa - zawołała Jill.

- Pa. - Mary zamknęła oczy i oparła się o ścianę. Serce waliło jej mocno, aż do bólu.

Na dole dzwonił telefon. Jill przyśpieszyła kroku, na ile pozwalało jej ciężkie pudło, wiedząc, że Mary nie usłyszy na górze dzwonka. Stawiając karton na oparciu kanapy, podniosła słuchawkę.

- Słucham? - spytała zdyszana.
- Musimy jeszcze raz porozmawiać o twojej córce
- odezwał się niski, ponury męski głos.
- Przykro mi, ale to pomyłka - powiedziała uprzejmie Jill i odłożyła słuchawkę. Chwyciła wygodniej pudło i postawiła je obok frontowych drzwi, po czym wyszła na dwór. Absolutnie nie zorientowała się, że musiała już gdzieś przedtem słyszeć głos z telefonu.

Nocą zaczął siać deszcz, leniwy kapuśniaczek, który malował na szybach wilgotne, pełne tęsknoty przesłania. Burke leżał na łóżku, próbując nie myśleć o Jill, Jill leżała na łóżku, próbując nie myśleć o Burke'u, tymczasem ich udreżone pragnieniem ciała zupełnie nie liczyły się z tymi postanowieniami. Rob siedział nad sprawozdaniami, które obiecał sobie dokończyć, zanim zadzwoni do Mary. Mary siedziała na kanapie, wpatrując się w fotografię Tommy'ego Wilsona. Minęło wiele czasu, nim pogodziła się z jego śmiercią, teraz zostało jej już tylko miłe wspomnienie młodszej miłości.

Gdy za piętnaście dziewiąta zadzwonił telefon, uśmiechnęła się i odłożywszy zdjęcie na podręczny stolik, podniosła słuchawkę.

- Cześć, kochanie - powiedziała - czy skończyłeś sprawozdanie? - Nie była pewna czy zaalarmował ją chrapliwy oddech, czy przedłużające się milczenie, wiedziała tylko, że ogarnia ją straszliwa trwoga, przesywa jej ciało lodowatym dreszczem. Przełknęła z trudem ślinę i wykrztusiła: - Kto... kto mówi?

- Widziałem ją, Mary - rzekł niski, ponury głos. - Nawet rozmawiałem z nią w sądzie.

- Nie - wyszeptwała. Robiło jej się niedobrze na myśl, że mógł znajdować się blisko Jill. Ktoś tak... nikczemny w pobliżu jej Jill, nie, tylko nie to!

- Tak łatwo mógłbym jej powiedzieć.

- Obiecał pan - błagała Mary, wiedząc, że nigdy nie złożył jej żadnej obietnicy. Czy zamierza dalej prowadzić tę grę?

- Przemyslałem całą sprawę. Pięć tysięcy to za mało. Przygotuj jeszcze dwa, Mary.

- Nie mam już więcej pieniędzy! - krzyknęła. W gardle ją ścisnęło, czuła, że zaczyna wpadać w histerię. - Oddałam panu wszystko, co miałam!

- Zdobądź je - rzekł szorstko. - Do piątku.

- Nie mogę...

- Wobec tego odbędę małą rozmowę z Jill.

- Niech pan posłucha - powiedziała Mary, myśląc nerwowo nad ewentualnym rozwiązaniem. - Ja... sprzedaję dom. Jeśli mógłby pan poczekać...

- Czekałem przez całe życie, Mary. To samo miejsce. O trzeciej.

- Nie, proszę poczekać - prosiła, zaciskając tak mocno palce na słuchawce, że aż zbieleły. - Dam panu więcej...

Stuk odkładanej słuchawki. Sygnał odbijał się echem w rozgorączkowanej głowie Mary, wtórując ogłuszającemu biciu serca.

Tym razem nie płakała. Spokojnie odwiesiła słuchawkę i zapatrzyła się apatycznie w przestrzeń. Potem położyła się na kanapie w embrionalnej pozycji, podciągając kolana

pod brodę, i powoli zaczęła kołysać się monotonnym, uspokajającym ruchem. Leżała tam jeszcze, gdy dawno już przestał padać deszcz, gdy po wielu próbach Rob wreszcie zrezygnował z dodzwonienia się do niej, gdy uczucie straszliwych mdłości przerodziło się w tępy ból głowy.

Jill dostała bilecik w jedenastej godzinie procesu, gdy czuła się bardziej bezradna niż kiedykolwiek w życiu. Przez cały tydzień sprawy układały się fatalnie dla ich klientki i w czwartek po południu, gdy pozostały już tylko wystąpienia końcowe, Jill modliła się o cud. I cud się zdarzył. Objawił się w postaci małej kartki papieru, którą podała jej woźny. Marszcząc brwi obejrzała się za siebie i napotkała spojrzenie Pauli Keszler.

Rozwinęła kartkę i przeczytała wiadomość. Serce podskoczyło jej z radości. Przeczytała list jeszcze raz, żeby się upewnić, że wzrok jej nie myli. Tak, to prawda. Posłała spojrzenie Burke'owi, który patrzył na nią z pytającą miną, podała mu kartkę, po czym wstała, szurając krzesłem.

- Wysoki Sądzie, proszę o pozwolenie na powołanie ostatniego świadka.

Sędzia Timothy O'Halleron, ze swoimi surowymi ciemnymi oczyma, długą brunatnordzawą brodą w szpic i w czarnej sędziowskiej todze przypominał raczej osiemnastowiecznego kwakra niż przedstawiciela prawa.

- Pani wniosek jest niezgodny z procedurą, panno McClain.

- Tak, Wysoki Sądzie, zdajemy sobie z tego sprawę, ale właśnie dowiedzieliśmy się o czymś niezmiernie istotnym.

- Czy świadek, którego chce pani powołać, jest obecny na sali sądowej?

- Tak, proszę Wysokiego Sądu.

Oczy wszystkich obecnych, a zwłaszcza obrony, zaczęły przesuwac się badawczo po twarzach publiczności.

- Wysoki Sądzie, obrona wnosi sprzeciw.

Jill i Burke patrzyli na siebie, modląc się bezgłośnie i czekając na decyzję sędziego.

- Sprzeciw odrzucony - odezwał się wreszcie sędzia po długiej, pełnej namysłu przerwie.

Jill i Burke odetchnęli głośno.

- Proszę wezwać świadka, panno McClain.

- Wysoki Sądzie, oskarżenie wzywa Paulę Keszler do złożenia zeznań.

Szmer przetoczył się przez salę niczym fala morska. W chwilę później Paula Keszler, z oczyma okrągłymi z przestachu i drżącymi rękami, zajęła miejsce dla świadków.

Jill podeszła wolno do młodej kobiety, uśmiechnęła się do niej uspokajająco i powiedziała:

- Panno Keszler, chciałabym zadać pani tylko dwa pytania. Czy David Gareth Stroker III jest ojcem pani dziecka?

- Tak - padła cicha odpowiedź.

- Proszę mówić głośniej, panno Keszler - upomniał ją sędzia.

Paula Keszler rzuciła spłoszone spojrzenie w kierunku mężczyzny o stalowym głosie, po czym poszukała wzrokiem wsparcia u Jill.

- Tak - powtórzyła posłusznie.

- Panno Keszler - spytała Jill, dobierając starannie sło-

wa - czy pani i David Gareth Stroker III byliście... kochankami?

- Nie - odparła kobieta po chwili milczenia.

- Panno Keszler, proszę mówić... - zaczął sędzia O'Halleron.

- Nie! - wykrzyknęła, po czym zniżyła głos: - Nie byliśmy kochankami.

- Obawiam się, że nie rozumiem - powiedziała Jill, doskonale wiedząc, do czego zmierza. - Twierdzi pani, że pozwany jest ojcem pani dziecka, a po chwili zaprzecza pani, że byliście kochankami. Jak to możliwe?

W sali sądowej panowała grobowa cisza. Wszyscy czekali na odpowiedź. Paula Keszler popatrzyła z obawą w szarych oczach na pozwanego, który był znaną osobistością, po czym wyprostowała się i powiedziała dumnie, pełnym głosem, który dotarł do każdego zakątka sali:

- Zgwałcił mnie.

Na sali podniosła się wrzawa. Sędziemu O'Halleronowi udało się w końcu uciszyć ją za pomocą młotka.

- Panno Keszler, ciekawi mnie - pytała dalej Jill - czemu nie wniosła pani skargi wcześniej?

Tym razem świadek odpowiedział bez wahania:

- Ponieważ mi groził.

Na sali rozpętało się istne pandemonium. Sędzia O'Halleron walił z wściekłością młotkiem w stół.

Dokładnie czterdzieści minut później, na trzy minuty przed piątą po południu, sędziowie przysięgli powrócili na salę z gotowym werdyktem. Zapadł na korzyść Alysii Wainwright Stroker. Podczas czytania werdyktu na sali

zapanował kompletny chaos. Wokół stanowiska Jill i Burke'a zgromadzili się dziennikarze, rodzina, prawnicy, powiązani i nie powiązani z Rawlins, Rawlins, Nugent and Carson. Uściskom dłoni i gratulacjom nie było końca.

Burke i Jill stali, patrząc sobie w oczy i uśmiechając się.

- Udało nam się w ostatniej chwili, pani mecenas - powiedział Burke.

- Mało brakowało, a wszystko spaliłoby na panewce.

- Twarz Jill promieniała radością.

Wpatrywali się w siebie, uśmiechając się coraz szerzej i nagle jej drobna postać znalazła się w jego muskularnych ramionach. Zawisła mu na szyi, on zaś przytulił ją mocno, uściskali się radośnie. Po chwili odsunęli się lekko od siebie, ich oczy się spotkały. Niczym pływacy, skaczący z niebezpiecznego urwiska, zielone pograżyły się w niebieskich, niebieskie pograżyły się w zielonych. Uśmiech spełzył im z warg.

Czy to skutek radosnego uniesienia z racji zwycięstwa, które podwyższyło im poziom adrenaliny, czy też po prostu zbyt długo tłumili swe uczucia, wypierali się ich - nieważne z jakiego powodu - zmysły mieli wyostrzone do granic możliwości. Zapach perfum i wody kolońskiej odurzyły ich, pożerali się wzrokiem, wsłuchiwali w swe przyśpieszone oddechy. Ich ciała pulsowały, płonęły namiętnością, która była niemal namacalna..

Wreszcie, nie mogąc wytrzymać napięcia, a także oprzytomniawszy sobie, że otacza ich tłum ludzi, odstepili od siebie, wciąż jednak nie mogli oderwać od siebie oczu.

- Panie Rawlins, jak się pan czuje? - spytał jeden z dziennikarzy.

Jedynie skojarzenie, jakie nasunęło się Burke'owi, nie nadawało się do publicznego powtórzenia.

- Panno McClain, czy była pani zaskoczona?

- Tak - odpowiedziała cicho, dodając w myśli: „Zapomniałam, jak cudownie jest w jego ramionach”.

- Czy sądzi pani, że werdykt będzie miał wpływ na przyszłe procesy w sprawach gwałtów małżeńskich?

To pytanie musieli potraktować poważnie.

- Z pewnością tak - powiedziała Jill, po czym zaczęła szczegółowo wyjaśniać przyczyny. Burke wpadł jej w słowo. Jeszcze raz sprawy prywatne musiały poczekać. Przez następną godzinę zaspokajali ciekawość dziennikarzy. O szóstej byli wreszcie wolni. Oboje udali się do samochodu Jill, zaparkowanego nie opodal w podziemnym garażu.

- Jesteś pewna, że nie masz nic przeciwko podwiezieniu mnie? - spytał Burke.

- Jasne.

Unikali swojego wzroku. Szli w przyzwyczajonej odległości. Byli straszliwie skrępowani. Burke miał uczucie, że jest na granicy eksplozji, Jill czuła jego obecność każdą cząsteczką swojego ciała. I tęsknotę. I pożądanie. I osobliwe ciepło, które wypełniało jej serce.

Po kilku minutach znaleźli się w samochodzie. Wciąż nie patrząc w stronę mężczyzny, uruchomiła silnik i ujęła dźwignię zmiany biegów. Nim zdążyła je przełączyć, Burke nakrył jej dłoń swoją dużą dłonią. Szybko. Spontanicznie. Bez dręczących myśli. Przez długą chwilę, z sercem trzepoczącym się jak spłoszony ptak, Jill po prostu przyglądała się jego ręce - opalanej skórze, ciemnym włosom

widocznym spod mankietu koszuli, żyłe pulsującej w niemal widoczny sposób na przegubie. Powoli przeniosła wzrok na szerokie ramiona w granatowej marynarce, wreszcie zatrzymała go na srebrzystozielonych oczach.

On też patrzył na nią. Na jej włosy, spięte na czubku głowy, odsłoniętą delikatną szyję, przepaściste błękitne oczy, niewiarygodnie miękkie wargi. Te wargi wzywały go, kusiły, popychały na krawędź wybuchu.

Nagle poddał się z jękiem i otoczywszy ramieniem jej szyję, przyciągnął Jill do siebie, miażdżąc jej usta pocałunkiem.

Przynajmniej raz w życiu każdego człowieka zdarza się chwila, gdy przestaje myśleć, kieruje się wyłącznie uczuciami. Gdy wargi Burke'a dotknęły ust Jill, zdarzył się taki właśnie moment. Bóg mu pomoże, Nicole przebaczy, wina zostanie darowana, musi pocałować Jill albo umrze! I z tą myślą pocałował ją namiętnie, jak szaleniec.

Jego wargi były zaborcze i wygłodniałe. Zaskoczona intensywnością pocałunku Jill pochyliła się do przodu

i wsparła dłonią o jego pierś, poddając mu się całkowicie. To natychmiastowe przyzwolenie wzburzyło krew Burke'a, zamieniło ją we wrzącą lawę. Czuł, jak dręczące go pragnienie koncentruje się w jednym punkcie jego ciała. Pragnął jej aż do bólu. Jak zwykle przeklął swą reakcję, ale też po raz pierwszy ze zdziwieniem przyjął ją jako coś cennego.

Przyciągnął ją do siebie bliżej. Czuł dotyk miękkich piersi Jill, sterczących wyzywająco. Spijał słodycz z jej warg, aż wreszcie pomyślał, że jeśli będzie całował ją dłużej, porani jej wargi lub doprowadzi do tego, że jego ciało nie wytrzyma pożądania i eksploduje. Mimo to nie mógł się od niej oderwać, ponieważ spędził zbyt wiele długich samotnych nocy bez zgłębiania nieskończonej tajemnicy, jaką stanowi kobieta.

W pewnej chwili obojgu zabrakło powietrza i musieli rozłączyć usta, nie odsuwali się jednak od siebie. Stykały się przynajmniej ich dolne wargi. Z zamkniętymi oczami, Burke oparł czoło o czoło Jill. Serca waliły im jak oszałałe. Wreszcie uspokoili się trochę.

- Burke... - szepnęła Jill, muskając oddechem jego wargi, co spowodowało, że mężczyznę przeniknął dreszcz.

- Cśś... - pochwyił lekko zębami jej dolną wargę. Nie chciał rozmawiać, nie chciał myśleć, chciał jedynie czuć. Marzył tylko o tym, by ją całować.

Drażnił jej wargi zębami, smakował językiem, obrysowywał ich pełny kształt, pozostawiając na nich wilgotny ślad.

Uniósłszy dłonią brodę Jill, rozchylił jej usta. Ich języki się spotkały, muskając delikatnie, pocierając, pieszcząc

wrażliwe punkty. Jill otworzyła usta szerzej, zapraszająco, ale Burke nieoczekiwanie, zamiast z tego zaproszenia skorzystać, wycofał język i z powrotem zajął się wargami. Całował ją delikatnie, powoli, podniecająco, aż wreszcie głowa Jill opadła bezwładnie na oparcie w geście całkowitego poddania. Niechętnie odsunął się lekko i otworzył oczy.

Boże, ależ jest piękna, pomyślał, patrząc, jak również otwiera oczy ocienione ciemnymi rzęsami. Były niebieskie... i zamglone namiętnością. W ułamku sekundy podjął decyzję, mimo iż wiedział, że zapłaci za to piekielnymi wyrzutami sumienia.

- Burke... - zaczęła znów coś mówić Jill.

Przerwał jej, zamykając usta koniuszkami palców.

- Urządźmy sobie święto z okazji zwycięstwa w sądzie.

- Dobrze - zgodziła się po chwili wahania. Widać było, że wolałaby raczej porozmawiać na temat intymnych chwil, które przed chwilą dzielili. - Co proponujesz?

- Befszyki i szampana. - Zrobił znaczącą przerwę, jego oczy pociemniały nagle. - U ciebie.

Czyżbym go źle zrozumiała? - zastanawiała się Jill w dwie godziny później, gdy siedzieli naprzeciwko siebie przy jej małym stoliku. Czy wyczytała z propozycji wspólnej kolacji u niej więcej, niż miał na myśli? Gdy przypomniała sobie jego gorący wzrok, kiedy wróciła do kuchni z rozpuszczonymi włosami, pomyślała, że nie. Do podobnego wniosku doszła, gdy przywołała na pamięć tamtą chwilę, kiedy wpadli na siebie przypadkiem podczas przy-

gotowywania posiłku. Żadne z nich nie potrafiło ukryć obojętnością pożądanego, które przeszło ich ciała odbijając się w oczach. Teraz nie była już niczego pewna. Może to tylko ona miała nogi jak z waty, ledwie mogła się na nich utrzymać? Jak inaczej wytłumaczyć fakt, że Burke nie próbował nawet jej dotknąć?

- Czy... czy masz jeszcze ochotę na coś? - spytała, odkładając widelec na talerz z prawie nie tkniętym jedzeniem. Brzęk, jaki się przy tym rozległ podrażnił jej rozdygotane nerwy. - Myślę, że zostało jeszcze...

- Nie, nie. Dziękuję - powiedział Burke, przełykając ostatni kęs befsztyka. W końcu jakoś mu się to udało, choć gardło miał ściśnięte. Jego napięte do granic ostateczności ciało sprawiało mu coraz więcej kłopotu. - Wszystko było pyszne - powiedział z lekka zachrypłym głosem, poprawiając się na krześle.

- Tak - zgodziła się Jill, wodząc palcem po nóżce prawie pustego kieliszka. Miała wrażenie, że unoszące się do góry bąbelki szampana śmieją się z nich, z ich skrępowania. Szampan okazał się jedyną rzeczą, którą była w stanie przełknąć.

- Niewiele zjadłaś - zauważył Burke.

Wzruszyła ramionami i uśmiechnęła się.

- Nie byłam głodna. Cały dzień chyba zbyt obfitywał w emocje. - Ciekawe, ale ta uwaga skierowała jej myśli wcale nie ku procesowi, lecz ku pocałunkowi.

Podobne myśli kłębiły się w głowie Burke'a powodując, że ciało coraz gwałtowniej domagało się zaspokojenia. Przełknął ślinę.

- Tak - przyznał.

- Żałuję... ale nie ma żadnego deseru, którym mogłabym cię poczęstować...

- Nie mam ochoty na nic - odpowiedział, dodając w myśli: „Oprócz ciebie. Boże, jakże ja cię pragnę!”. Znowu poprawił się na krześle, próbując znaleźć wygodniejszą pozycję, ulżyć udręczonemu ciału.

- Ja też nie - zaśmiała się nerwowo. - Boję się utyć.

Zalały go znów wspomnienia dotyku jej kobiecego ciała. Kragłe piersi, które proszą się, by ująć je w dłonie, wąska talia, którą z łatwością dałoby się objąć palcami, kształtne biodra, kołyszące się w sposób pobudzający wyobraźnię mężczyzny.

- Jesteś doskonała. - Jego głos był matowy i ciepły jak bourbon nagrany słońcem. Wyraz jego oczu ścinał z nóg jak solidny łyk tego nie rozcieńczonego trunku.

Jill czuła, że drży na całym ciele. „Na miłość boską, Burke, powiedz coś, zrób coś!”

„Jill, pomóż mi! Ta zabawa w randki to już nie dla mnie. Byłem żonatym mężczyzną!”

- Może przejdziemy do salonu - powiedziała Jill, odsuwając krzesło. - Włożę tylko talerze do zlewu.

„Obejmij mnie. Wyjmij ten talerz z moich rąk i przytul mnie, żebym wreszcie przestała drżeć”.

Burke odepchnął krzesło i wstał.

- Pomogę ci.

„Tak bardzo pragnę cię objąć, przytulić. Chcę czuć twoje ciało”.

- Nie, dziękuję, zrobię to sama - powiedziała, a jej oczy powędrowały zdradziecko ku jego ustom.

„Pocałuj mnie. Póki jestem niezbyt przytomna. Póki ty jesteś niezbyt przytomny. Póki mamy jeszcze dzisiejszy wieczór, póki nie nadeszło jeszcze jutro”.

Burke również zawisł wzrokiem na jej wargach.

- Chętnie ci pomogę.

„Pragnę cię znów całować, całować do upojenia. A potem chcę się z tobą kochać. A ty chcesz się ze mną całować? Kochać się? Kochać się. Jak to jest kochać się z kobietą inną niż Nicole?”

- Ależ nie, zajmie mi to tylko chwilę. Może należesz nam przez ten czas szampana?

Posłuchał, trochę z ulgą, trochę z ociąganiem.

Gdy po chwili Jill weszła do salonu, zastała Burke'a wyglądającego przez okno. Jedną rękę miał schowaną w kieszeni, w drugiej trzymał kieliszek z szampanem. Jego marynarka leżała na białym aksamitnym fotelu, krawat na takiej samej kanapie. Pozostałe umeblowanie również było utrzymane w bieli, z wyjątkiem brzoskwiniowego dywanu, pasującego do tapety w niebiesko-brzoskwiniowo-białe paski. Jill podeszła do niskiego stolika i wzięwszy swój kieliszek z musującym szampanem, upiła spory łyk złocistego płynu.

Burke odwrócił się, słysząc, że wchodzi. Ich oczy się spotkały.

Ponownie miał wrażenie, że stąpa po krawędzi dachu ogromnie wysokiego budynku. Czuł, jak krew napływa do dolnych partii jego ciała. Przemknęło mu przez myśl, że Jill mogła zauważyć fizyczne oznaki tego stanu. Ach, wszystko mu jedno!

Na jego widok wyostrzone zmysły Jill zareagowały

błyskawicznie. Białą koszulę miał rozpiętą pod szyją, w rozchyleniu widać było ciemne włosy pokrywające opaloną skórę. Podwinięte niedbale rękawy odsłaniały owłosione ręce. Nagle tak bardzo zapragnęła poczuć na sobie te ręce, że oczy zasły jej łzami. Jej sztuczne opanowanie prysło.

- Czego chcesz ode mnie, Burke? - wyszeptała. Robiło jej się raz zimno, raz gorąco, umierała z pragnienia.

- A czego ty chcesz ode mnie?

- Nie wykręcaj się. - Odwróciła się do niego tyłem i podeszła do alabastrowego kominka. Jej włosy, lśniące w sztucznym świetle jak stare złoto, spływały jedwabistą kaskadą aż do pasa. Burke poczuł gwałtowną chęć, by zanurzyć w nich dłonie i twarz. - Poza tym - dodała, pociągając kolejny łyk szampana - wiesz doskonale, czego od ciebie chcę.

- Czego? - spytał bez osłonek, śmiało, choć bał się zranienia.

Jill spojrzała na niego przez ramię.

- Powiedz - zażądał szorstko. Przez kilka chwil, które zdawały się nie mieć końca, w pokoju słychać było tylko bicie dwojga serc.

- Dobrze - wymówiła Jill głosem delikatnym jak pajęczyna, po czym przełknęła ślinę i rzekła z determinacją: - Chcę, żebyś wyjął mi kieliszek z ręki, zanurzył palce w moich włosach, pocałował mnie namiętnie, szaleńczo, a potem zaniósł do sypialni i... - Przerwała. Po prostu zabrakło jej powietrza w płucach.

Powoli, patrząc jej przez cały czas w oczy, Burke wyjął rękę z kieszeni i odstawiwszy swój kieliszek, podszedł do

niej. Był tak wysoki, że musiała odchylić głowę do tyłu, by spojrzeć mu w twarz.

- I co? - szepnął wyzywająco.

- ...i kochał się ze mną - wymówiła te słowa niemal bezgłośnie. Nagle zaschło jej w ustach, z trudem poruszała wargami.

Burke przyglądał się, jak jej usta otwierają się i zamykają, jak język usiłuje zwilżyć suche wargi. Bez słowa wyjął jej kieliszek z zaciśniętych palców i postawił ze stukiem na obramowaniu kominka. Pochylając się nad nią, spytał szeptem:

- Tak?

- Tak - westchnęła.

Z ogromną czułością zanurzył palce w jej puszystych włosach.

- Tak?

- Tak.

Ujął jej twarz w dłonie i z wolna pochylając głowę, musnął jej wargi w przelotnym pocałunku.

- Tak?

- Nie.

Tym razem ich usta połączyły się na chwilę dłużej.

- Ta...

- Nie - szepnęła, przyciągając mocno jego głowę.

W zamierzeniu Burke'a pocałunek miał być powolny i delikatny. Tymczasem zetknięcie ich warg rozpałiło płomień, który wymknął się spod kontroli obojga. Jęknąwszy głośno, przywarł namiętnie do jej ust, wypełniając językiem ich wnętrze, tak jak pragnął wypełnić sobą jej ciało.

Wspiąwszy się na palce, Jill otoczyła jego szyję ramionami i po prostu zawisła na niej. Jej ciało płonęło niepohamowaną namiętnością.

- Jill... Jill... Jill... - powtarzał jej imię, odrywając się na chwilę od jej ust. - Potrzebuję cię - szeptał. - Tak strasznie cię potrzebuję. - Uniósł ją i wtulił wargi w ciepły, pachnący zakątek jej szyi, a potem wyszeptał, owiewając wilgotnym oddechem jej ucho: - Boję się. Słodki Boże, naprawdę się boję. - W jego głosie brzmiał autentyczny lęk.

- Czego? - spytała Jill. Czuł jej ciepły oddech na ramieniu i głośne bicie jej serca przy swoim.

- Potrzebować kogoś tak bardzo. - Ręce mu drżały, gdy opuścił ją powoli i ująwszy za biodra, przycisnął do swego rozgrzowanego ciała. Pocierał ją o siebie, jęczał, zadając sobie coraz większą torturę... ale nie przestawał. Prawdę mówiąc, nie mógł się powstrzymać. - Boże, Jill, ja... to sprawia mi ból - wymówił ochrypłym, zdławionym głosem, który poruszył głęboką strunę w sercu Jill.

- Wiem - odpowiedziała zduszonym szeptem, wsuwając dłoń pomiędzy ich ciała i bezbłędnie odnajdując cel.

- Och, Jill! - stęknął Burke, dygocząc pod jej coraz silniejszą pieszczotą.

W tej chwili ofiarowałyby mu wszystko, o cokolwiek by poprosił. I zamierzała ofiarować mu wszystko, co miała. Nie żądała nic w zamian. Nie karmiła się złudzeniami. Nie miała to być noc miłosna, ponieważ żadne z nich o miłości nie wspomniało. Burke powiedział tylko, że jej potrzebuje. Nawet nie pragnie, lecz potrzebuje, tak jak mężczyzna potrzebuje kobiety. Będzie jego kobietą, ofiaruje mu to,

czego mu brak - zaspokoi go, ponieważ chce, by jej potrzebował, poza tym on również jest jej potrzebny.

- Kochaj mnie - szepnęła, dotykając go coraz agresywniej, czego nie zniósłby żaden mężczyzna, a zwłaszcza taki, który żył w abstynencji przez przeszło półtora roku.

Z jękiem pochwycił ją na rękę.

W chwilę później, gdy stali przy jej łóżku w złocistym świetle lampy, Jill pomyślała, że będzie to czysta fizjologia. Oboje rozbierali się w pośpiechu, by pójść do łóżka i po prostu uprawiać seks. W jej marzeniach Burke rozbierał zawsze powoli najpierw ją, potem siebie. Albo zachęcał, by go rozebrała. W rzeczywistości jednak wszystko odbywało się w ogromnym pośpiechu. Stąd też wyciągnęła wniosek, że będzie to czysta fizjologia.

Myliła się jednak.

Świadczył o tym szmaragdowy błysk w jego oczach, które śledziły każdy jej ruch.

Świadczył o tym sposób, w jaki zapraszał ją, by przyglądała się każdemu jego ruchowi.

Ponieważ oprócz pośpiechu w powietrzu unosiło się coś jeszcze - jakieś nie nazwane uczucie, nad którym żadne z nich nie chciało się zastanawiać. Jill Poodpinała guziki bluzki i zdjawszy ją, rzuciła na podłogę. W tym samym czasie Burke rozpiął koszulę i wyciągnął ją ze spodni. Jill patrzyła, jak wynurza się z niej jego szeroki owłosiony tors. Nie mogła się doczekać, by go dotknąć.

Burke wstrzymał się, póki Jill nie rozpięła spódnicy, która opadła na biały dywan tworząc granatową kałużę, po czym zaczął mocować się z paskiem od spodni. Jill zsunęła

z ramion ramiączka haleczki, która powędrowała śladem spódnicy. Patrząc mu w oczy, sięgnęła do zapięcia biustonosza, Burke zaś do spodni. W absolutnej ciszy panującej w pokoju, rozległ się głośny trzask metalowego zamka błyskawicznego. Oboje zawahali się, po czym pozbyli się tych części garderoby.

Na widok jej krągłych, zaróżowionych piersi Burke'owi zabrakło tchu, miał uczucie, że za chwilę zemdleje. Na widok wypukłości napinającej materiał jego spodenek, Jill oblała się warem, rumieniec wypełził jej na policzki.

Niespiesznie, działając jak stuprocentowa kobieta, zsunęła z nóg rajstopy. Potem przyszła kolej na mały skrawek jedwabiu, ozdobiony koronkami. Gdy podniosła oczy, Burke też stał bosy... nagi... stuprocentowy mężczyzna.

Odwróciła się, chcąc zgasić lampę.

- Nie - wymówił chrapliwym szeptem, widząc jej pytający wzrok. - Zostaw światło. Chcę cię zobaczyć.

Cofnęła rękę, odrzuciła narzutę i położyła się na łóżku.

Burke położył się obok niej.

W sekundę później ich ciała splotły się w miłosnym uścisku. Całował ją namiętnie, błędził gorączkowo dłońmi po jej ciele. Jego dotyk przypominał reakcję człowieka, który od dawna nie miał kropli wody w ustach i nagle dostał całą filiżankę. Ale też próbował narzucić sobie ograniczenia, rozpaczliwie starał się kochać ją powoli, do końca, pieścić dopóki nie będzie gotowa, zaspokoić ją. Ręka, która gładziła jej biodro, drżała z napięcia.

- Mój Boże, jesteś taka mała - wyszeptał, sunąc dłonią po jej udzie. - Absolutnie doskonała - dodał, ujmując jej kształt-

na, pełną pierś - ale bardzo drobna. Jill, nie chcę sprawić ci bólu. Nie zrobię ci krzywdy, prawda? - mruzczał, całując jej szyję, po czym wpił się znów zachłannie w jej usta.

Jęknęła, szepcząc jakieś uspokajające słowa, i przesuwała się pod nim, by ułatwić mu zbliżenie. Ale Burke leżał podniecony do granic wytrzymałości, gotowy, zwlekał jednak z najbardziej intymnym kontaktem. Otarł krople potu, które zrosiły mu czoło. Twarz miał skurczoną, wykrzywioną cierpieniem. Mimo to koniecznie chciał, by Jill dotrzymała mu kroku.

- Burke - wymówiła cicho, wyginając się i lgnąc do niego całym ciałem.

- Nie, zaczekaj - błagał - pozwól mi...

- Nie! - powiedziała zdecydowanie, przejmując inicjatywę. Sunęła dłonią w dół. Dotknęła pępka, potem gęstych, szorstkich włosów...

Spróbował powstrzymać jej rękę.

- Jill, zaczekaj... nie... ach! -jęknął, gdy zamknęła dłoń wokół niego. Odrzucił głowę do tyłu, gdy tymczasem biodra instynktownie napierały na jej ciało. Z trudem łapał oddech, nie potrafił opanować drżenia. Powoli, lecz zdecydowanie Jill nakierowała go i wchłonęła w swe wilgotne wnętrze. Burke przestał na chwilę oddychać. Jill również. Obojgu wyrwały się okrzyki nieopisanej rozkoszy.

Jest taka gorąca, pomyślał, walcząc ze swoim ciałem, próbując nad nim zapanować, dopóki Jill się do niego nie przyzwyczai.

Jest twardy jak stal, lecz gładki jak atłas. Tak bardzo pragnęła czuć, jak się w niej porusza.

Delikatna jak świeżo narodzony kociak. I wilgotna. Miałby ochotę w niej zatonać i zapomnieć o wszystkim.

- Och, Jill - wyszeptał obok jej ucha, podpierając się na łokciach. - Jest mi tak dobrze... tak cudownie... nigdy nie było mi tak dobrze...

- Tak - zgodziła się, czując, jak doskonale do siebie pasują. Przesunęła dłońmi wzdłuż jego pleców, wyginając ciało i wtulając się w niego coraz bardziej, wchłaniając go coraz głębiej.

- ...tak dobrze - powtórzył, poruszając rytmicznie biodrami - cudownie... tak... - Nagle poczuł, że w jego ciele narasta fala zbyt intensywnej rozkoszy, grożącej przedwczesnymi konsekwencjami. - Nie, zaczekaj... Jill... zaczekaj! - Spróbował unieruchomić dłonią jej biodra.

Było już jednak za późno. Jill zrozumiała to w tej samej sekundzie. Poczuła, jak jego ciało tężeje, stacza ze sobą ciężką walkę i przegrywa ją.

- Do diabła! - wykrzyknął, wstrząsany orgazmem potężnym jak wiatr, który smagał mu twarz podczas długich godzin biegania, silnym jak mięśnie jego nóg, wyrobione na wielokilometrowych trasach.

Jill chwyciła go za biodra, przyciskając mocniej do siebie. Skórę miał mokrą od potu. Kochała jej dotyk, odczuwała radość z powodu jego spełnienia. Tuliła go, mając niejasne wrażenie, że wszystkie jej poprzednie doświadczenia były tylko lichymi namiastkami miłości fizycznej. Czuła się w tej chwili jak dopiero rozbudzona dziewica.

Wreszcie osunął się obok niej na łóżko, z zamkniętymi oczami, pociągając ją za sobą.

Przyglądała mu się przez długą chwilę. Choć był bardzo męski, pewne cechy w jego twarzy nadawały mu chłopięcy wygląd - ciemne rzęsy, kładące się cieniem na policzkach, lekko rozchylone usta, niesforny kosmyk włosów na czole, zroszonym teraz kropelkami potu. Pot zebrał mu się również nad górną wargą. Początkowo płytki oddech, stawał się coraz głębszy, klatka piersiowa unosiła się i opadała, wywołując w Jill chęć dotknięcia kędzierzawych włosów. Uczyniła to. Były również wilgotne. I szorstkie. I niewiarygodnie seksowne.

Ta ostatnia myśl wywołała nową falę ciepła w jej nie zaspokojonym ciele. Poczowała, że Burke nakrywa jej dłoń swoją dużą dłonią. Spojrzała mu w oczy. Wpatrywał się w nią bez słowa. Czule, lecz badawczo. Powoli podniósł jej rękę do ust i ucałował. Nikt nigdy nie pocałował jej tak pieczołotliwie, a jednocześnie tak zmysłowo.

- Zapomniałem ci powiedzieć, że mamy ze mnie kochanek.

Na jego wargach błąkał się lekki uśmiech, który Jill natychmiast odwzajemniła.

- To ty tak uważasz - powiedziała.

Jego uśmiech nagle zgasł.

- Przepraszam. Tak wiele czasu upłynęło, odkąd... Przepraszam - powtórzył.

- To nie ma znaczenia.

- Dla mnie ma. Chciałem, żeby to trwało dłużej.

- Mierzyłeś czas? - roześmiała się.

- Tak. Za pomocą sekundnika na moim zegarku.

Oboje się uśmiechnęli. Burke obrysował delikatnie pal-

cami kontur jej ust. Spoważniał, przypominając sobie, jak niedawno kochał się z nią zupełnie tracąc nad sobą panowanie.

- Czy nie zrobiłem ci krzywdy?

Pokręciła przecząco głową.

- Nie jestem ze szkła, Burke, naprawdę. Nic mi nie zrobisz. - Już w chwili gdy mówiła te słowa, opadły ją wątpliwości. Czy to rzeczywiście prawda? Och, z pewnością w sensie fizycznym, ale emocjonalnym?

Jill nie miała czasu zastanowić się nad tym problemem, ponieważ Burke przesunął się, pochylił głowę i mrużąc coś na temat jej dnia w sądzie, pochwyił wargami różową brodawkę. Jill westchnęła i wplótłszy palce w jego włosy, poddała się rozkoszным, intensywnym doznaniom.

Jeśli to ona panowała nad sytuacją za pierwszym razem, to teraz Burke był stroną dominującą, on narzucał tempo, decydował o wszystkim. Całował jej piersi, ssał je, aż sutki naprężyły się boleśnie. Gdy czuła, że nie wytrzyma już dłużej, złagodził napięcie delikatną pieścizotą języka.

Tak szczerza w namiętności, jak i w całym swoim życiu, Jill niczego nie ukrywała. Bez żadnych zahamowań pozwalala, by dawał jej rozkosz, a nawet mu w tym pomagała. Gdy wsunął dłoń pomiędzy jej uda, jęknęła i śmiało poprowadziła jego rękę do punktu, w którym koncentrowała się jej namiętność.

- O, tak, pokaż mi, co ci sprawia przyjemność - wyszeptał, podniecony jej reakcją, czując, że jego ciało znów jest gotowe do miłości. - Och, Jill, masz w sobie tyle seksu. Działasz na moje zmysły.

- Och, Burke - zagruchała, przęzając szyję i kapitulując' przed nim całkowicie.

- Tutaj? - spytał cicho, pieszcząc ją podniecającym kolistym ruchem.

- Tak. Och, tak. Tutaj. Mocniej!

Sterowana jej wskazówkami ręka Burke'a wykazywała szaloną inwencję.

- Pocałuj mnie - zażądał, anektując jej usta. Jego język poruszał się w tym samym rytmie, co bezlitośnie natchnione palce.

W chwilę później Jill, roztopiając się w ekstazie, wykrzyknęła głośno jego imię. Burke opadł na nią i zatonął w niej głęboko. Pełni niedowierzania, raz jeszcze wzniesli się na szczyty rozkoszy. Tym razem jednocześnie.

Dużo później, gdy Jill spała, Burke stał przy oknie, patrząc w ciemność rozświetloną tylko promieniami księżyca. On również zasnął, obudził się jednak nagle, zdenerwowany. W jego myślach panował kompletny zamęt. Życie nie przygotowało go na tę chwilę - gdy jego żona spała snem wiecznym w grobie, a kochanka tuż obok w łóżku.

Nie był pewien, jak powinien się czuć. Jęknął cicho. Zapomnij, jak powinieneś się czuć, Rawlins, myślał. Ważne jest, jak się czujesz. Pogрузzył się w spokojnej kontemplacji. Czuł się... zmęczony. Miał za sobą długi dzień, wyczerpujący psychicznie. Był też niespokojny. Jak liść, który trzepocze na wietrze nie dość silnym, by go zerwać, ale utrzymującym go w stałym ruchu. Odczuwał jednak również zadowolenie mężczyzny po chwilach spędzonych

na miłości ze wspaniałą kobietą. Jill. Wspomnienie ich splecionych ciał nasunęło mu pytanie: Czy żałował, że zostali kochankami?

Nie.

Czekał na wyrzuty sumienia.

Nie pojawiły się.

Dodało mu to odwagi, by posunąć się dalej i przeprowadzić porównanie niegodne dżentelmena, ale z czystych pobudek. Kochał swoją żonę i lubił seks z nią- tego nic nie mogło zmienić - ale... ale Jill ze swoim brakiem zahamowań podniecała go tak... Przerwał, wiedząc, że igra z poczuciem winy. No, powiedz to, Rawlins, sztydził z siebie. Jesteś to winien Jill. Musiał przyznać, że Jill ze swoim brakiem zahamowań i naturalnością podniecała go jak żadna kobieta dotąd. Nawet Nicole.

Czekał na wyrzuty sumienia.

Znów się nie pojawiły.

Westchnął głęboko, tym razem z ulgą. Zdał sobie sprawę, że podnieca go samo myślenie o miłości fizycznej z Jill. Jeden raz to stanowczo za mało. Myślał, że mu to wystarczy, a teraz stan jego ciała wskazuje, że i dwa nie zaspokoily jego pragnienia. Co więcej, miał wrażenie, że gdyby kochał się z nią sto razy, to i tak natychmiast myślałby o sto pierwszym. Zaczynał też podejrzewać, że potrzebował czegoś więcej niż tylko jej ciała. Potrzebował jej uśmiechu, jej serdeczności, tej szczególnej cechy, która sprawiała, że była jedyna w swoim rodzaju.

I co ty na to, Rawlins?

Poczuł zarazem panikę i spokój. Czy czuł się również

winny? Może trochę. Przyzwyczał się do ciągłego pocucia wina, odkąd Nicole... Nicole. Zmarszczył brwi, uświadamiając sobie, że ani razu, kiedy Jill leżała pod nim, nie pomyślał o Nicole. Natychmiast osaczyły go demony wyrzutów sumienia.

- Czy myślisz o niej? - dobiegł go gardłowy głos gdzieś spod łokcia.

Odwrócił się w kierunku tego dźwięku. Gdyby nawet nie widział sylwetki Jill w bladym świetle księżyca, nie rozpoznał głosu, który niedawno tak bez oporów mówił mu o rozkoszy, jaką jej daje, i tak wiedziałyby, że to ona. Nikt, z wyjątkiem Jill McClain, nie miałby odwagi zadać tak bezpośredniego pytania, na które odpowiedź mogła przecieć ją zranić.

- Tak - odpowiedział. Prawie czuł, jak się odsuwa, czuł jej cierpienie we własnym sercu. Wyciągnął rękę, żeby pogłaskać jej policzek. - Ale nie w taki sposób, jak myślisz. Szczerze mówiąc - dodał, przytulając ją do siebie, gdy zrozumiał, że nie wystarczy mu jedynie przelotne musnięcie - myślałem raczej o tobie.

Jill chętnie frunęła w jego ramiona, ich nagie ciała zetknęły się. Objął ją w talii, tuż pod falą potarganych włosów, i oparł policzek na jej głowie.

- Co o mnie myślałeś?

Burke'a rozbawiła jej ciekawość.

- Że mnie podniecasz - odrzekł z uśmiechem.

- Doprawdy?

- Co się pani nie podoba?

Usta Jill przytulone do jego piersi rozciągnęły się

w uśmiechu. Połaskotało go to. Miał ochotę zdusić ją w ramionach, obsypać pieśczołkami.

- Co jeszcze myślałeś?

Zawahał się, postanowił jednak odpłacić Jill szczerością.

- Że mnie podniecasz - powiedział cicho - tak jak nikt dotąd.

Jego wyznanie było dla Jill niczym kęs chleba dla przymierającego głodem. Nawet nie zdawała sobie sprawy, jak jej to było potrzebne. Odsunęła się trochę, szukając w ciemności jego oczu. Nigdy nie padło między nimi imię Nicole - Jill nie byłaby tak niedelikatna, a Burke uważałby, że popełnia zdradę - ale to nie wypowiedziane imię kryło się w bezgłośnym pytaniu Jill. W odpowiedzi musnął delikatnym pocałunkiem jej wargi, zanim przytulił ją z powrotem do siebie.

Księżyc odbył część swej wędrówki po wygwieżdżonym niebie, nim Burke przemówił znowu.

- Odpowiedź brzmi: nie.

- A pytanie?

- Jeszcze jedno, którego nie zadałaś - odpowiedział, dając jej do zrozumienia, że doskonale znał jej myśli kilkanaście minut temu. - Nie udawałem, że jesteś Nicole. - Westchnął, jak gdyby wciąż sam nie wierzył w to, co mówi. - Ani razu o niej nie pomyślałem, Jill. Ani razu.

Serce Jill wypełniła radość, pomieszana ze współczuciem dla niego.

- I to cię dziwi?

- Tak.

- I budzi w tobie wyrzuty sumienia?

- Cholerne.

- Och, Burke, wmówiłeś sobie, że musisz czuć się winny, prawda? - Jill również westchnęła. - Że musisz wymierzyć sobie karę.

- Zasługuję...

- Nie chcę tego więcej słyszeć - przerwała mu ostro, szukając znów jego wzroku, po czym powtórzyła łagodniejszym tonem: - Nie chcę tego więcej słyszeć. - Dotknęła pieśczołtliwie dłonią lekko zarośniętego już policzka. - Zasługujesz na coś dobrego, ponieważ sam jesteś dobry.

Zaczął żywić nagle nadzieję, że być może, gdyby Jill powtarzała mu to często, przez długi czas, naprawdę uwierzyłby, że i on zasługuje na coś dobrego. Na przykład, na nią? Na przyszłość? Na szczęście?

- Czy zostajesz na noc?

Burke wyczuł słabość w jej głosie i nienawidził sam siebie za to, co musi powiedzieć. Zdjął jej rękę ze swego policzka, podniósł ją do ust i pocałował z ogromną czułością.

- Jill, nie wiem. Muszę... muszę przemyśleć pewne sprawy. Czy mnie rozumiesz?

Rozumiała. Było jej przykro, ale rozumiała.

- Tak. - Oblizwała wargi i powiedziała, mając nadzieję, że jej głos brzmi pewnie: - Ja... się kładę. Jeśli zechcesz, żebym cię odwiozła do domu, po prostu mnie obudź...

- Wezwę taksówkę.

Tym razem bała się zaufać swemu głosowi. Skinęła tylko głową. Zabrała mu rękę i odsunęła się.

- Zamkniesz za sobą drzwi na klucz, gdybyś...

- Tak.

Patrzył, jak idzie w stronę łóżka, kładzie się i pomyślał, że być może jego przeznaczeniem jest ciągła rozterka. Był rozdarty pomiędzy życiem a śmiercią, pomiędzy dniem wczorajszym a dzisiejszym, pomiędzy Nicole a Jill. Przygnębiony, odwrócił się z powrotem do okna i wsparł dłoń na nagim biodrze.

Stracił poczucie czasu. W głowie kłębiły mu się gorączkowe myśli. Pomyślał o Nicole i pikniku, na który kiedyś pojechali. Potem o świętach Bożego Narodzenia, gdy podarowała mu pluszowego misia. Dziwna rzecz, ale wizerunek Nicole był lekko zatarty, niczym stara fotografia. Wyraźnie pamiętał jedynie jej głos, powtarzający mu, że go kocha. Nałożył się na to głos Jill, mówiącej, że miłość nie jest więzieniem, lecz wyzwoleniem. Po raz pierwszy przyszło mu do głowy, że być może obraża Nicole swoim nieustającym poczuciem winy, swoim czepianiem się przeszłości, niechęcią do rozpoczęcia nowego życia. Jill proponowała mu zmartwychwstanie. Była to propozycja, z której się cieszył i zarazem ją odrzucał.

„Zasługujesz na coś dobrego”.

Burke spojrział na drobny kształt, skulony na łóżku w pościeli. Pomyślał o namiętnych pocałunkach Jill, o tym, jak wspaniałomyślnie i nie żądając niczego w zamian, ofiarowała mu swoje ciało, jak cudownie było im razem. Nawet, jeśli on nie zasługiwał na nic dobrego, to Jill z pewnością zasługiwała. Nie mógł się od niej odwrócić. Nie dzisiejszej nocy, gdy potrzebował jej tak bardzo, a w jego myślach panował kompletny galimatias.

Podszedł do łóżka i wsunął się pod kołdrę obok Jill. Nie

troszcząc się o to, czy śpi, przyciągnął ją gwałtownie do siebie. Nie spała. Gdy ją przytulił, z jej oczu popłynęły łzy.

- Myślałam, że...

- Cśś - szepnął. - Nigdzie nie idę. Nie mogę.

Delikatnie, a zarazem szorstko, odwrócił ją na plecy i całując namiętnie, zaczął się z nią znów kochać. Było to tak naturalne jak noc, jak bicie ich serc, jak fakt, że czas leczy smutek. Niezależnie od tego, czy ktoś chce w nim trwać, czy też nie.

Żółte jak cytryna słońce zaglądało radośnie przez przejrzyste haftowane zasłony. Jill poruszyła się, sen powoli odpływał. Ciężar. Jakiś przyjemny ciężar spoczywał na jej talii. Wysłała dłoń na leniwy rekonesans. Raport brzmiał: ręka. Męska ręka. Ręka Burke'a.

Burke.

Powieki Jill zatrzepotały i uchyliły się lekko. Obrazek, który zobaczyła, wywołał uśmiech na jej twarzy. Jest ta-

ki... taki na skroś męski, pomyślała, przyglądając się leżącemu obok mężczyźnie. Leżał na brzuchu z prawą ręką przerzuconą niedbale, lecz władczo przez jej talię, lewą miał zagiętą nad głową. Na kształt aureoli. Ta myśl rozśmieszyła ją jeszcze bardziej. Burke nie przypominał bynajmniej w łóżku anioła. Był mężczyzną z krwi i kości. Stuprocentowym.

Z przyjemnością przyglądała się jego muskularnym, opalonym na brąz plecom, potem zapatrzyła się na twarz Burke'a. Gęste ciemne rzęsy kładły się cieniem na policzkach, oddychał przez lekko rozchylone usta. Następnie przysłała kolej na lewą rękę. Wypukły biceps, gęste owłosienie poniżej łokcia, zegarek na przegubie dłoni...

.. złota obrączka na palcu.

Poczuła tępy ból, ponury jak jesienny ranek. Nie, pomyślała, jej serce nie chciało się pogodzić z tym, co widzi. Tak, potwierdził jej mózg. Łzy napłynęły jej do oczu. Szepcząc czułe, intymne słowa, miał na palcu obrączkę. Kochając się z nią tak intymnie, jak żaden dotąd mężczyzna, miał na palcu obrączkę.

Niemal jednocześnie dokonała drugiego odkrycia, które sprawiło, że nagle zabrakło jej tchu w piersiach. Zakochała się w Burke'u. Gdyby nie było to prawdą, nie czułaby się tak cudownie w nocy i tak podle rankiem.

A jeśli idzie o ostatnią noc, to czy znaczyła dla niego wyłącznie tyle, że dał upust nagromadzonym potrzebom? Prawdopodobnie tak, pomyślała Jill z przykrością. Potrzebował jej ciała, lecz nie angażował serca. Ponieważ jego serce należało do kogoś innego.

Czyż jednak nie powiedział jej, że kochając się z nią, ani razu nie wspomniał Nicole? Czy nie zdecydował się w końcu zostać na noc? Czy nie kochał jej z czułą namiętnością, która przyćmiła wszystko, co przeżyła wcześniej? Serce Jill podskoczyło z radości, po czym znów zaciążyło kamieniem. Czy nie nosił wciąż obrączki, która wiązała go z inną kobietą?

Nagle myśl o tej obrączce stała się dla Jill wręcz nie do zniesienia. Wyślizgnąwszy się ostrożnie spod jego ramienia - mruknął coś i zmienił pozycję, po czym znów zapadł w sen - wstała i skierowała się do łazienki. Postanowiła zająć myśli praktycznymi sprawami. Dzisiaj jest piątek, zwykły dzień pracy. Musi wziąć prysznic, umalować się, ubrać. Spróbowała odłożyć problemy osobiste na półkę. Z dwoma pierwszymi zadaniami poradziła sobie dość szybko, podobnie jak z włożeniem soczewek kontaktowych. Zamiast jednak ubrać się stosownie do pracy, narzuciła na siebie żółty atłasowy szlafrok i wróciła do sypialni. Burke wciąż był pogrążony w głębokim śnie. Po prostu pozwoli mu pospać jeszcze kilka minut, tłumaczyła sobie, przecież potrzebuje wypoczynku. Wołała zignorować prawdziwą przyczynę, dla której nie chciała mu przerwać snu. Nie wiedziała, co mu powiedzieć, gdy się wreszcie obudzi. I jak jej się uda ukryć to, co ma na sercu?

Podniósłszy jego koszulę z podłogi, poszła do kuchni. Wyjęła deskę do prasowania i włączyła żelazko. Potem zajęła się kawą. Po chwili pomieszczenie wypełnił jej aromat, pomieszany z zapachem rozgrzanego materiału. Jill czuła również wodę kolońską Burke'a, która budziła wspomnienie jego ciała splecionego z jej ciałem.

Gdzieś pomiędzy rękawem a połą koszuli, ramię Burke'a objęło ją w pasie. Pod wpływem jego ciepłego dotyku zadała sobie pytanie, czy żałuje tej nocy. Nie, nie żałowała. Nie potrafiła żałować, że się kochali, niezależnie od tego, jak się potoczą losy ich znajomości. Ale w tej chwili było jej naprawdę przykro. I właśnie to uczucie oraz przemożna siła instynktu samozachowawczego sprawiły, że próbowała zapanować nad sobą i nie reagować na bliskość Burke'a.

Może nawet jej usiłowania zakończyłyby się sukcesem, gdyby nie odwrócił jej i nie przytulił do swej wciąż nagiej piersi. Miała jeszcze szansę, gdy uniósł prawą ręką jej brodę. Gdy jednak dotknął ustami jej warg, poddała się całkowicie i pozwoliła mu na gorący pocałunek.

- Nie musisz tego robić - powiedział cicho, owiewając ciepłym oddechem jej wargi.

Jasne, że nie muszę, pomyślała w popłochu, zdając sobie po chwili sprawę, że nie chodziło mu o pocałunek, lecz o prasowanie koszuli.

- A właśnie, że tak - odpowiedziała - jeśli chcesz ją włożyć do pracy. Wygląda jak... - Przerwała, nie bardzo chcąc zdradzić swoje skojarzenie.

- Jak gdybym rzucił ją w pośpiechu, by się kochać? - spytał, przybliżając usta do jej ust, ale ich nie dotykając.

- Tak - szepnęła, modląc się, by ją pocałował i przeklinając się za to, że tego pragnie.

Gdy Burke spełnił tę bezgłośną prośbę, zapomniała o wszystkim, rozkoszowała się tylko smakiem jego warg, wyrafinowaną pieśzczotą języka, dotykiem gładkiego, pa-

chnącego mydłem policzka - musiał ogolić się jej maszynką - którym ocierał się o nią niczym kot w marcu.

„Panuj nad sobą, Jilly. Pamiętaj, że nie jest to doskonały związek, jeszcze trochę i będziesz cierpiała. Bardzo cierpiała”.

Siłą woli oderwała się od niego - Boże, ile ją to kosztowało! - i zajęła się na powrót koszulą. Ręka, trzymająca żelazko, drżała lekko.

- Muszę... dokończyć prasowanie albo się spóźnimy.

Burke zdawał się nie zauważać, że usiłuje go trzymać na dystans. Widział tylko jej szyję, którą odsłonił, odgarniając pasmo włosów. Obsypał ją lekkimi pocałunkami, po czym zajął się uchem, chwytając je wargami, zębami, pieszcząc językiem.

Gorąca para unosiła się w górę. Jill zastanawiała się, czy to paruje żelazko, czy ona sama. Hamując jęk rozkoszy, zaczęła przesuwając gorliwie żelazkiem po ostatnim zmiętym fragmencie koszuli.

- Dziękuję - rzekł cicho Burke.

- Proszę bardzo - powiedziała Jill, wyłączając żelazko.

- Nie za koszulę - sprostował, odsuwając nosem kołnierzyk jej szlafroka i całując ramię.

Ręka Jill zawisła nad deską do prasowania. Poczowała, że w jej żyłach płynie lodowata woda. Chyba nie dziękuje jej za...

- Tylko za co?

- Za tę noc - odpowiedział Burke niewinnie niczym baranek prowadzony na rzeź.

Rozsądek podpowiadał Jill, że szuka pretekstu, by wy-

ładować gniew, wziąć odwet za cierpienie, którego stał się sprawcą. Każdy pretekst byłby dobry, musiała bowiem znaleźć ujście dla dręczącego ją napięcia. Gwiżdząc więc na rozsądek, okręciła się jak fryga, wbijając weń pałające spojrzenie niebieskich oczu.

- Nie waż się dziękować mi za tę noc, Burke! Nie posuwaj się do tego, by dziękować mi, jakbym... jakbym... - Machnęła ręką. - Po prostu nie waż się!

Rzuciwszy koszulę, wymaszerowała bosą, z rozwianymi połamami szlafroka, do sypialni.

Zmrożony jej słowami, Burke na chwilę stracił mowę.

- Jill! - zawołał, idąc szybko za nią. Zastał ją stojącą przed lustrem, bezlitośnie szczotkującą długie włosy. - Co, u diabła... - zaczął, podpierając się pod boki, po czym zmienił taktykę. - Co miałaś na myśli, mówiąc, żebym nie dziękował ci, jakbyś... Jakbyś co? - Głos mu się zmienił ze zdenerwowania.

Odnalazła jego oczy w lustrze. Patrzył na nią wyczekująco, z zamyśleniem. Dostrzegła też jego nagi tors. Użyła całej siły woli, próbując skoncentrować się nie na jego ciele, lecz na swoim gniewie.

- Nie waż się przychodzić tu i dziękować mi, jakbym świadczyła usługi wygłodzonym seksualnie mężczyznom. Jak ci wzbierze, idź do Jill. Potrzebujesz rozładować się fizycznie, idź...

Burke chwycił ją za rękę i okręcił twarzą do siebie. Wyraz jego oczu spowodował, że dalsze słowa utkwily jej w gardle. Stali naprzeciwko siebie, mierząc się gniewnymi spojrzeniami. Jill widziała, że jest wściekły jak diabli.

- Nie miałem pojęcia, że dałaś mi coś, za co powinienem ci podziękować - wycedził przez zaciśnięte wargi.
 - Myślałem, że to, co zdarzyło się między nami, stanowiło nasze wspólne przeżycie. Wydawało mi się, że oddałem wszystko, co wzięłem. Nie wiedziałem, że jedno z nas świadczy usługę. Tak to widzisz, Jill?

Spojrzenie, którym go obdarzyła również pałało gniewem, ale jednocześnie było pełne bólu. Pragnęła rzucić mu się w ramiona, przeprosić go... i błagać, żeby kochał ją tak jak swoją żonę, tak jak ona, Jill, go kochała.

- Nie, ja... Burke, ja...

- Chciałem ci podziękować - przerwał jej - za to, że byłaś taka wyrozumiała. Że dałaś mi czas, bym pozbierał myśli, nie zmuszając mnie do zostania. Wiem, że nie było to łatwe. Nie byłoby łatwe dla żadnej kobiety. Ani mężczyzny. Nie po tym, co właśnie... - Umilkł na chwilę. - Co wspólnie przeżyliśmy.

Targały nią sprzeczne emocje. Czuła się niegodna pochwały, jaką ją obdarzył. Odczuwała również ból, gniew i obawę - obawę, że może odejść z jej życia albo że odejdzie dopiero wówczas, gdy ona pokocha go tak mocno, że nie będzie umiała żyć bez niego. Przede wszystkim jednak była po prostu kobietą. Wiedziała, że nic jej nie powstrzyma od powiedzenia mu, co jej leży na wątrobie. Zostało to przesądzone w chwili, gdy zobaczyła złotą obrączkę na jego palcu.

- Czy już uporządkowałaś myśli, Burke?

- Tak. Wyjaśniłem sobie pewne sprawy.

- Również sprawę ślubnej obrączki?

Przez chwilę wyglądało na to, że Burke nie rozumie,

o co jej chodzi. Wreszcie opuścił wzrok na swą rękę, którą wciąż ścisnął jej dłoń w nadgarstku... i na obrączkę. Nagle wszystkie elementy układanki dopasowały się. Kłótnia nabrała sensu. Gniew w oczach Jill przypominał raczej ból.

- Nigdy nie powiedziałaś mi nawet, że mnie pragniesz, tylko że mnie potrzebujesz - powiedziała rwącym się głosem, który sprawiał, że wydawała się jeszcze mniejsza niż zwykle.

Tak mała, że można by ją zmiażdżyć w uścisku, pomyślał Burke.

- Przez cały czas, gdy kochałeś się ze mną, miałeś na palcu... - Umilkła, czując, że łzy zaczynają ją dławić w gardle.

Burke puścił powoli nadgarstek Jill. Szczotka wysunęła jej się z dłoni i upadła ze stukiem na podłogę. Żadne z nich nie zwróciło na to uwagi. Bez słowa Burke podszedł do okna i oparłszy się dłonią o framugę, patrzył na drozda, szukającego śniadania. Jak na ironię, poranek był piękny i beztroski, on zaś myślał, jak łatwo wszystko skomplikować. Myślał też o nie widzącym spojrzeniu Jill i cierpieniu, które czaiło się w kącikach jej ust. Nagle przeklął brzydko.

- Jill... - Odwrócił się twarzą do niej. - Jill, bardzo mi przykro. Nie wiem, jak mam cię przeprosić. To była ogromna niedelikatność z mojej strony. Niewybaczalna. Na moje usprawiedliwienie mogę jedynie powiedzieć, że... że noszę tę obrączkę tak długo, iż stała się częścią mnie i po prostu nie przyszło mi do głowy, by ją zdjąć, podobnie jak nie zdejmuję zegarka. - Pokazał jej rękę, jak gdyby prosząc o zrozumienie. Powoli zbliżył się do niej i otarł opuszką

palca cichą łzę. - Przepraszam. Przepraszam, że sprawiłem ci przykrość.

- Nic się nie sta... - próbowała powiedzieć.

- Nieprawda. Stało się. I spróbuję to jakoś naprawić.

- Sięgnął prawą ręką do obrączki. - Zacznę od razu...

- Nie! - Powstrzymała jego palce. - Nie rób tego - wyszeptwała. - Chyba że wczorajsza noc znaczyła coś więcej niż tylko... - Zawahała się, szukając słów, które oddałyby jej uczucia.

- Chyba że wczorajsza noc znaczyła coś więcej niż tylko to, że moje ciało potrzebowało twojego? - dokończył za nią Burke.

- Tak.

Uśmiechnął się smutno, z pogardą dla samego siebie i pogładził ją po policzku.

- Nie dałem ci żadnych podstaw, byś wierzyła, że jest inaczej, prawda? W dodatku na samym początku uprzedziłem cię, że być może czuję do ciebie wyłącznie pociąg fizyczny. Nie chciałem cię zwodzić, Jill, wydawało mi się możliwe, że po prostu potrzebuję... - Umilkł, nie chcąc, by zabrzmiało to zbyt brutalnie.

- Kobiety?

- Tak. Myślałem tak aż... - przełknął ślinę - ..aż do wczorajszej nocy.

Ich oczy mówiły sobie wszystko, czego słowa nie były w stanie wyrazić. Ręka Burke'a poruszyła się pod jej dłonią. Powoli, nie spuszczać wzroku z jej oczu, zsunął obrączkę z palca. Jill, z bijącym sercem, przyglądała się białemu paskowi skóry, który po niej pozostał. Stanowił sym-

bol, że coś się zmieniło, ale i tym razem potrzeba czasu, by wyleczyć rany. Wciąż patrząc jej w oczy, Burke schował obrączkę do kieszeni spodni.

- A teraz, panno McClain, muszę pani coś wyjaśnić.
- Ujął ją za ramiona i przyciągnął do siebie. - Powinienem był to zrobić wczorajszej nocy i z pewnością zrobiłbym, gdybym nie był takim durniem. - Jedną jej dłoń położył sobie na piersi, tak że czuła, jak szybko bije mu serce, drugą wsunął pod spodnie. - Potrzebuję cię. Kochałem się z tobą trzy razy - wymówił głosem napiętym z pożądania - a znów cię potrzebuję. Czy czujesz to, Jill?

- Tak. - Jej głos również brzmiał nieswojo.

- Pozwól więc, że ci powiem, czego nie możesz czuć, ponieważ jest to w moim sercu. Pragnę cię. Nie sądziłem, że jeszcze kiedykolwiek będę tak bardzo pragnął kobiety. I pragnę, żebyś ty mnie pragnęła tak samo, jak ja ciebie, Jill. Ale najbardziej ze wszystkiego - dodał, pochylając głowę - pragnę, żebyśmy przestali rozmawiać, przestali się kłócić i zaczęli się kochać.

Pocałował ją namiętnie, przyprawiając o zawrót głowy, po czym rozwiązał zręcznie jej szlafrok. Bez wahania, ale też i bez pośpiechu, zsunął aksamitny materiał z jej ramion. Szlafrok opadł na podłogę jak plama słońca. Język Burke'a kusił, sondował, obiecywał, ręce gładziły jej nagie plecy, biodra, przytulały ją mocno.

- Spóźnimy... się... do pracy - zdołała wymówić między pocałunkami.

- Naprawdę cię to obchodzi? - spytał cicho, biorąc ją na ręce i niosąc do łóżka.

Otoczyła ramionami jego szyję, poddając się pierwotnej żądzy, która owładnęła jej kobiecym ciałem.

- Nie - szepnęła prowokująco, figlarnie. Wplotła palce w jego lekko wilgotne włosy i przez następną godzinę robiła wszystko, co tylko w jej mocy, by opóźnić ich wyjście do pracy.

I rzeczywiście się spóźnili.

Trzy osoby skomentowały ten fakt, ledwie zdążyli przekroczyć próg kancelarii.

- Spóźniliście się - powiedziała recepcjonistka, kopiąc automat z napojami, by zmusić go do posłuszeństwa.

- Cóż to? Zaspaliście? - spytała Ellen, obciągając różowy sweter, który uwypuklał jej kształty w sposób pobudzający męską wyobraźnię.

- No, no, patrzcie, kto w końcu zdecydował się pojawić w pracy - zauważył złośliwie Charles Evans. - Najwyraźniej najświetniejsi prawnicy w Bostonie mają specjalne przywileje, co? Hej - dodał poważnie - moje gratulacje. Odwaliliście kawał świetnej roboty w sądzie. Jestem dumny, że z wami pracuję.

Jill i Burke zwolnili kroku, ale się nie zatrzymali. Uśmiechnęli się jak na komendę.

- Dzięki - odpowiedzieli chórem.

Gdy go minęli, Charles Evans nie potrafił się powstrzymać, by nie wetknąć im jeszcze jednej szpilki.

- Jeśli się pośpieszycie, zdążycie jeszcze popracować z piętnaście minut przed lunchem.

- Wypchaj się, Evans - odpowiedział Burke, czując się

niezwykle szczęśliwy, jak na faceta, który niewiele spał w ciągu ostatnich dwudziestu czterech godzin. Charles roześmiał się. Jill i Burke szli dalej w stronę swoich gabinetów.

- Uśmiechnij się, Jill. Masz minę winowajcy - szepnął Burke.

- Powinniśmy byli przyjechać osobno - odpowiedziała Jill, uśmiechając się i witając z jedną z sekretarek.

- Pomyśla, że spotkaliśmy się w holu.

- Powinieneś być pojechać do domu i przebrać się.

- Pomyśla, że nie przykładam wagi do ubrania.

- Pomyśla, że masz pogniecioną koszulę... co jest prawdą.

Burke skinął głową, witając się z kolejnymi osobami.

- Nie byłaby pognieciona, gdybyś nie rzuciła jej na łóżko po wyprasowaniu.

- Nie byłaby pognieciona, gdybyś patrzył, gdzie mnie kładziesz. - Gdy dotarło do niej, co powiedziała, obejrzała się szybko dookoła i zaczerwieniła jak piwonia. - To znaczy, gdzie mnie stawiasz... sadzasz... - zająknęła się.

- Wolę to, co powiedziałaś najpierw - uśmiechnął się swawolnie.

- Pewnie. - Uśmiech zakłopotania zmienił się w zdawkowy uśmiech, którym powitała przechodzącą osobę.

- Dzień dobry - zawtórował jej Burke.

- A więc zjawiliście się wreszcie - rzekła Ida Tumbrello, gdy podeszli do jej biurka. - Andrew chce się z wami widzieć. Poza tym mam dla was masę wiadomości telefonicznych.

- Dziękuję, Ido - powiedziała Jill.

- Moje gratulacje. - Pijne oczy starszej pani śmiały się do nich z twarzy w kształcie serca.

Oboje uśmiechnęli się do niej.

- Dzięki.

- Dzięki.

- Jest tam? - spytał Burke, wskazując gestem głowy drzwi do gabinetu ojca.

- Tak - odpowiedziała Ida.

Gdy dzieliło ich od nich zaledwie kilka kroków, Jill szepnęła:

- Wspaniale. Z pewnością nas wyleje.

- Nie może. Część udziałów firmy należy do mnie. Poza tym, to mój ojciec.

- Czy ma być dla mnie pocieszeniem, że będę szukała pracy sama?

- Nie martw się, McClain. - Burke zapukał do drzwi i otworzył je. - Dam ci świetne referencje.

Na dźwięk słowa, niegodnego damy, które wymówiła szeptem, gdy weszli na czerwony dywan w przestronnym gabinecie, usta Burke'a rozciągnęły się w szerokim uśmiechu.

To właśnie synowski uśmiech zobaczył najpierw Andrew Rawlins. Zareagował jak każdy ojciec. Cichą modlitwą, wyrażającą wdzięczność dla tego, kto go wywołał. Jego spojrzenie padło na kobietę u boku syna.

- Dzień dobry - przywitał ich ciepło.

- Dzień dobry panu - odpowiedziała Jill z szacunkiem.

- Dzień dobry, tato. Przepraszamy za spóźnienie. Musieliśmy załatwić pewną niecierpiącą zwłoki sprawę - dodał Burke, chwytając spojrzenie Jill.

Mimo że otoczenie było absolutnie po temu nieodpo-

wiednie, mimo że kochali się kilka razy, Jill poczuła znów dreszcz podniecenia, przenikający jej ciało. Czuła też bezbrzeżną miłość do tego mężczyzny. Była pewna, że zauważył jej podniecenie. Czy zauważył również miłość?

- Nie szkodzi - powiedział Andrew Rawlins, zachęcając ich gestem, żeby usiedli. - Zasłużyliście oboje na leniwy poranek. Aha, nie jestem pewien, czy pogratulowałem wam wczoraj w tym całym zamieszaniu. To był kawałek świetnej roboty.

Burke i Jill skinęli z zadowoleniem głowami.

- Muszę jednak przyznać - rzekła Jill - że jestem trochę rozczarowana, iż werdykt zależał w większym stopniu od interwencji osób trzecich niż od naszej błyskotliwości.

- Mam podobne odczucia - zgodził się Burke.

- Rozumiem was - powiedział Andrew Rawlins - ale gdy już będziecie w branży tak długo, jak ja, nauczycie się przyjmować z wdzięcznością pomoc z każdego źródła. I zupełnie się nie zgadzam, że nie wykazaliście się błyskotliwością. Nie mogliście się przecież domyślać, z jaką tajemnicą żyje Paula Keszler. Mogliście wyłącznie przedstawić sprawę i stworzyć taką atmosferę, żeby ta kobieta zechciała pomóc waszej klientce. I udało się to wam. - Siwowłosa mężczyzna obrócił się w fotelu i sięgnął po notatkę. - A propos, miałem wam coś powiedzieć. Dzwoniła do was pani Stroker, a ponieważ was nie zastała, porozmawiałem z nią. Wyraziła chęć dokonania pewnego godziwego zapisu na rzecz panny Keszler i jej córki.

- Dama z klasą - zauważył Burke.

- W pełni się z tobą zgadzam - powiedział Andrew Rawlins, odkładając kartkę papieru.

Burke sięgnął po nią... lewą ręką. Wzrok Andrew Rawlinsa przez ułamek sekundy zatrzymał się na pasku białej skóry w miejscu, gdzie jeszcze niedawno znajdowała się obrączka. Następnie popatrzył wymownie synowi w oczy. Ponieważ był dżentelmenem w każdym calu, nie spojrział na Jill - nie ulegało dla niej wątpliwości, że celowo.

- To numer telefonu, pod którym możecie znaleźć panią Stroker - dodał.

- Dziękuję - powiedział Burke, wstając i biorąc swoją teczkę.

Jill wstała również. Czuła się, jak gdyby stała naga na scenie. W chwilę później, gdy znów szli tym samym korytarzem do swoich pokoi, powiedziała:

- On wie.

- I akceptuje. A nawet, jeśli nie... - rzekł Burke, zatrzymując się przed jej gabinetem. Nie dokończył zdania, bowiem zatonęli wzrokiem w swoich oczach jak zakochani nastolatki, którzy nie potrafią zdobyć się na odwagę, by się pożegnać. - Jak, do diabła, mam pracować, wiedząc, że jesteś po drugiej stronie korytarza?

- Czuję się dokładnie tak samo, Burke. Tyle że narzucam sobie samodyscyplinę.

- Nie wydaje mi się, żeby była ostatnio moją mocną stroną - powiedział, a jego ciemniejące z namiętności oczy przypomniały jej, jak znikomą samodyscypliną wykazał się kilka godzin temu. Powoli opuścił wzrok z jej niebieskich oczu na wilgotne, różowe wargi. Był to najzupełniej

naturalny odruch, biorąc pod uwagę tory, jakimi biegły jego myśli.

Jill poczuła ściskanie w żołądku.

- Nie - szepnęła.

- Boże, jak ja tego pragnę! Może zamiast zimnego prysznic, odbędę rozmowę z panią Stroker?

- Świetny pomysł, panie mecenasie - odrzekła z uśmiechem.

- Masz rację, świetny pomysł.

Burke cofnął się o krok, potem jeszcze jeden, wreszcie odwrócił się z zamiarem wejścia do swego gabinetu. Jill uczyniła to samo.

- Jill!-zawołał ją nagle.

Spojrzała na niego pytająco.

Miał niepewną, przestraszoną minę, która była wynikiem długich miesięcy spędzonych w samotności.

- Chciałem tylko sprawdzić, czy naprawdę będziesz tu, gdy cię zawołam.

Była to najtrudniejsza rzecz, jakiej Jill dokonała w życiu, ale udało jej się jakoś nie podbiec do niego i nie pochwycić go w ramiona.

Wbrew swym przewidywaniom, Jill zdołała jakoś zająć się pracą. Po prostu musiała, ponieważ ostatnia sprawa zepchnęła wszystkie inne na dalszy plan i nagromadziło się sporo zaległości. Spojrzała na imponującą listę telefonów, na które miała odpowiedzieć. Znajdował się na niej również Rob Sheffield. Zmarszczyła brwi. Czy coś się stało? Rob nigdy przedtem nie dzwonił do niej do pracy. Jill

natychmiast przyszła na myśl Mary, ale przypomniawszy sobie świetny humor siostry w niedzielne popołudnie, postanowiła się nie martwić. Troskę zastąpiła ciekawość, Jill wybrała numer Roba... tylko po to, by się dowiedzieć, że go w tej chwili nie ma i zadzwoni później.

W porze lunchu okazało się, że ona i Burke mają osobne spotkania. Obojgu się to nie podobało, ale rozsądnie stwierdzili, że prawdopodobnie jest to najlepsze rozwiązanie. Gdy Burke wsunął głowę przez drzwi z krótkim: „Do zobaczenia później”, ujrzał w jej oczach odbicie własnych uczuć, wszedł więc do środka, zamknął drzwi i pochwycił ją w ramiona. Pocałunek trwał do chwili, gdy należało go skończyć lub kontynuować z wszelkimi naturalnymi konsekwencjami. Obojgu dłużył się lunch, ponieważ głód, który trawił ich ciała nie miał nic wspólnego z jedzeniem. Po powrocie do pracy, Jill znalazła następną wiadomość od Roba. Natychmiast zadzwoniła do niego tylko po to, by się dowiedzieć, że znów wyszedł.

Jeśli to w ogóle możliwe, po południu mieli jeszcze więcej pracy niż rano. Jill wielokrotnie słyszała głos Burke'a na korytarzu, nie zatrzymał się jednak i nie wstąpił do niej. Była i nie była z tego zadowolona. Gdy za piętnaście czwarta ktoś zapukał lekko do jej drzwi, miała nadzieję, że to on.

Ale to nie był on.

- Rob! - zawołała zdziwiona.
- Czy ci w czymś przeszkadzam?
- Ależ nie. Wejdz. - Wstała i wyszła z za biurka. - Próbowałam się do ciebie dodzwonić...

- Wiem. Przez cały dzień byłem poza biurem. Przecho-
dziłem tędy i postanowiłem wpaść.

Niepokój Jill odżył na nowo. Nigdy nie widziała jego oczu bez uśmiechu, nigdy nie miał tak mizernej i ściągniętej twa-
rzy. Po raz pierwszy wyglądał znacznie starzej niż na swoje
pięćdziesiąt jeden lat. I był najwyraźniej przestraszony.

- O co chodzi? - spytała, zapraszając go, by usiadł
i sama siadając naprzeciwko niego. - Czy coś się stało?

- Kiedy ostami raz rozmawiałaś z Mary?

Serce Jill zabiło gwałtownie. Instynktownie przewi-
działa temat rozmowy.

- W niedzielę. Wydawało mi się, że ma świetny na-
strój. Znacznie lepszy niż ostatnimi czasy.

- O jakiej porze w niedzielę?

- Po południu. Wyszłam gdzieś tak około szóstej, siód-
mej. Zostawiłam ją na strychu. Pakowała rzeczy. Czemu
pytasz?

- Dzwoniłem o dziesiątej i nikt nie odebrał telefonu.
Próbowałem do jedenastej, wreszcie byłem tak zaniepokojony,
że pojechałem do niej i otworzyłem drzwi własnym
kluczem. Znalazłem ją na kanapie w pozycji embrionalnej.

- Przeczesał palcami spłowiałe na słońcu włosy. - Jill, ona
znajdowała się niemal w stanie katatonii. Przebywała we
własnym świecie. Przez chwilę nie wiedziała nawet, kim
jestem. - Umilkł, po czym dodał: - Gdy wreszcie doszła
trochę do siebie, powiedziała, że źle się czuła i miała torsje.

- Może to prawda? - rzekła Jill z nadzieją.

- Nie - odpowiedział z przekonaniem. - Kłamała. Je-
stem pewny. Czuję to. - Wstał i zaczął się niespokojnie

przechadzać po pokoju. - Była... nie wiem... podminowana, zdenerwowana przez cały tydzień. Ale dziś rano wybuchła absolutna bomba. - Usiadł z powrotem na fotelu. - Zadzwoiła do mnie o siódmej z prośbą, bym pożyczył jej dwa tysiące dolarów. Powiedziała, że to na szkołę, ale ja jej nie wierzę. Znowu mnie okłamała.

- Mary chciała pożyczyć pieniądze? - spytała ze zdumieniem Jill. Zupełnie nie pasowało to do jej siostry.

- Tak. Mnie to też uderzyło. - Wpadł nagle w gniew, którego źródłem była obawa. - Nie zależy mi na tych cholernych pieniądzach ani nie obchodzi mnie, na co je wyda - do diabła, może mieć każdego centa z tego, co zarobię - ale coś tu nie gra. Dzieje się coś bardzo niedobrego. A ona nie mówi mi, co... Nie ufa mi. - Ostatnia uwaga świadczyła wyraźnie o tym, że nie tylko się martwił, ale było mu również przykro.

- Rob, ona cię kocha bardziej niż...

- Porozmawiasz z nią? - przerwał jej. - Może tobie powie? - Oczy mu się zaszklily, spróbował wziąć się w garść. - Tracę ją, Jill, i nie mam pojęcia, co jest powodem.

„Tracę ją... tracę ją... tracę ją...”

Te słowa wciąż rozbrzmiewały w głowie Jill po wyjściu Roba. Spróbowała złapać Mary telefonicznie. Dzwoniła co dziesięć minut, niestety, bez skutku. Jej niepokój wzrastał coraz bardziej. Co się dzieje? I gdzie, u licha, podziewa się Mary?

Mary była w Ogrodzie Miejskim. Nigdy w życiu nie popadła jeszcze w taką panikę, jak w tej chwili. Miała pod-

rzucić paczkę o czwartej, tymczasem minęło już wpół do szóstej, a drewnianą ławkę pod pochyłym wiązem wciąż okupowali przedstawiciele nieprzystosowanej młodzieży bostońskiej z kolorowymi fryzurami w stylu punk, w czarnych skórzanych kurtkach, tak obcisłych, że musiały chyba hamować krwiobieg. W uchu jednej z młodych kobiet tkwiła agrafka, siedzący zaś obok niej młodzieniec miał na muskularnym ramieniu tatuaż, sugerujący jego seksualny stosunek do świata. Nastawili radio na cały regulator, aż bratkom i tulipanom opadły od hałasu główki.

Dwie rzeczy były dla niej oczywiste: że młodzi ludzie nie mają na razie zamiaru się stąd wynieść, a ona nie może zostawić pieniędzy, póki tu są. W dodatku, chociaż starała się zachowywać dyskretnie, zaczęli przyglądać jej się podejrzliwie. A może nawet złośliwie.

Czy on kręcił się w pobliżu? Czy widział, że ma problem? A może myśli, że po prostu nie wykonała jego polecenia?

- Hej, ty! - zawołał chłopak z tatuażem.

- No co, mamuśka, może przyłączysz się do nas? - huknął drugi i ruszył ku niej, robiąc nieprzyzwoity gest. Reszta bandy wybuchnęła rechetliwym śmiechem.

Przerażona, zaczęła uciekać, tuląc torbę do piersi, biegła, biegła, nie zatrzymując się, z trudem chwytając oddech. Uciekała od ohydy w parku, od ohydy świata, modląc się, by zadzwonił jeszcze raz, by miała szansę wytłumaczyć mu, że to nie jej wina!

- Czemu nie spróbujesz zadzwonić do niej jeszcze raz?

Burke zadał to pytanie w piątek wieczorem, stojąc pośrodku kuchni Jill. Gdy wpadł po nią do jej gabinetu o piątej, zaskoczyła go jej przygnębiona mina. Natychmiast chciał się dowiedzieć, co ją martwi. Opowiedziała mu o wizycie Roba i o dziwnym zachowaniu Mary w ciągu minionych kilku tygodni. Przyjęła za pewnik, że Burke

będzie dzielił z nią jej zmartwienie, podobnie jak rozumiało się samo przez się, że zjedzą razem kolację.

- Która godzina? - spytała. Dżinsy zastąpiły suknię, którą miała w pracy, okulary - soczewki kontaktowe. Nic jednak nie zastąpiło niepokoju w jej oczach.

- Za piętnaście siódma.

- Gdzież, u diabła, ona się podziewa? - Niepokój Jill zaczynał przeradzać się w gniew. Zdjęła niecierpliwie słuchawkę z widełek i wybrała numer. Oparła się o ścianę. Mimo iż głowę miała zaprzątniętą niewesołymi myślami, zauważyła, jak wspaniale Burke wygląda w dopasowanych dżinsach. Po pracy pojechali szybko do jego mieszkania, żeby mógł się przebrać. Potem kupili dania na wynos w chińskiej restauracji. Była to propozycja Burke'a - w ten sposób Jill miała pod ręką telefon. Jego delikatność wzruszyła ją i spotęgowała jej uczucia do niego. Jednocześnie mówiła sobie, że prawdopodobnie jest idiotką.

- Zjesz jeszcze trochę? - spytał Burke, sprzątając kartonowe opakowania z resztkami krokietów i ryżu z krewetkami.

Jill pokręciła przecząco głową, przygotowując się duchowo na to, że nikt nie podniesie słuchawki, tymczasem po pierwszym sygnale usłyszała zdyszany głos Mary.

- Słucham? - To jedno słowo było nabrzmiałe nerwowym oczekiwaniem.

- Mary? - spytała Jill z ogromną ulgą.

Cisza. A po chwili pełne rozczarowania:

- Jill?

Podniecona Jill nie zwróciła uwagi na wyraźny zawód w głosie Mary.

- Gdzie byłaś? - spytała zrzędlwym tonem. - Próbuję się do ciebie dodzwonić od kilku godzin.

- Ja... musiałam coś załatwić po szkole.

Jill czekała na bliższe wyjaśnienia. Kiedy stało się jasne, że Mary nie ma zamiaru nic powiedzieć, spytała wprost:

- Dobrze się czujesz?

- Oczywiście, że tak - odpowiedziała szybko Mary. Zbyt szybko. - Dlaczego sądzisz, że coś mi dolega?

Jill pomyślała, że mogłaby jej podać dziesiątki powodów. Wybrała jednak pierwszą odpowiedź, która jej przyszła do głowy. Była zresztą na tyle prosta i szczerą, że pasowała do jej osobowości.

- Rob wpadł dzisiaj do mnie do pracy. Martwi się o ciebie.

Gdyby przewody telefoniczne przenosiły lodowate wibracje, Jill miałaby z pewnością odmrożone ucho.

- Co zrobił?

- Wpadł do mnie do pracy. Mary, on odchodzi od zmysłów ze zmartwienia. Sądzi, że coś cię gryzie. - Nie uważała za stosowne dodać, że sama ma podobne podejrzenia.

- Ja... ja... - zaśmiała się Mary nerwowo. - To bzdura. Nic mnie nie gryzie. Wiesz, że zawsze ostatnie tygodnie szkoły są zwariowane, a ja w dodatku planuję ślub, na miłość boską. Najlepiej, żebyście oboje przestali... - W głosie Mary dawało się wyczuć zupełnie dla niej nietypowe rozdrażnienie. Opanowała je siłą woli i dodała: - Nic złego się nie dzieje. Co jeszcze mam ci powiedzieć?

Chcę, żebyś mi opowiedziała o dwóch tysiącach dolarów, które pożyczyłaś od Roba, pomyślała Jill, ale postanowiła zaczekać, aż spotka się z Mary twarzą w twarz. Pocieszała się, że dzieli ją od tej rozmowy tylko jedna noc.

- O której mam po ciebie przyjechać jutro rano? - spytała, udając bez troskę.

- Przyjechać po mnie?

- Tak. Przecież mamy wybrać suknię ślubną. Nie mów, że zapomniałaś?

Najwyraźniej jednak tak było. Świadczyło o tym wymownie milczenie po drugiej stronie kabla telefonicznego. Jill poczuła, że żołądek ścisną jej się ze zdenerwowania.

- Ach... rzeczywiście, Jill, nie mogę. Nie jutro.

Jill ledwie mogła oddychać.

- Dlaczego?

- Ach... Rob i ja jedziemy do Berkshires na weekend - odpowiedziała niemal bez namysłu Mary. - Uważa, że powinnam trochę się oderwać od wszystkiego. Prawdę mówiąc, wyjeżdżamy za chwilę.

Pierwszą myślą Jill było, że odpowiedź była zbyt szybka i wprost jak na zamówienie, przypomniała sobie jednak zatroskanie Roba. Wydawało się bardzo prawdopodobne, że namówił Mary do wyjazdu na weekend. Jest przecież taki opiekuńczy. Czemu jednak nie wspomniał o tym, gdy był u niej po południu? Może zaproponował to narzeczonej pod wpływem chwili? Tak, to ma sens. Niezły sposób na to, by skłonić Mary do otwarcia się przed nim. Pewnie o to właśnie mu chodziło.

- Mam nadzieję, że będziecie się dobrze bawić.

- Tak. Chyba za ciężko ostatnio pracowałam.
- Wracacie w niedzielę?
- Tak. Najprawdopodobniej bardzo późno.
- Wobec tego pogadamy w poniedziałek, dobrze?
- Zgoda. - Przedłużające się milczenie. - Posłuchaj, muszę już lecieć - dodała Mary, starając się, by Jill nie zauważyła, jak bardzo pragnie skończyć rozmowę.
- No to świetnie. - Znow zapadło milczenie. Po chwili, wciąż niespokojna Jill spytała: - Mary, czy na pewno wszystko w porządku?
- Ależ tak... w najlepszym.
- Przysięgasz?
- Przysięgam - odpowiedziała bez chwili wahania Mary. Obie kobiety odłożyły słuchawki, ale nie zdejmowały z nich dłoni. Słowo „przysięgam” rozbrzmiewało echem w ich głowach.

Powoli, niczym pierwsze zwiastuny trzęsienia ziemi, rozedrgały się palce Mary. Odstawiwszy telefon, przycisnęła je do ust. Kłamliwych ust. Nigdy przedtem nie skłamała bezpośrednio Jill. Jej poprzednie kłamstwa polegały wyłącznie na niedopowiedzeniach, to zaś było celowym przekręceniem prawdy. I przyszło jej tak łatwo. Tak łatwo popełniła krzywoprzysięstwo, skłamała, że spędza ten weekend z Robem w Berkshires.

Roześmiała się histerycznie. Co gorsze, zamierza skłamać ponownie - tym razem Robowi, że spędzi weekend z Jill. Jej przyszły mąż wkrótce zadzwoni, a gdy to uczyni, ona skłamie po raz drugi. Bez oporów. Nie może mieć

świadców. Musi czekać przy telefonie dopóki nie zadzwoni szantażysta. Musi go przekonać, że próbowała dostarczyć pieniądze. Jill nie może poznać jej tajemnicy.

- Co powiedziała?

Jill powoli wypuściła z ręki słuchawkę i popatrzyła w zielone oczy Burke'a.

- Że musiała załatwić coś po szkole. Zapewniała mnie, że wszystko w porządku. Nawet przysięgła.

- Wierzysz jej?

Jill zastanowiła się, po czym odrzekła, odgarniając pasmo włosów z czoła:

- Nigdy przedtem mnie nie oszukała.

- Wobec tego może i teraz powinnaś jej wierzyć?
- Było to raczej pytanie niż stwierdzenie.

Jill wzruszyła ramionami i w końcu uśmiechnęła się.

- Jest w tym jakaś logika. - Spoważniała znowu. - Nie wiem, Burke. Od kilku tygodni przypomina mi to jazdę na karkołomnej kolejce w lunaparku. Raz mi się wydaje, że wszystko jest w porządku, za chwilę... - Westchnęła przygnębiona. - Pozostaje w dalszym ciągu kwestia pieniędzy. Na co pożyczyła dwa tysiące?

- Może, mówię: „może” - powiedział Burke - również istnieje na to jakieś logiczne wytłumaczenie. Może rzeczywiście ta pożyczka wiąże się ze szkołą.

- Ale ona nie ma zwyczaju pożyczania. Nigdy. Niczego. A z pewnością nie tak dużych sum pieniędzy.

- Przecież nie zwróciła się o pożyczkę do kogoś obcego. Za kilka tygodni zostanie żoną tego mężczyzny. Co

nasuwa mi kolejne przypuszczenie. - Burke podszedł bliżej i odgarnął to samo niesforne pasmo rudawozłotych włosów, z którym Jill walczyła już poprzednio. - Może vibracje, które odbieracie oboje z Robem, są po prostu wynikiem zdenerwowania bliskim ślubem? Ile ona ma lat?

Dotyk jego ciepłej dłoni wywołał trzepotliwe sensacje w jej ciele.

- Pięćdziesiąt - odpowiedziała, chwytając powietrze.

- W tym wieku nie wstępuje się w związek małżeński tak sobie lekko. Może jest po prostu trochę przestraszona.

- Owszem, to możliwe. Też mi to przyszło do głowy - zgodziła się Jill, po czym dodała: - Wybierają się razem z Robem do Berkshires na weekend. - Wpatrywała się w usta Burke'a, jak gdyby były najbardziej fascynującą rzeczą pod słońcem. Nieświadomie rozchyliła wargi. Oczy mężczyzny pociemniały na to nie wypowiedziane zaproszenie.

- Świetny pomysł. Będą mogli porozmawiać o wszystkim w intymnej atmosferze.

- Intymnej - powtórzyła Jill.

Dla obojga to słowo zabrzmiało nagle bardzo... intymnie. A pocałunek w porze lunchu wydawał się taki odległy.

- Z pewnością nie dzieje się nic takiego, czego Rob nie mógłby naprawić za pomocą kilku uspokajających słów - mówił Burke coraz cichszym głosem, czując, że jego ciało zaczyna domagać się swoich praw.

- Chyba masz rację - przyznała Jill, poddając się nastrojowi.

- Kilka pieśczoł... - pogładził jej policzek.

- Kilka pieszczot... - powtórzyła, ocierając się jak kotka o jego dłoń.

- ..kilka pocałunków... - Palec Burke'a zsunął się na jej dolną wargę.

- ...kilka pocałunków...

- ...i prawdopodobnie dotrze do sedna problemu...
- szepnął.

- ...i prawdopodobnie dotrze do sedna problemu...
- znów powtórzyła jak echo Jill.

- Nie ma co się martwić, dopóki się nie dowiesz, że naprawdę masz powód.

- Nie... dopóki...

Jill zamknęła oczy i z westchnieniem przytuliła się do ciepłego ciała Burke'a, przytrzymując się jego paska. Robiło jej się słabo, dały o sobie znać przeżycia całego dnia, niepokój, pożądanie...

Burke otoczył ją silnymi ramionami, jak gdyby chciał ochronić ją przed wszystkimi kłopotami.

- Nie zostawiaj mnie - szepnęła rozpaczliwie. Dziś wieczorem, jutro wieczorem, nigdy, błagała bezgłośnie.

- Nie - zapewnił ją cicho.

Jill nie miała pojęcia, co jej obiecuje. I było jej wszystko jedno. W tej chwili znajdowała się w jego ramionach. W tej chwili bliskość Burke'a przyćmiewała wszystko inne, nawet niepokój o Mary. W tej chwili była przepełniona bezbrzeżną miłością do niego.

- ...Och, Burke...

- Czy jest ci tak dobrze jak...

- Tak! Tak!
- Na pewno nie zrobię ci krzywdy?
- Na pewno, nie jestem przecież ze szkła.
- Ale przygniatam cię tak mocno.
- Nie, nic mi nie będzie.
- Marzyłem o tej chwili przez cały... och, tak, właśnie tak...
- Tak?
- Tak! Och, tak... och...och...Jill!
- Burke!

- Masz najseksowniejsze plecy pod słońcem.
- Naprawdę?
- Tak. Przypomnij mi, żebym ci opowiedział, jak kiedyś omal nie doprowadziły mnie do szału.
- Skoro już mówimy o doprowadzaniu kogoś do szału, to co robisz?
- Czy możesz leżeć spokojnie?
- Ale co robisz?
- Całuję każdy pieg po kolei... i każdy, każdy, każdy krąg w twoim kręgosłupie... i...
- To nie jest kręgosłup. Nawet nie plecy.
- Czy wiesz, że masz dołek nad pośladkami?
- Nie wiedziałam, dopóki twój język... Co robisz?
- Odwracam cię... i całuję twój brzuszec... Czy wiesz, że masz dołek w brzuszku?
- To mój pępek, idioto... a twój język łaskocze... Och!
- Och, Jill, smakujesz tak słodko. Jak kwiaty, miód i gwiazdny pył Drogi Mlecznej.

- Burke!
- Spokojnie, kochanie, spokojnie, rozluźnij się.
- Ach... ach... o, tak...

- Zawsze nienawidziłam być małą.
- Dlaczego.
- Bo małe kobiety nie są seksowne.
- Może się załóżysz?
- Czy mógłbyś leżeć spokojnie. Rozpraszasz mnie, a ja próbuję otworzyć przed tobą duszę.
- Co ja poradzę na to, że twoje piersi same proszą, żeby je dotykać?
- Nic nie słyszę.
- Bo zagłuszasz to swoim gadaniem. Możesz mi wierzyć na słowo, że o to proszą. No, więc, słucham, otwieraj duszę.
- No cóż, zawsze miałam piegi...
- Uwielbiam piegi.
- .. i od piątego roku życia noszę okulary.
- Uwielbiam okulary. Przypominają mi Sandi Turner.
- Kto to jest Sandi Turner?
- Była zwyciężczynią konkursu poprawnej pisowni w szóstej klasie. Nosiła grube okulary. Wtedy po raz pierwszy zdałem sobie sprawę, że podnieca mnie inteligencja. A propos, McClain, masz parę pięknych IQ.
- Wariat!
- Na punkcie twoich IQ. Tak się szczęśliwie składa, że mój iloraz inteligencji również nie równa się zeru, co pozwala mi dostrzec prawdziwy sens naszej rozmowy. Pytasz mnie - rzecz jasna, okrężną drogą - czy uważam, że jesteś ładna.

- Nie jestem!

- Owszem, jesteś!

- Nie jestem aż tak niepewną osobą. Nie jestem aż tak spragniona komplementów. Nie jestem... A więc uważasz mnie za ładną? Przestań śmiać się ze mnie.

- Nie śmieję się z ciebie, lecz uśmiecham się pobłaźliwie. Nie, nie uważam cię za ładną.

- Nie?

- Nie. Uważam cię za skończoną piękność. Tu i tu, i tu...

- Mmm... Potrafisz całować.

- Chrząszcz.

- Co takiego?

- Znajomością pisowni tego słowa Sandi podbiła moje serce.

- Założę się, że nie potrafiłbyś poprawnie przeliterować tego słowa.

- N-a-p-a-l-o-n-y?

- Prawie ci się udało.

- Czy zawsze chciałaś zostać prawniczką?

- Tak. Nawet gdy byłam małą dziewczynką. Chyba zostałam tak zaprogramowana. Połknęłam haczyk po obejrzeniu filmu „Perry Mason”. A ty? Czy zawsze chciałeś być prawnikiem?

- Nie. W wieku pięciu lat marzyłem, by zostać strażnikiem. Gdy skończyłem dziesięć, fascynował mnie zawód policjanta. Jako piętnastoletni chłopak pragnąłem być piosenkarzem rockowym i mieć dziewczęta u swych stóp. Ja-

ko szesnastolatek marzyłem tylko o dwóch rzeczach - żeby wreszcie poprawiła mi się cera i żeby mi się udało zaciągnąć do łóżka Chrissie Newcomb.

- I co?

- No cóż, cera mi się poprawiła. Au! Uważaj, noszę perukę na piersi, McClain!

- To uważaj, bo ją możesz stracić, Rawlins! A co z Chrissie Newcomb?

- Zanim cera mi się poprawiła, zaczęła chodzić z Tomem Hendersonem. Łącznikiem w drużynie piłki nożnej. Nie miałem z nim najmniejszych szans.

- Kiedy więc postanowiłeś studiować prawo?

- W college'u, gdy ojciec zagroził, że przystopuje pieniądze, jeśli nie zacznę specjalizować się w czymkolwiek poza dobrą zabawą. Pokochałem jednak prawo, w chwili gdy się na nie zdecydowałem.

- Jesteś dobrym prawnikiem.

- Chcę być jeszcze lepszym.

- Rozumiem to. Ja również.

- Czemu nigdy nie wyszłaś za męża?

- To była dość nagła zmiana tematu, panie mecenasie.

- Nie całkiem. Myślę o tym od dość dawna.

- Sama nie wiem, czemu. Nigdy nie chciałam być sama. Zawsze widziałam siebie w domku na przedmieściu jako szczęśliwą posiadaczkę mikrobusa, psa z oklapłymi uszami oraz kilkorga dzieci, ale nigdy mi nie wyszło. Och, parę razy wyglądało nawet obiecująco, ale... sądzę, że zbyt wiele czasu pochłaniały mi studia prawnicze. Ostatnio czasami...

- Co ostatnio czasami?

- Nie wiem, Burke. Czasami moje życie wydaje mi się takie puste. Zwłaszcza w nocy. Boże, noce są takie długie i... i...

- I masz wrażenie, że wciąga cię ogromna czarna szczelina?

- Tak, właśnie tak. Wpadasz do niej... a nikogo to ani trochę nie obchodzi. Burke?

- Hmm?

- Czy wciąż tak bardzo za nią tęsknisz?

- To zabawne. Jeszcze tydzień temu bez chwili wahania odpowiedziałbym „tak”, ale teraz...

- Ale teraz?

- Teraz czuję, jak czyjaś dłoń wyciąga mnie z tej czarnej szczeliny.

- Burke?

- Uhum?

- Masz włosy na piersi.

- Mój Boże, kiedy to się stało?

- ...i znalazłam chyba określenie, które do nich wyjątkowo pasuje.

- Czy zechcesz uchylić rąbka tajemnicy?

- Zechcę. Chciałoby się je zjeść.

- Co takiego?

- Ellen miała absolutną rację. Cały wyglądasz tak, że chciałoby się cię zjeść... każdy fragment twojego ciała...

- Najwyraźniej brak snu podziałał nie najlepiej na twoje szare komórki.

- Mówiłam ci, że mój mózg wyłącza się o czwartej nad ranem.

- Chcesz spać?

- Nie. A ty?

- Nie.

- Co zatem chciałbyś robić? Przejrzeć zawartość lodówki? Obejrzeć jakiś późny program rozrywkowy? Hej, co ty wyczyniasz?

- Demonstruję ci, co chcę robić. Do licha, McClain, ważysz tyle, co dobry kurczak. Daj tutaj tę nogę, po tej stronie... a teraz drugą tutaj... usiądź na mnie i pozwól przyjrzeć się sobie. Ach, Jill, jesteś taka śliczna!

- Naprawdę?

- Naprawdę.

- To czemu się krzywisz?

- Zbyt mocno cię całowałem. Masz opuchnięte wargi. Nie rób tego. Nie rozchylaj ich w taki sposób albo...

- Albo co?

- Albo będę cię znów musiał pocałować. Do licha, Jill, robisz to celowo.

- Masz rację. Ja... mmm...

- Co mmm?

- Masz takie delikatne wargi.

- A ty piersi. Są takie delikatne i pełne.

- Pocałuj je.

- Chodź tutaj.

- Och... och, Burke... Uwielbiam, kiedy twój język...

- Boże, wystarczy tylko dotknąć twoich sutków, a od razu robią się twarde jak guziczki. Spójrz. Widzisz?

- Tak... och, Burke, to aż boli...
- Zabawne, mnie też. Zsuń się trochę niżej.
- Och, Burke, ja...
- Jill, to co ze mną wyrabiasz, jest po prostu karygodne.
- No to niech mnie pan pociągnie do odpowiedzialności sądowej, panie mecenasie.
- Wolę pociągnąć cię do odpowiedzialności w łóżku.

Jill i Burke obudzili się w samo południe, gdy słońce znajdowało się w zenicie i świeciło najmocniej. Zastanawiali się przez chwilę, czy nie powinni czuć się winni, że wciąż wylegują się w łóżku o tak późnej godzinie, oboje jednak stwierdzili, że mają to w nosie. Pobłazając sobie nader chętnie, zjedli śniadanie w łóżku, przeczytali poranne gazety w łóżku, po czym wzięli prysznic - razem - namydlając się powoli i spłukując jeszcze wolniej. Po prysznicu znaleźli się ponownie w łóżku, wycierając się nawzajem wśród chichotów i przepychanek.

O wpół do czwartej zmusili się do powrotu do świata obowiązków. Ale i wówczas spartaczyli robotę. Choć dokładali wysiłków, żeby skoncentrować się na zadaniach, jakie stały przed nimi oraz ich rękami, gdy układali sprawunki w koszyku, spaliły one na panewce. Gdzieś pomiędzy pastą do podłogi a płynem do polerowania mebli, Burke pochwycił Jill w ramiona i pocałował namiętnie. Później, gdy niósł ich pełne torby do samochodu, pomyślał, że po raz pierwszy od wielu miesięcy zakupy nie przygnębiły go. Wręcz przeciwnie, czuł się ogromnie szczęśliwy.

Gdy już skończyli z zakupami, Jill podrzuciła Burke'a do mieszkania. Plany mieli proste. Jill przyjedzie po niego ponownie o siódmej wieczorem, pójdą razem na kolację, a potem ona spędzi noc u niego. Perspektywa rozstania się na kilka godzin wydawała się wręcz nie do zniesienia.

Jill zrobiła przez ten czas pranie, pomalowała paznokcie i oddała się rozmyślaniom o Mary. Pocieszała się, że Mary jest z Robem. To właśnie było jej siostrze potrzebne, prawda? I na pewno wyjaśnili sobie wszystkie nieporozumienia. Prawda jest taka, pomyślała, sprawdzając opuszką palca czy lakier na jej paznokciach już stwardniał, że nie może nic zrobić w sprawie Mary aż do poniedziałku, niezależnie od tego, czy dzieje się coś złego, czy też wszystko istnieje tylko w jej wyobraźni. Skończywszy z tym tematem, zaczęła myśleć o znacznie przyjemniejszym - o Burke'u.

Jeśli idzie o niego, pozwoliła sobie na ostrożny optymizm. Wiedziała, że dawno już nie był tak szczęśliwy jak ostatnio z nią. Zdawała sobie sprawę, że udało jej się skruszyć wzniesiony przez niego mur, mur z żalu i goryczy, spojony wyrzutami sumienia. Tak bardzo pragnęła powiedzieć mu, że go kocha - ciążyło jej to na sercu - ale jednocześnie bała się tego. Czy ich to zbliży do siebie? A może oddali? Nie potrafiła odpowiedzieć na to pytanie.

Burke też nie potrafił znaleźć odpowiedzi na pytanie, które go nurtowało. Jakim cudem jego życie mogło się tak zmienić w ciągu czterdziestu ośmiu godzin? Trudno było mu to pojąć. Wiedział tylko, że jego serce przepełnione jest euforyczną radością, którą człowiek odczuwa uświadomiwszy sobie, że żyje, podczas gdy zaliczył siebie już do

martwych. Był to rodzaj odkrycia, który wyostrza zmysły. Gdy ubierał się na wieczór, strumień wody z prysznica siekł jego skórę ze zwielokrotnioną siłą, woda kolońska miała intensywniejszy, bogatszy zapach, ubranie podrażniało każdą rozbudzoną na nowo komórkę jego ciała. Życie nagle przestało być namiastką, nabrało barw. Co więcej, poczuł nieoczekiwanie - słyszysz, świecie? - jak dobrze jest żyć.

Zawiązawszy jedwabny krawat, Burke sięgnął po marynarkę. Jego wzrok padł przypadkiem na fotografię, stojącą na nocnej szafce przy łóżku. Podeszedł i wziął fotografię do ręki. Spojrzał w twarz kobiety, która była jego żoną i kochanką. Na jej twarzy zastygł uśmiech wiecznej radości. I zrozumienia?

Burke nie próbował zaszeregować swych uczuć ani też ich kontrolować, a tym bardziej nie zamierzał karać się za nie. Zaakceptował fakt ich istnienia, podobnie jak gór, nocy czy księżycowego światła. Miłość. Wciąż kochał Nicole, ale była ona już tylko mglistym wspomnieniem. Dniem wczorajszym. Nie potrafił tego zmienić. Zwykły śmiertelnik nie posiada takiej mocy. Była jego częścią, jego duszą, jego sercem. Ale nie żyła. Nie mogła zawołać jego imienia, wziąć go za rękę, śnić z nim na jawie. Nie mogła go uratować przed upadkiem w czarną szczelinę. Tylko Jill była w stanie to zrobić. Jill, która stawała się jego częścią, jego duszą, jego sercem. Jill, która była dniem dzisiejszym i jutrem. Nie potrafił tego zmienić, ponieważ nie panował nad tym, co kiełkowało w jego sercu.

Burke przesunął palcami po zimnym szkłe. Poczuł się

wolny. Wreszcie wolny. Wymówiwszy jej imię w czułym pożegnaniu, schował fotografię Nicole Lynch Rawlins do pustej szuflady. Razem ze złotą obrączką. Nie oglądając się, podniósł marynarkę, zgasił światło i wyszedł z pokoju... pozostawiając za sobą przeszłość.

Włoska restauracja „Charles” przy Chestnut Street była małym przytulnym zakątkiem. Przycupnięta pośród wysokich domów, z frontowymi wykuszowymi oknami, miała brązowo-białą markizę, ocieniającą wejście, niczym gigantyczny motyl. Wewnątrz, pomalowane na brązowo ściany były ozdobione białymi kratami oraz kandelabrami, rozświetlającymi złociste światło.

Przy stoliku w głębi sali siedział Burke, zapatrzony z zachwytem w kobietę zajmującą miejsce naprzeciwko niego. Oboje skończyli właśnie wystawną kolację, złożoną z kurczęcia w sosie pieczarkowym i lodów na deser.

- Pierś kurczęcia była wyśmienita - powiedziała Jill, podpierając brodę pięściami.

- Tak - zgodził się Burke, chłonąc wzrokiem loki wymykające się z węzła upiętego na czubku głowy. Chociaż Jill było ogromnie do twarzy w takiej fryzurze, Burke marzył o tym, by wyjąć z niej szpilki i pozwolić opaść swobodnie masie rudawozłotych puszystych włosów, zanurzyć w nich palce, patrzeć, jak otulają jej ciało, wdychać ich podniecający zapach.

- Wino było doskonałe - dodała Jill.

- Tak - potwierdził Burke, tonąc wzrokiem w jej przepastnych błękitnych oczach.

- Spumoni - palce lizać.

- Tak. - Oczy Burke'a spoczęły na jej delikatnych wargach, umalowanych brązową szminką, następnie na brzo-skwiniowej skórze. Jill włożyła na ten wieczór włóczkowy sweter w kolorze kości słoniowej. Jej szyję zdobił złoty naszyjnik z turkusami, w uszach miała identyczne kolczyki.

- Trójgłowy zielony potwór siedzi na twoim ramieniu.

- Tak - powiedział Burke, błędząc spojrzeniem po kuszącym zarysie jej piersi.

- Nie słuchasz tego, co mówię - uśmiechnęła się Jill.

Wargi Burke'a również rozciągnęły się w leniwym uśmiechu.

- Owszem, słucham. Trójgłowy zielony potwór siedzi na moim ramieniu. - Nie czekając na jej reakcję, dodał:

- Czy już ci mówiłem dzisiejszego wieczora, jaka jesteś piękna?

- Dwa razy w samochodzie, raz, gdy wchodziliśmy do restauracji i raz - a może dwa? - podczas kolacji. Ale nie mam nic przeciwko temu, żeby usłyszeć to jeszcze raz.

- Jaka łasa na komplementy.

- Nienasycona.

- Jesteś... - wyciągnął rękę, muskając pieszczotliwie jej policzek - .. cudownie piękna. Nieopisanie.

Przytuliła jego dłoń mocniej do policzka. Przez długą chwilę po prostu wpatrywali się w siebie bez słowa. Pomiedzy nimi zdawały się przepływać wyładowania elektryczne.

- Czy wiesz, jakie katusze w tej chwili cierpię? Jakie

ograniczenia sobie narzucam? - szepnął, odwracając jej dłoń i splatając z nią palce.

- Jeśli o mnie idzie, nie musisz tego robić - droczyła się z nim cichym, kusicielskim głosem.

- Och, muszę. Nie mógłbym zrobić z tobą tutaj tego, na co mam ochotę. Wylądowałbym za to w więzieniu.

- A na co masz ochotę? - podjęła grę.

- Igrasz z ogniem, McClain - ostrzegł ją.

- Trochę żaru nigdy nie zaszkodzi.

- A co powiedziałaabyś na dużą ilość żaru?

- A co powiedziałaabyś na to, żeby spłonąć razem na popiół?

Pochylając głowę, Burke powiedział jej cicho, co miałby ochotę zrobić - szczerze, bez ogródek i ze wszystkimi szczegółami. Obecność wielu ludzi na sali w osobliwy sposób potęgowała intymność całej sytuacji.

Oboje poczuli natychmiastową reakcję swoich ciał.

- Masz rację - powiedziała Jill, oddychając z trudem - jak nic spędziłyś za to upojną noc za kratkami.

- Czy wyciągnęłabyś mnie stamtąd?

- Może - odpowiedziała, rysując wolną ręką małe kółka na dłoni, która więziła jej dłoń. - Pod warunkiem, że obiecałabyś mi zrobić to wszystko jeszcze raz.

Nagle cały świat powoli odpłynął. Zostali tylko oni - roznamietnieni, spragnieni samotności we dwoje. Burke przełknął z trudem ślinę. Jill rozchyliła prowokacyjnie wargi, wzdychając cicho.

- Chodźmy już - wyszeptał nagląco.

Płacenie rachunku było torturą, czekanie aż portier pod-

stawi samochód - karą, której ani Burke, ani Jill nie chcieli przedłużyć. Zaczął siać drobny deszczyk, krople stukotały o markizę.

Ręka Burke'a, którą obejmował Jill w talii, paliła... paliła... paliła. We wzroku obojga płonęło pożądanie, ocierały się o siebie biodrami.

- Burke... - szepnęła Jill.

Ze zmysłowym pomrukiem przyciągnął ją niecierpliwie do siebie i pocałował. Przyłgął wargami do jej ust, badając językiem ich smak, gdy nagle...

- Burke?

Oderwał się od niej i podniósł głowę, napotykając spojrzenie szarych oczu mężczyzny, który wymówił jego imię, a następnie ciemnych oczu stojącej obok niego kobiety.

- Frank... Marlene... - w tonie Burke'a brzmiało zaskoczenie.

Kobieta powoli, taktownie przeniosła wzrok na Jill, która wciąż znajdowała się częściowo w objęciach Burke'a. To samo uczynił mężczyzna. Oczy obojga były zamglone bólem. W szarych wyraźnie można było wyczytać potępienie. Burke instynktownie zdjął rękę z talii Jill, zostawiając ją z uczuciem nagłego strachu. Przez długą chwilę panowało niezręczne milczenie.

- Przepraszam - powiedział Burke, przychodząc wreszcie do siebie. - Chciałbym przedstawić wam Jill McClain. Jill, poznaj Marlene oraz Franka Lynchów. - Po chwili wahania dodał: - To rodzice Nicole.

Wiedziała.

W niewytłumaczalny sposób Jill wiedziała od pierwszej chwili, że starsi państwo są teściami Burke'a. Może dlatego, że ciemne oczy kobiety, patrzące na nich łagodnie, smutno, były dokładną repliką oczu, które widziała na fotografii w mieszkaniu Burke'a. Może sprawiła to dezaprobatą w szarych oczach. Może sposób, w jaki Burke zabrał

rękę z jej talii - jak gdyby został przyłapany w kompromitującej sytuacji. Cokolwiek to było - wiedziała.

Podobnie jak zdawała sobie sprawę, że musi jakoś zareagować.

- Miło mi państwa poznać - powiedziała, skinąwszy głową, modląc się, by jej słowa nie zabrzmiały dla nich tak oziębłe jak dla niej. Pragnęła też wytrzeć zdradziecką wilgoć, którą pozostawiły wargi Burke'a na jej ustach. Chętnie natomiast poszukałaby schronienia w jego opiekuńczych ramionach.

W odpowiedzi, Frank i Marlene Lynch, jako ludzie dobrze wychowani, wymamrotali jakieś zdawkowe pozdrowienia. Marlene zdobyła się nawet na wymuszony, nie szczery uśmiech.

- Jill i ja... pracujemy razem - powiedział Burke.

I robicie razem znacznie więcej rzeczy, oskarżało milczenie, które zapadło po tym oświadczeniu.

Burke patrzył na swych teściów, Lynchowie patrzyli na swego zięcia oraz na kobietę, która zajęła miejsce ich córki, Jill - na Burke'a. Zęby miał zaciśnięte, w policzku nerwowo drgał mu mięsień. Nie patrzył na nią. Nie wiedziała, czy celowo unika jej wzroku, czy to przypadek.

Dziwne, ale to Marlene Lynch spróbowała ratować sytuację.

-. Widziałam pani zdjęcie w gazecie - zwróciła się do Jill. - Prowadziliście razem z Burke'em sprawę Strokerów.

- Tak - odrzekła Jill, czując, że kobieta usiłuje zachować się taktownie, mimo że serce jej krwawi. Jill poczuła dla niej ogromne współczucie, a jednocześnie ogarnęły ją

wyrzuty sumienia, choć logika podpowiadała, że absolutnie nie powinna ich odczuwać. Zrozumiała w tej chwili irracjonalne poczucie winy, które paraliżowało Burke'a przez tyle miesięcy.

- Moje gratulacje - powiedziała Marlene Lynch.

Jill próbowała skoncentrować się na rozmowie. Pochwyciwszy ostatnie słowo, zrozumiała, że starsza pani nawiązuje jeszcze raz do procesu.

- Dziękuję - odpowiedziała.

Znów zapadło przytłaczające milczenie. Obaj mężczyźni mierzyli się wzrokiem. Choć w szarych oczach Franka Lyncha wyraźnie przebijała dezaprobata, odezwał się w końcu głosem pełnym urazy:

- Dobrze wyglądasz.

- I dobrze się czuję - odrzekł Burke. - A co słyhać u was?

- Lepiej nie mówić.

- Chyba powinniśmy już pójść - przerwała Marlene Lynch, ujmując męża pod ramię. - Mamy rezerwację na dziewiątą. - Rzuciła mu błagalne spojrzenie.

I ponownie cierpkie, wymowne milczenie. Chwila, w której przed ludźmi zdaje się otwierać emocjonalna przepaść.

- Tak - przemówił wreszcie Frank Lynch. - Do widzenia, Burke.

Nie spojrział więcej na Jill. Marlene natomiast uśmiechnęła się do niej i do Burke'a z zakłopotaniem. Dotknąwszy przelotnie ramienia Burke'a, powiedziała cicho:

- Nie zapominaj o nas.

Po czym zniknęli we wnętrzu restauracji.

Noc stała się nagle ciemniejsza. Zaczął padać silniejszy deszcz. Samochód czekał już przy krawężniku, ale zarówno Burke, jak i Jill wciąż stali w miejscu, jak gdyby byli zbyt zmęczeni, by wykonać najmniejszy ruch. Wreszcie Burke westchnął ciężko. Jill odwróciła się do niego, pragnąc, by ją pocieszył, uspokoił, zapewnił, że wszystko jest w porządku, mimo że świat wywinał kozła, pragnąc od wzajemnić się tym samym. Spojrzała mu w oczy i serce w niej zamarło na widok malującego się w nich gniewu. Przejmującego chłodem gniewu.

- Burke... - szepnęła zmieszana. Ogarnęło ją nagle uczucie, jak gdyby porzucono ją samą na bezludnej wyspie. Wyciągnęła rękę i dotknęła go lekko. Odwrócił się gwałtownie, strącając jej dłoń. - Wynośmy się stąd do diabła - burknął i ruszył w stronę samochodu.

Jill miała wrażenie, że serce jej pęknie.

W drodze powrotnej do mieszkania Burke'a ciszę zakłócał wyłącznie szum wycieraczek. Jill przemierzała samochodem ulice Bostonu, tymczasem Burke zdawał się błąkać po ulicach piekła. Ze wzrokiem wlepionym przed siebie, nie spojrzał na nią ani razu, wyglądał na kogoś kompletnie zagubionego. Co zresztą mogła dokładnie powiedzieć o sobie.

Chciało jej się krzyknąć: „Dlaczego?”. Dlaczego musieli wpaść właśnie teraz na rodziców Nicole? Dlaczego musiały otworzyć się dopiero niedawno zabliznione rany? Dlaczego musiało obudzić się w nim znów poczucie winy? Z paranoi-czną jasnością kochanki przyjęła za pewnik, że gniew Burke'a jest skierowany przeciwko niej, a prawdopodobnie tak-

że przeciw sobie. Był to rodzaj gniewu, który towarzyszy urazie i pretensji. O mój Boże, pomyślała, przypominając sobie, jak zabrał rękę, którą obejmował ją w talii, jak unikał jej wzroku, jej dotknięcia. Żałował wszystkiego!

W dalszym ciągu nie odezwali się do siebie ani słowem, gdy parkowała samochód na tyłach domu, w którym mieszkał, gdy jechali na czwarte piętro windą, gdy otwierał drzwi. Gdy znaleźli się w mieszkaniu, poszedł prosto do kuchni i nalał sobie bourbona z lodem.

- Rozgość się - mruknął, zrzucając marynarkę, rozluźniając krawat i rozpinając kilka guzików koszuli. Podszedł do drzwi balkonowych, otworzył je i wyszedł w deszczową noc. Występ nad balkonem osłaniał go przed deszczem, mokra była tylko balustrada z kutego żelaza. Burke zbliżył się do niej i zapatrzył w ciemność. Podniósł szklankę z drinkiem do ust.

Jill przyglądała mu się z salonu, oświetlonego jedną lampą. W cieniu ramiona Burke'a wydawały jej się potężne jak góra, zdawały się izolować go od niej. Gdy tak na niego patrzyła, miała uczucie, że wyrasta pomiędzy nimi mur. Odgradzał się od niej. Znowu zamykał się w sobie. Uciekał od niej.

Ze zdenerwowania żołądek podszedł jej do gardła. Następną reakcją był wściekły gniew. Jak śmiał tak łatwo zdyskredytować to, co razem przeżyli!

Burke odwrócił się, słysząc kroki Jill. Stali naprzeciwko siebie, bezskutecznie próbując dojrzeć w ciemności swoje oczy.

Serce omal nie wyskoczyło Jill z piersi. Burke poczuł

przyplw tak ogromnej czułości, że musiał wesprzeć się o balustradę.

- Jill, tak mi przyk... - wymówił zdławionym głosem.

- Nie - przerwała mu ostro. - Nie pozwolę ci tego powiedzieć.

Burke popatrzył na nią zmrużonymi oczyma.

- Nie pozwolę ci powiedzieć, że wszystko skończone. Nie pozwolę ci powiedzieć, iż żałujesz tego, co zaszło między nami. - Nieświadomie postąpiła krok naprzód. Również bez udziału świadomości zaczęła jej drzeć dolna warga. - Powiedziałam ci kiedyś, że nie wyzwolę cię od Nicole. Teraz zmieniałam zdanie. Będę o ciebie walczyła z nią, z jej rodzicami, z tobą... - Głos jej się załamał. - Zadrę nawet z samym diabłem, ale nie... - Wielkie łzy stoczyły się po jej policzkach. - Nie pozwolę... ci odejść.

Oczy jej płonęły. Burke stracił głos ze zdumienia.

Wreszcie odstawił nie dokończonego drinka na szklanym blacie stolika i podszedł bliżej do Jill. Przyciągnął ją szorstko do siebie. Przy tym ruchu włosy wysunęły jej się z jednej strony z węzła na czubku głowy i opadły na ucho.

- Skąd, u diabła - powiedział, przytulając ją mocno - przyszło ci do głowy, że mam zamiar odejść?

- Jesteś na mnie zły - szepnęła, kuląc ramiona. Jej ciepły oddech przenikał przez koszulę i ogrzewał mu pierś, jej łzy zmoczyły materiał na wylot.

Burke'owi ponownie odebrało mowę. To, co mówiła, nie miało sensu. Nie miało sensu, jeżeli... Odsunął ją na taką odległość, by widzieć jej zalaną łzami twarz, i powiedział:

- Tak, jestem zły, tyle że nie na ciebie. Ach, Jill - dodał

głosem szorstkim jak papier ścierny. - Jestem wściekły na siebie.

- Za to, że się ze mną związałeś?

- Nie, na miłość boską, nie! Tak właśnie myślałaś?

Nie musiała nic mówić. Odpowiedź była wypisana na jej twarzy, w jej wilgotnych od łez oczach, smugach tuszu na policzkach, w drżącym milczeniu, które nastąpiło po jego pytaniu. Przyciągnął ją z powrotem, niemal dusząc w uścisku, co spowodowało uwolnienie kolejnego pasma puszystych włosów.

- Jak na tak bystrą damę, wyciągnęłaś naprawdę idiotyczne wnioski.

Objęła ramionami jego muskularne plecy.

- Myślałam... myślałam... że chcesz mnie zostawić - dodała żalnym tonem.

- Nie zasługuję na to, żebyś mnie dotknęła.

- Nie jesteś na mnie zły?

- Nie! Nie!

Jej oczy znów wypełniły się łzami. Tym razem radości i ulgi. Typowymi babskimi łzami, z których kobieta nie musi się tłumaczyć, ponieważ przystoją jej po prostu dlatego, że jest kobietą.

Burke nie żądał żadnych wyjaśnień, po prostu wziął ją na ręce i zaniósł na kanapę. Delikatnie położył ją na niej i wyciągnął się obok, tuląc w ramionach jej drobne ciało.

Był ciepły, jego ramiona stanowiły bezpieczną przystań wśród ciemności nocy, należał do niej.

Była ciepła, rozkosznie kobieca i cała jego wśród ciemności nocy.

- Och, Jill - wyszeptał jej do ucha. - Tak mi przykro z powodu tego wieczoru. Przepraszam, że musiałaś przejść przez to wszystko z rodzicami Nicole. - W jego głosie brzmiało zakłopotanie. - Przepraszam, że cię zdradziłem.

Odwróciła głowę tak, że jej twarz znalazła się na wprost jego twarzy. Ich nosy się pocierały, usta prawie stykały, oddechy mieszały.

- Zdradziłeś mnie? Nie rozu...

- A jak inaczej nazwać to, co zrobiłem? -przerwał jej z rozdrażnieniem. - Poświęciłem cię na ołtarzu rodziców Nicole. - Zacisnął szczęki, mięśnie całego ciała miał bolesnie napięte. - Czemu nie powiedziałem Frankowi, żeby wyniósł się do diabła ze swoim potępieniem?

- Ponieważ jesteś wrażliwym facetem i zdawałeś sobie sprawę, że cierpi. - Jill rozmasowała napięte mięśnie karku Burke'a.

- Ale powinienem był cię bronić. Powinienem był powiedzieć im, że jesteś jedyną dobrą rzeczą, jaka przytrafiła mi się od bardzo dawna... O Boże! - powiedział z westchnieniem - dlaczego nigdy nie mówimy tego, co powinniśmy, a potem tego żałujemy?

- Ponieważ jesteśmy ludźmi.

Westchnął znów, wspierając głowę o czoło Jill.

- To było okropnie głupie, Jill, ale poczułem się nagle winny, że zastali mnie trzymającego kobietę w ramionach. Nienawidziłem się za to, ale nawet wówczas ręce same mi opadły, puściłem cię. - Jak gdyby chciał nadrobić ten fakt, przytulił ją jeszcze mocniej.

- Wiem, Burke. Ja też się czułam winna.

- Naprawdę? - spytał, spoglądając jej w twarz.

- Tak - odpowiedziała z czułym uśmiechem. - Chyba zbyt długo przebywałam w twoim towarzystwie.

- Mam nadzieję, że nie - rzekł ze śmiertelnie poważną miną. - Och, Jill, przepraszam, jeśli sprawili ci przykrość. Przepraszam, jeśli ja sprawiłem ci przykrość.

- Możesz mi sprawić przykrość jedynie wtedy, gdy będziesz żałował...

- Nie - powiedział, osuszając dłonią ostatnie łzy na jej twarzy. - Nigdy. I nie musisz walczyć z nikim o mnie.

Powoli, pieszczotliwie, zmysłowo gładził jej jędrny policzek. Jill zamknęła oczy i poddała się całkowicie tej pieśczości, rozkoszując się dotykiem Burke'a i poczuciem przynależności do niego.

- Och, Jill - szepnął, wodząc ustami po jej uchu, skroni, policzku. Przechylił jej delikatnie głowę i przywarł łapczywie do jej warg.

Jego usta były słodkie jak cukierek i gorące jak ogień. Pod wpływem ich dotyku poczuła, jak prężą się jej piersi, a całe ciało drży z oczekiwania. Burke wyczuł jej reakcję i sięgnął po więcej.

Wokół nich śpiewała noc. O ciemności. O deszczu. O kobiecie i mężczyźnie, odprawiających odwieczny rytuał.

- Kocham cię - szepnęła Jill, przesuwając dłońmi po jego nagim ciele.

- Wiem o tym - odpowiedział cicho. - Wiem. I to jest moim ratunkiem.

Nie powiedział, że ją kocha, choć tak rozpaczliwie pragnęła to usłyszeć. Mimo to wyczuwała jego miłość. Mówił

jej o niej jego dotyk, sposób, w jaki się z nią kochał. Słyszała ją w jego głosie, gdy wykrzyknął jej imię w ciemną deszczową noc.

Gdy Jill i Burke odprawiali święty rytuał miłości, Lenney Larimer odprawiał bluźnierczy rytuał nienawiści. Siedział przy telefonie wpatrując się w swoje pamiętki - list, który czytał tysiące razy, nekrolog, który czytał tysiące tysięcy razy. Palce muskały czarną powierzchnię słuchawki nieprzyzwoitą pieśczęcią. Uśmiech wykrzywił jego wąskie wargi.

Kazał czekać Mary McClain. Kazał jej przeżywać katusze. Widział, co się zdarzyło w piątek w parku i zdawał sobie sprawę, w jakim napięciu musi czekać na jego telefon. Zadzwoi do niej... o tak, zadzwoni... ale zrobi to, kiedy sam zechce. Przynajmniej raz Leonard Larimer ma decydujący głos. Przynajmniej raz...

Podniósł gwałtownie głowę na dźwięk swego imienia. Oczy zaczęły nerwowo przeszukiwać pokój. To był głos jego matki.

„Leonardzie Larimerze, czy ty nie masz sumienia?”

- Nie! - szepnął rozpaczliwie, protestując przeciwko głosom, które dokonywały inwazji na jego głowę. Sposób, w jaki to ostatnio robiły sprawiał, że jego serce zaczynało walić jak młotem, a klatkę piersiową przygniatał straszliwy ciężar. Brakowało mu tchu. Szarpnął kołnierzyk koszuli w swoim mundurze strażnika, walcząc o powietrze.

„Czy nie ma w tobie ludzkiej przyzwoitości?”

- Przestań!

„Czy nie jest ci ani trochę wstyd?”

- Nie! Odejdź! - ryknął, wyszarpując rewolwer z kabury.

Głosy ucichły. Natychmiast. Jak gdyby nigdy ich nie było.

Czekał, wywijając ostrzegawczo rewolwerem.

Powoli schował go z powrotem do kabury. W dalszym ciągu panowała cisza. Słuchać było tylko łomot jego serca. Ból w klatce piersiowej ustępował, łagodniał, rozchodząc się po całym ciele.

- Nie! - szepnął jeszcze raz, odpędzając ostatniego demona matki. Ręka zaczęła znów gładzić słuchawkę nieprzyzwoitym gestem.

Ręka Mary McClain osunęła się bezwładnie z telefonu, przyciśniętego do jej boku. Mary zasnęła wreszcie po raz pierwszy od kilku dni. Śniła o Robie, o ślubie, o maleńkiej dziewczynce, której dała na imię Jill, i o mężczyźnie imieniem Tommy, jej pierwszej, niewinnej miłości, miłości sprzed wielu, wielu lat.

O wpół do piątej rano w niedzielę, Jill i Burke postanowili rozsądnie, że spędzą ten dzień osobno, nie ulegało bowiem wątpliwości, iż nie uda im się razem zasnąć, poza tym mieli sporo pracy. Przypieczętowali tę decyzję, oczywiście, kochając się znowu. Wyczerpani, nasyceni, wtuleni w siebie, zasnęli nieco po piątej. Przespali cały dzień, po czy rozstali się o czwartej po południu. Tęsknili za sobą ogromnie i w poniedziałek rano Jill przyjechała do pracy

bardzo wcześnie w nadziei, że Burke również tam już będzie. Zamiast niego zastała wiadomość telefoniczną od Roba Sheffielda.

Natychmiast do niego zadzwoniła.

- Rob? - Ogarnęło ją okropne uczucie. Głos Roba brzmiał, jak gdyby przewalił się przez niego huragan, pozostawiając po sobie straszliwe zniszczenia. - Co się stało? - Nawet w swym zdenerwowaniu zdała sobie sprawę, że pyta co, a nie czy coś się stało.

- To ja chciałbym wiedzieć. Dzwoniłem do Mary wczoraj wieczorem, gdy spodziewałem się, że powinna już być w domu. - Słowa brzmiały dziwnie w ustach mężczyzny, który spędził z Mary cały weekend, ale w pierwszej chwili Jill nie zwróciła na to uwagi. - Nie mogłem się do niej dodzwonić. Próbowałem też dziś rano - bezskutecznie. Zadzwoiłem o ósmej do szkoły - powinna tam już być o tej porze - i powiedziano mi, że zawiadomiła ich telefonicznie, iż jest chora. Zadzwoiłem więc ponownie do domu. Nikt nie podnosi słuchawki. Jill, co się dzieje? - spytał. Słysząc było, że wprost szaleje z niepokoju. - Gdzie, u diabła, jest Mary.

Serce Jill, które zaczęło bić szybciej, w chwili gdy Rob zaczął mówić, teraz omal jej nie wyskoczyło z piersi. Tłumaczyła sobie, że musi zachować spokój i rozsądek.

- Jeśli jest chora, to może poszła do lekarza.

- Przeszło mi to przez myśl. Czemu jednak nie zadzwoniła w takim razie do mnie, żebym ją zawiózł? Albo nie poprosiła ciebie?

Jill pomyślała dokładnie o tym samym, ale wciąż stara-

ła się znaleźć jakieś rozsądne wytłumaczenie postępowania siostry.

- Czy nie zwierzyła ci się podczas tego weekendu, co ją gnębi?

Jill drgnęła, jak gdyby ukąsił ją jadowny wąż.

- Co takiego? - spytała bez tchu.

- Nic w ogóle ci nie powiedziała? Miałem nadzieję, że gdy będziecie tylko we dwie, uchyli rąbka...

- Nie byliście w Berkshires - powiedziała Jill tonem stwierdzenia, ponieważ w głębi serca znała odpowiedź.

- Słucham?

- Powiedziała mi... powiedziała mi, że wybieracie się we dwójkę do Berkshires.

W słuchawce zapadła kompletna cisza. Gdy Rob się wreszcie odezwał, jego głos brzmiał denerwująco spokojnie.

- Mnie powiedziała, że... chcecie porozmawiać na luzie o przygotowaniach do ślubu... poszukać odpowiednich sukienek na tę okazję i tak dalej. W jej ustach brzmiało to tak, jak gdybyście chcieli urządzić sobie paniński weekend.

Jill robiło się na przemian to zimno, to znów gorąco. Nigdy w życiu nie czuła się taka przerażona i bezradna. Tak bardzo pragnęła znaleźć się w bezpiecznej przystani ramion Burke'a.

- Ji-11...

Słyszając, że głos tego silnego mężczyzny załamuje się niebezpiecznie i czując, że Rob Sheffield kompletnie się rozkleił, postanowiła sama wziąć się w garść.

- Rob, posłuchaj. Na pewno wszystko się wyjaśni. Jesteś teraz w pracy, prawda?

- Tak. Mam... tu parę rzeczy do zrobienia - powiedział bezdźwięcznym głosem. Najwyraźniej znajdował się w stanie szoku. - Sprawozdanie z eksperymentu...

- Rob, zadzwonię do niej, gdy tylko skończymy rozmowę. Jeśli ją zastanę, natychmiast cię zawiadomię. Ty przez ten czas załatw swoje sprawy, a potem może pojechałbyś pod jej dom i zaczekał tam na nią?

- Oczywiście - zgodził się. - Wezmę wolne na resztę dnia.

- Wszystko będzie dobrze - powiedziała, modląc się do Boga, by okazało się to prawdą.

- Tak... tak.

- Porozmawiamy później.

- Dobrze. - Odsuwając słuchawkę od ucha, Jill usłyszała jeszcze, jak pyta tonem, od którego ścisnęło jej się serce. - Jill? Gdzie ona jest?

- Nie wiem, Rob - odpowiedziała rwącym się głosem. - Nie wiem.

Mary McClain siedziała skulona na kanapie, przyciskając do piersi torbę z pieniędzmi. Stojący obok telefon dzwonił bez przerwy. Przestała liczyć ile razy. Piętnaście? Dwadzieścia? Nieważne, i tak nie miała zamiaru podnieść słuchawki. Szantażysta zadzwonił w nocy i kazał jej przynieść pieniądze dziś w południe. Tylko na ten telefon czekała. Nie chciała rozmawiać z Robem ani Jill. Rozmowa z nimi budziła w niej straszliwe wyrzuty sumienia. Oszukiwała ich. Okłamywała jedyne dwoje ludzi na świecie, których naprawdę kochała. Na tę myśl dosłownie skręcał jej się żołądek.

Telefon przestał dzwonić.

Spojrzała na zegarek.

Jeszcze trzy godziny i będzie po wszystkim. Czy naprawdę? A może to dopiero początek? A jeśli ten koszmar będzie ciągnął się dalej, dopóki nie skończą jej się pieniądze, a wtedy prawda wyjdzie na jaw?

Rozległ się znów ostry dzwonek telefonu.

Mary drgnęła nerwowo.

Spróbowała przezwyciężyć dławiący strach, że jej cały świat może lec w gruzach.

Dokładnie dziewięć po dziewiątej Burke wszedł, zapukawszy uprzednio, do pokoju Jill. Na jego wargach błędził uśmiech, w głowie miał lekki zawrót głowy, jak zwykle w jej obecności.

Na odgłos otwieranych drzwi, Jill odwróciła się od okna, przy którym stała. W uszach wciąż jej dźwięczał sygnał telefonu, którego nikt nie odbierał.

Napotkawszy jej wzrok, Burke zmarszczył brwi, zwolnił kroku, po czym zatrzymał się w pół drogi.

- Co się stało? - spytał z niepokojem, wiedząc natychmiast, że choć jeszcze łzy nie płyną z jej oczu, jest bardzo bliska płaczu.

Jill przełknęła z trudem ślinę.

- Mary nie spędziła weekendu z Robem w Berkshires.

- Co takiego? - zdumiał się, podchodząc do biurka i kładąc na nim teczkę. Teczka Jill również tam leżała, nie otwarta. - Myślałem...

- Okłamała Roba, że spędzi ten weekend ze mną. - Jill

przechyliła głowę, by spojrzeć w oczy stojącego przed nią mężczyzny. - Rob dzwonił wcześniej i powiedział, że zawiadomiła szkołę o swojej chorobie. Tymczasem w domu nikt nie odbiera telefonu. Och, Burke - szepnęła, rozklejając się całkiem w jego obecności - ona znów zniknęła.

Serce mu się ścisnęło na widok rozpaczy malującej się na jej twarzy, na widok niebieskich oczu, zaszklonych łzami. Mógł ją pocieszyć tylko w jeden sposób - użyć jej schronienia w swoich ramionach.

Wtuliła się w niego z całej siły, jak gdyby chciała stopić się z nim w jedną całość.

- Trzymaj mnie - wymówiła błagalnym tonem. - Trzymaj mnie mocno.

- Nie puszcę cię - powiedział, przytulając ją. - Moje kochanie. - Przygarnął dłonią jej głowę, tak że Jill niemal cała zniknęła w jego objęciach.

- Nie rozumiem - szeptała. - Po prostu nie rozumiem, co się dzieje. - Ponieważ marynarkę miał rozpiętą, Jill była wtulona policzkiem w jego koszulę i jej słowa dobiegały do niego cichutko jak szmer strumyka. - Ona skłamała, Burke. Nigdy przedtem mnie nie okłamała. - W jej głosie brzmiała głęboka uraza.

- Może... - Burke nie dokończył zdania. Nie potrafił wymyślić na poczekaniu nic uspokajającego. - Próbowałeś do niej zadzwonić?

- Oględnie mówiąc, ze sto razy. - Jill spojrzała w jego zatroskaną twarz.

- Jaki tam jest numer? - Powoli wypuścił ją z objęć

i wybrał numer, który mu podała. Wsparłszy rękę na biodrze, czekał. Jedyłą odpowiedzią był przeciągły sygnał w słuchawce.

Jill patrzyła na niego z nadzieją, modląc się, żeby Mary wreszcie odebrała telefon.

- Nienawidzę tego przeklętego telefonu! - zawołała, gdy stało się jasne, że Mary nie podniesie słuchawki.
- Od tej głupiej pomyłki zaczęło się dziwne zachowanie Mary.

- Wtedy, gdy byliśmy u nich na kolacji? - spytał Burke, przypominając sobie wzmiankę Jill o rozmowie w piątkowy wieczór, gdy po raz pierwszy zmartwiła się zniknięciem Mary.

Jill skinęła głową, odgarniając do tyłu włosy drżąca dłonią.

- Przyznaję - powiedział Burke - że zachowywała się wtedy dość dziwnie. Gdy telefon zadzwonił podczas naszej gry w piłkę... - Przerwał na widok dziwnego wyrazu twarzy Jill. - O co chodzi?

- Przypomniałam sobie właśnie inny telefon - powiedziała, usiłując dotrzeć do szczegółów, ukrytych głęboko w jej pamięci.

- Kiedy?

- Tydzień temu w niedzielę, gdy wychodziłam od Mary, zostawiłam ją na strychu, pakującą rzeczy. Byłam już przy drzwiach, gdy zadzwonił telefon. Odebrałam go, ale pomyślałam, że to pomyłka.

- Kto to był i co powiedział?

- To był mężczyzna i powiedział...

- Co takiego?

- Nie pamiętam dokładnie. Coś w rodzaju... „musimy znów porozmawiać o twojej córce”. - Wzruszyła ramionami. - Nie wiem, doprawdy, czemu teraz o tym pomyślałam, po prostu jeszcze jeden przypadek telefoniczny. Nie sądzę, by miało to coś wspólnego z... O co chodzi? - spytała, zaintrygowana jego miną.

- O nic - odpowiedział, choć w głębi duszy wcale nie był przekonany czy podejrzenie, które przemknęło mu przez myśl, jest takie znowu bezpodstawne. Prawdę mówiąc, mogło się okazać uzasadnione. Skojarzył fakty - nagłą potrzebę pieniędzy u Mary McClain i dziwnego rozmówcę, który wspomniał o córce. Było to szalone, karkołomne przypuszczenie, ale, niestety, miało sens! Zwłaszcza w świetle tego wszystkiego, co się działo.

- Nie, coś ci przyszło do głowy - nalegała Jill, przysuwając się niego. - Powiedz.

- Pozwól, że coś sprawdzę - poprosił, ujmując ją za ramiona.

- Co mianowicie?

- Mogę się mylić.

- Powiedz mi!

Nie chciał tego robić. Boże, tak bardzo nie chciał! A jeśli się myli? Albo, co gorsza, ma rację?

- Proszę - wyszeptała, błagając go oczyma, dotykiem. Nie potrafił się jej oprzeć.

- Jill, pomyśl tylko. Ten scenariusz idealnie pasuje... do szantażu.

Słowo zawisło w powietrzu. Szantaż. Złowrogie prze-

stępstwo, które zdarza się czasem w życiu, najczęściej jednak w dramatycznych filmach sensacyjnych lub telewizyjnych mydlanych operach.

- To bzdura - powiedziała. - Co takiego mogła Mary popełnić w swoim życiu, żeby ją teraz szantażowano?

- Pozwól mi coś sprawdzić - powtórzył Burke, nie chcąc dodawać nic więcej bez sprawdzenia.

- Jeśli wiesz cokolwiek, jeśli nawet tylko podejrzewasz, chcę wiedzieć, co.

Jej głos był twardy jak stal. To samo zdecydowanie i siła były od jej drobnutkiej postaci. Pod wieloma względami jest silniejsza ode mnie, pomyślał Burke.

- Myślę, że jest możliwe... A jeśli Mary ma córkę? Jeśli ktoś się o tym dowiedział i teraz ją szantażuje? - rzekł bez owijania w bawełnę. Znał jednak Jill na tyle, że był pewien, iż chce poznać prawdę.

Patrzył na jej twarz i widział, że zdecydowanie odrzuca tę możliwość. Widział też, jak stara się przynajmniej ją rozważyć. Czuł, ile ją to kosztuje. Posadził ją na fotelu i podciągnąwszy spodnie, przykucnął przed nią. Przytulił dłoń do jej policzka. Był zimny jak lód.

- Mogę się mylić. Okropnie mylić.

- Jak... jak możesz to sprawdzić?

- Chcesz, żebym spróbował?

- Wiesz dobrze, że tak - wymówiła odrętwiałymi wargami.

Tak, wiedział. I w tej chwili modlił się goręcej niż o cokolwiek, żeby instynkt go zawiódł.

- Pójdę do siebie i zadzwonię w parę miejsc...

- Nie! - powiedziała, chwytając go za rękę. - Zadzwoń stąd.

Patrząc jej głęboko w oczy, podniósł powoli jej dłoń do ust i czule ucałował, po czym wstał i podszedł do biurka. Usiadłszy przy nim, podniósł słuchawkę telefonu. Zgłosiła się recepcjonistka.

- Połącz mnie, proszę, z Harriet Cummings - rzekł Burke, patrząc na Jill. Na dźwięk nazwiska prawniczki, o której wiadomo było, że ma wszędzie znajomości, w oczach Jill odbiło się zdumienie. Nie odezwała się jednak. W chwilę później Burke powiedział: - Dzień dobry, Harriet, mówi Burke Rawlins. Świetnie, dziękuję. Posłuchaj, mam do ciebie prośbę. Czy mogłabyś podać mi nazwisko kogoś w ewidencji ludności, kto sprawdziłby dla mnie pewną rzecz? - Słuchał przez chwilę, po czym rzekł: - Tak. Bardzo ważne. Dziękuję. Jestem twoim dłużnikiem.

Odłożył słuchawkę i zerknął na Jill. Policzki jej pobladły, miały teraz odcień podobny do odcienia sukienki w kolorze kości słoniowej, którą miała dziś na sobie. Siłą woli powstrzymał się, by nie zerwać się i nie podbiec do niej.

- Czy ktoś do ciebie zadzwoni? - spytała, zastanawiając się, czy ten spokojny głos naprawdę należy do niej.

Skinał głową. Czekali przez kilka długich minut. Wreszcie telefon zadzwonił.

- Tak, Rawlins przy telefonie. Tak, tak, dziękuję, że zadzwoniłaś, Susan. Posłuchaj, muszę... potwierdzić fakt urodzin. Znam nazwisko matki, wiem, że dziecko było płci żeńskiej i przypuszczam, że urodziło się około... - przypomniał sobie, że Jill wspominała, iż Mary ma pięćdziesiąt lat

- ...powiedzmy, trzydziestu, trzydziestu pięciu lat temu.
- Zmarszczył brwi. - Koniecznie potrzebne imię dziecka? - Czekaj, słuchając swej rozmówczynie. - Świetnie. Spróbuj w szpitalach. Tak, wiem, że w Massachusetts jest wiele szpitali - rzekł z lekkim rozdrażnieniem. - Zresztą równie dobrze mogło to być gdziekolwiek w kraju. Nie, nie, wiem, że nie możesz sprawdzić wszystkich szpitali w Stanach Zjednoczonych. Zaczekaj, sprawdź szpitale w Shawsheen. Nazwisko - Mary McClain. Tak. M-c-C-1-a-i-n. Tak, poczekam.

Obrzucił spojrzeniem Jill, która wydawała się jeszcze bledsza niż przed chwilą.

- Sprawdza za pomocą terminala komputerowego - wyjaśnił. Czas dłużył im się straszliwie. - Nic? - spytał wreszcie z pełnym zawodu westchnieniem.

- Spróbuj w Szpitalu Stanowym Massachusetts - odpowiedziała Jill.

Burke spojrzał na nią pytająco.

- Ja się tam urodziłam. Może mama zabrała Mary... może chciała, żeby... - Umilkła. - Duży szpital z dala od domu zapewniał prawdopodobnie większą dyskrecję... samotnej matce.

- Sprawdź Szpital Stanowy Massachusetts - rzekł z podziwem dla logiki Jill.

W ciszy rozlegało się tylko denerwujące tykanie zegara. Burke pragnął przekazać część swej siły kobiecie, która czekała w milczeniu.

- Tak? - powiedział wreszcie. - Dobrze, zaraz zapiszę - dodał, wyciągając pióro i notując informację na kartce

papieru. - Tak. Tak. Kiedy? Dobrze. 1952. - Nagle ręka, którą pisał, zawisła w powietrzu. Serce w nim zamarło. Spojrzał na Jill. - Co powiedziałaś? Jesteś pewna imienia dziecka? Do licha, sprawdź to dokładnie! Przepraszam cię. Sprawdź jeszcze raz, proszę. - Oczy mu pociemniały. - Rozumiem.' Tak. Tak. Dziękuję ci za pomoc.

Burke odłożył słuchawkę omdlałymi nagle palcami. Ze zdenerwowania ścisnęło go w dołku. Wszystko krzyczało w nim: nie! Nie, on nie może jej tego powiedzieć. Ale, na Boga, jak mógłby powierzyć tę tajemnicę komuś innemu? Jill wyczuła, że coś jest nie w porządku. Serce zatrzepotało jej w piersi.

- O co chodzi? Co ona powiedziała? - Patrzyła mu prosto w oczy, domagając się szczerzej odpowiedzi.

- Jill...

- Mów! Obojętne, co usłyszałeś.

Nie mógł. Po prostu nie mógł!

- Do diabła, Burke, czego się dowiedziałeś? - Jill zerwała się z fotela i przechyliła przez biurko, sięgając po kartkę papieru, na której pisał. Burke powstrzymał jej rękę. Patrzyła na niego gniewnym i zarazem błagalnym wzrokiem, prosząc bezgłośnie, by chronił ją w jakiś sposób przed okropnością tego, co przed chwilą odkrył.

- Mary Elaine McClain urodziła córkę. - Przełknął ślinę. - Dwunastego stycznia tysiąc dziewięćset pięćdziesiątego drugiego roku.

Potwierdzenie, że Mary McClain rzeczywiście urodziła córkę, przyspieszyła tętno Jill. Gdy jednak dotarła do niej w pełni data, którą podał jej Burke, zmarszczyła brwi.

- Ale to przecież... data moich urodzin. - Nie od razu zdała sobie sprawę z implikacji tego faktu. Uświadomienie ich sobie było niczym piorun z jasnego nieba. Zbladła jak ściana, serce na chwilę przestało jej bić. - Co... co ty mówisz? - spytała nieswoim, łamiącym się głosem, który brzmiał obco nawet dla niej samej.

Burke wstał powoli, wyszedł zza biurka i ujął jej dłonie w swoje. Czuł ich drżenie. Jego głos drżał również, gdy powiedział:

- Nadała dziecku imię... Jill Elizabeth.

- Nie, to nieprawda!

Okrzyk, który wyrwał się Jill, był absolutnie nieadekwatny do jej wewnętrznego przekonania. Intuicyjnie czuła bowiem, że to, co powiedział Burke, jest prawdą. Niestety, ta prawda zniekształciła jej życie, miała wrażenie, że ogląda je w krzywym zwierciadle.

Nie, pomyślała, to nie nowe życie uległo zniekształce-

niu. To jej dawne życie, dawne przekonanie, że Mary jest jej siostrą, okazało się nierzeczywiste.

Zdała sobie sprawę, że ktoś - Burke? Tak, Burke - coś do niej mówi. Spróbowała się na tym skoncentrować.

- ... czujesz?
- Słucham?
- Dobrze się czujesz?

Wlepiła nieprzytomny wzrok w jego zaniepokojoną twarz. Zauważyła również, że puścił jej jedną dłoń i objął ją w talii, podtrzymując lekko. Zachwiała się i przytuliła do niego, zdając się na jego męskie ramię.

- Tak - odpowiedziała, kiwając głową. - Nic mi nie jest.
- Może usiądziesz? - zaproponował Burke, prowadząc ją w stronę fotela.

- Nie chcę...

- Usiądź - powiedział łagodnie, lecz stanowczo. Posadził ją siłą w fotelu. - Zostań tutaj - nakazał, próbując wyrwać dłoń z jej uścisku. Nieświadomie opierała się, uczepliwszy się go, jak ostatniej deski ratunku. - Jill, puść mnie. - Spróbował odgiąć jej palce. - Zaraz wrócę.

Pozwoliła mu odejść, a może po prostu był od niej silniejszy.

- Nie ruszaj się, słyszysz?

Jill ponownie skinęła głową.

Burke przeszedł szybkim krokiem przez pokój, otworzył drzwi i zniknął w korytarzu. Jill odchyliła się na oparcie fotela i zamknęła oczy. Serce waliło jej jak młotem, huczało jej w uszach. Czyjś szyderczy głos powtarzał wciąż jej imię: Jill Elizabeth... Jill Elizabeth... Jill Elizabeth...

Wróciła pamięcią do tamtej niedzieli na strychu, gdy poczuła się nagle dziwnie samotna na myśl, że już niedługo Mary zostanie żoną Roba. Było to zbyt intensywne uczucie jak na układ siostra - siostra, ale nie córka - matka. Czyżby już wtedy zadziałała intuicja?

- Proszę. - Otworzyła oczy. Burke, kucnąwszy przed nią, podawał jej plastikowy kubek. Wziąwszy kubek, stwierdziła ze zdziwieniem, że ręka drży jej tak mocno, iż omal nie wylała wody.

- Trzęsę się - powiedziała z niedowierzaniem.

Burke ujął jej dłonie w swoje, próbując ją uspokoić.

- Wypij - polecił szeptem.

Chłodna woda zwilżyła jej suche ze zdenerwowania wargi. Przy pomocy Burke'a udało jej się wysączyć kolejny łyk, potem jeszcze jeden. Opuściła kubek na kolana i podniosła na niego wzrok. Widziała wyraźnie, że się o nią martwi. Zrobiło jej się ciepło na sercu.

- Dlaczego? - szepnęła. - Dlaczego pozwoliła mi przez tyle lat wierzyć, że... Nie rozumiem, Burke. Dlaczego?

Odgarnął pasmo jej niesfornych włosów za ucho.

- Nie wiem, kochanie. Naprawdę nie wiem.

- Co ja mam zrobić?

Patrzyła na niego wzrokiem zranionej sarny. Burke najchętniej zabrałby ją do domu, położył do łóżka i utulił w swych ramionach, zamiast tego rzekł jednak z pełnym przekonaniem:

- Pojechać do Mary i zadać jej to pytanie, które zadałaś mnie.

- Pojedziesz ze mną?

- A chcesz tego?

- Tak - powiedziała, splatając palce z jego palcami.

- Tak. Proszę, pojedź ze mną.

Wstał, podnosząc ją równocześnie.

- Zaczekajmy na nią u niej w domu. Gdziekolwiek jest, w końcu tam wróci.

W ciągu kilku minut Burke odwołał wszystkie umówione spotkania i zaprowadził Jill do samochodu. Jego ramię, obejmujące ją w pasie, było jej jedyną ostoją. Gdy zajęła miejsce kierowcy, popatrzył na nią przepaszającym wzrokiem, mówiącym, że to on powinien prowadzić.

- Czuję się dobrze - zapewniła go. - Naprawdę.

Rzeczywiście czuła się lepiej. Przynajmniej pod pewnymi względami. Słoneczny wiosenny poranek był cudownie normalny, cudownie podnoszący na duchu. Świat znajdował się wciąż na swoim miejscu.

Gdy jechała do małego żółtego domku na przedmieściach, miały ją najrozmaitsze uczucia, z których nie wszystkie nawet potrafiła zidentyfikować. Wciąż jeszcze znajdowała się w szoku, w odrętwieniu, ale gdzieś w głębi jej świadomości zaczynały się budzić uraza i gniew. Jak one mogły - na razie nie udawało jej się rozgraniczyć matki i babki - tak ją zdradzić? I dlaczego to zrobiły?

- Czy masz świadectwo urodzenia? - spytał Burke, przerywając jej rozmyślenia.

- Tak. - Domyśliła się, jaki jest podtekst pytania. - Jako moi rodzice wymienieni są Margaret i Edward McClain.

- To zaplanowane od momentu jej urodzenia oszustwo jeszcze bardziej ją rozżaliło.

Burke zauważył jej cierpienie.

- Jill, daj jej szansę wyjaśnienia wszystkiego. Zawsze istnieje możliwość, że wyciągnęliśmy fałszywe wnioski...

- Naprawdę w to wierzysz? - przerwała mu. Gdy nie odpowiadał, nie mógł odpowiedzieć, dodała: - Ja też nie.

Powoli skręciła w podjazd prowadzący do domku Mary. Żaluzje były opuszczone, niczym powieki we śnie, dom sprawiał wrażenie opuszczonego. Nagle Jill ogarnął niepokój. Gdzie jest Mary? Może grozi jej niebezpieczeństwo? Natychmiast jej serce wypełniło uczucie głębokiej miłości. Nieważne, jakie więzy biologiczne łączą ją z tą kobietą, niezależnie od tego, czy ją oszukała, zdradziła, ona po prostu ją kocha. Zawsze ją kochała i zawsze będzie kochała.

Taka jest niezłomna, odwieczna natura miłości.

Trudno powiedzieć, kto był bardziej zaskoczony - Jill, która otworzywszy drzwi, zastała zaginioną Mary, siedzącą na kanapie, czy też Mary na widok stojącej przed nią Jill.

- Mary! - wykrzyknęła z ulgą Jill.

- Jill! - Mary zaciskała dłonie tak mocno na torbie, że aż kostki jej zbiełały. W jej oczach malowała się wyraźna panika. - C-co ty tu robisz?

- Próbowалам, próbowaliśmy dodzwonić się do ciebie przez cały ranek - powiedziała Jill, myśląc, że Mary wygląda okropnie, cerę ma ziemistą z niewyspania.

- Ja... ja właśnie miałam zamiar wyjść. - Jej stwierdzenie w żaden sposób nie mogło stanowić wyjaśnienia, dlaczego nie podnosiła słuchawki i wszyscy troje doskonale o tym wiedzieli.

- Dokąd się wybierasz?.- spytała Jill. Wzrok jej i Burke'a jednocześnie powędrował ku torbie na kolanach Mary. Idąc śladem ich spojrzenia, zmusiła się, by rozluźnić palce.

- Ja... właśnie... mam coś do załatwienia...

- Idziesz spotkać się z szantażystą? - spytała Jill bez ogródek.

W pokoju zapadła cisza. Złowroga cisza. Twarz Mary McClain zrobiła się biała jak prześcieradło, piegi wydawały się niemal czarne. Torba wysunęła się z jej omdlałych rąk i upadła na podłogę. W ciszy rozległ się głośny stuk, a następnie szelest wysypujących się z niej dwudziestodolarowych banknotów. Trzy pary oczu wpatrzyły się w ten obciążający biało-zielony strumień.

Burke westchnął i zamknąwszy na chwilę oczy, prosił Boga, żeby to nie była prawda.

Mary modliła się - choć wiedziała, że to głupota z jej strony - by Jill nie orientowała się, co jest powodem szantażu.

Jill poczuła, że zbiera jej się na wymioty. Zdała sobie sprawę, iż wbrew wszystkiemu wciąż jeszcze miała nadzieję, że oboje z Burke'em się mylą. Niestety! Skoro nic mylili się co do szantażu, nie mylili się również...

Spojrzała w oczy siedzącej kobiecie. To, co miało teraz nastąpić, było niczym więcej, jak tylko słownym potwierdzeniem ich przypuszczeń. Jill zada pytanie, które musi zadać, z czego wszyscy zdawali sobie sprawę, a Mary z tej samej przyczyny na nie odpowie. Odpowiedź zaś znały obie.

- Czy jesteś moją matką? - spytała cicho Jill.

W podświadomym opiekuńczym odruchu, Burke przysunął się bliżej do Jill i położył jej dłoń w talii.

Mary McClain przełknęła z trudem ślinę i otworzyła usta. Żaden dźwięk nie wydobył się jednak z jej pobladłych warg. Wreszcie wstała z kanapy. Rozdygotana, niepewna, zachwiała się. Burke instynktownie podtrzymał ją, chwytając za łokieć. Spojrzała na niego i uśmiechnęła się żałośnie.

- Dziękuję - powiedziała szeptem i podeszła sztywno do okna. Patrzyła na słoneczny poranek i myślała o swoich pierwszoklasistach, którzy prawdopodobnie mają wolne - grają w piłkę, skaczą przez skakankę, bawią się w berka, robią te wszystkie niewinne rzeczy, które zwykły robić dzieci. Niewinność. Przeciwieństwo winy.

- Mary? - powiedziała Jill tonem, domagającym się potwierdzenia.

Mary odwróciła się, w jej ciemnych oczach błyszczały łzy. Ogarnęła ją dziwna rezygnacja. Chyba zawsze w głębi duszy wiedziała, że ten moment kiedyś nadejdzie. Przez chwilę mignęła jej myśl, jakim sposobem Jill odkryła prawdę, ale przyznała, że nie ma to naprawdę znaczenia. Nic nie miało znaczenia, oprócz oczyszczenia się z winy, błagania o wybaczenie.

Znów przełknęła ślinę. Tym razem udało jej się przemówić.

- Uwierz mi, proszę, Jill, nigdy nie zamierzałam ukrywać przed tobą prawdy. Obiecałam to zarówno tobie, jak i sobie, gdy po raz pierwszy trzymałam cię w ramionach.

Ciałem Jill wstrząsały silne dreszcze.

- To dlaczego...? - Ledwie było słychać jej głos.

- Czekałam, aż nadejdzie dzień, gdy będziesz wystarczająco dorosła, by zrozumieć. Chyba... chyba nie potrafiłam ocenić czy taki dzień już nadszedł. - Uśmiechnęła się smutno, po jej policzku spłynęła samotna łza. - Wciąż mi się wydawało, że jutro będzie lepszy dzień na powiedzenie ci prawdy. A potem nieoczekiwanie zrobiło się za późno. Zbyt wiele tych dni jutrzejszych minęło. - Otarła łzę wierzchem dłoni. - W osobliwy sposób zaczęłam wierzyć w kłamstwo, z którym żyłam tak długo. Tak to z kłamstwami bywa.

- Ale po co było w ogóle kłamać? - spytała Jill, nie próbując nawet ukryć swego braku zrozumienia. - Dlaczego od początku...?

- Myślisz, że nie chciałam? - przerwała jej Mary szorstko, co było zupełnie do niej niepodobne. Z oczu znów popłynęły jej łzy. - Myślisz, że nie chciałam przyznać się, że jesteś moją córką?

- No to dlaczego? - Jill również mówiła szorstko, niecierpliwie, chciała usłyszeć coś, co by ją przekonało.

- Twoi dziadkowie! - krzyknęła Mary, po czym zniżyła głos. - Twoi dziadkowie mi nie pozwolili! - Z każdego słowa przebijała gorycz. - Nigdy im tego nie wybaczyłam. I nie wybaczę.

Fakt, że Mary nazwała dziadkami dwoje ludzi, których uważała zawsze za rodziców, spowodował jeszcze większą frustrację Jill. Poczowała nagłą chęć, by się uszczypnąć i obudzić ze złego snu. Zapragnęła znaleźć się w ramionach Burke'a. Oparła się mocniej o rękę, która spoczywała na jej talii. Burke rozszerzył palce, w jego dotyku było coś po-krzepiającego.

- Nie wiem - mówiła dalej Mary - może powinnam była się uprzeć i postawić na swoim. Ale miałam zaledwie szesnaście lat, Jill. Szesnaście. I byłam przerażona. Stoczyłam z nimi straszliwą walkę. Gdy dowiedzieli się, że jestem w ciąży, nalegali, żeby oddać dziecko do adopcji. Powiedziałam, że nigdy się na to nie zgodzę. Nigdy. I naprawdę nie miałam zamiaru. Oskarżyłam matkę, że bardziej zależy jej na pozycji społecznej w Shawsheen niż na mnie.

- Twarz Mary spochmurniała od bolesnych wspomnień, których nie zatarły wszystkie mionione lata. - Był to jedyny raz w życiu, kiedy matka mnie uderzyła. Ale mówiłam prawdę. Bóg mi świadkiem, że mówiłam prawdę. Bardziej troszczyła się o to, co powiedzą sąsiedzi i przyjaciele niż o to, co stanie się ze mną.

Po raz pierwszy nieprzychylnie nastawienie Mary do małych miasteczek nabrało sensu. Jill nie mogła natomiast zrozumieć, jakim cudem nie zauważyła antagonizmu istniejącego pomiędzy Mary a Margaret i Edem McClainami. Było to chyba zasługą Mary, która nie chciała psuć obrazu „rodziców” w oczach Jill.

- Powiedzieli ci więc, że możesz zatrzymać dziecko, ale wychowają je jako swoje własne - podpowiedziała Jill, nie potrafiąc jednak stłumić uczucia goryczy.

- Tak - potwierdziła spokojnie Mary. - Och, opracowali szczegółowy plan - dodała z niewesołym uśmiechem.

- Nagle okazało się, że matka ma umierającą ciotkę w Bostonie, którą musi się zająć. Dla waszej wiadomości, ciotka nie żyła już od trzech lat. - W słowach Mary dawało się wyczuć nietypowy dla niej sarkazm. - Oczywiście, poje-

chałam z nią. Mówiła każdemu, że przenoszę się tam do szkoły, co zresztą nie było prawdą. Uczyłam się sama. Przed wyjazdem rozsnuła sieć pozorów, skarżyła się wszystkim na poranne mdłości, tak że gdy napisała, iż jest w ciąży, wszyscy kupili to bez mrugnięcia okiem. - W jej głosie znów zabrzmiała ironia, gdy dodała: - Wszyscy cieszyli się, że Maragaret i Ed będą mieli drugie dziecko, na które czekali tyle lat. - W oczach Mary pojawiły się łzy, odwróciła się do okna. Ramiona jej drgały w bezgłośnym płaczu.

Jill pragnęła ją pocieszyć, ale nie mogła. Wszystko było zbyt nowe, dawne życie legło w gruzach, sama cierpiała zbyt dotkliwie.

- I w taki sposób zostałam... twoją siostrą?

Mary skinęła głową, po czym dodała łamiącym się głosem:

- Tak. Urodziłaś się w Szpitalu Stanowym Massachusetts. Jakimś cudem ojciec przekonał ludzi w szpitalnej kancelarii, żeby wpisali jako matkę po prostu M. McClain.

Jill zmarszczyła brwi.

- Ale przecież na moim świadectwie urodzenia figuruje Margaret.

- To ty założyłaś, że „M.” oznacza Margaret, podobnie jak urzędnicy założyli, że oznacza Mary. Och, wszystko zostało drobiazgowo zaplanowane - powiedziała Mary - z zastrzeżeniem, że nikt nigdy więcej nie wspomni o oszustwie. Nawet w domu, między nami. I że nie będziesz nigdy nazywana moją córką ani ja twoją matką. Nie pozwolono mi też nigdy, bym zajmowała się tobą jak mat-

ka. - Głos jej się znów załamał. - Wszyscy mieliśmy udawać. I udawaliśmy. Przysięgam, że matka w końcu sama zaczęła wierzyć, że jesteś jej córką. - Tym razem łzy pociekły strumieniem po jej twarzy. - Nigdy... nie było to dla mnie łatwe.

Smutek. Wypełniał cały pokój. Jill czuła, jak faluje, nabrzmiewa również w niej samej. Łzy napłynęły jej do oczu.

Ramię Burke'a otoczyło ją w talii. Przytulił ją do siebie z całej siły. Pozwolił jej płakać, wiedząc, że nie ma sensu jej powstrzymywać, że powinno jej to przynieść ulgę.

- Mary - spytał cicho, gdy uważał, że nadszedł właściwy moment - kto cię szantażuje?

Odwrociła się, spostrzegła intymną pozę Jill i Burke'a - którą na w pół świadomie zaakceptowała - i pokręciła głową.

- Nie wiem. Jakiś mężczyzna. Po prostu zadzwonił. Zażądał najpierw pięciu tysięcy...

- Zapłaciłaś mu? - spytał Burke.

- Musiałam. Ja... - Znów wybuchnęła gorzkim płaczem.

- A potem zażądał więcej? - wyciągnął prawidłowy wniosek Burke.

- Tak. Kolejnych dwóch tysięcy.

- I nie domyślasz się...

Ponownie pokręciła głową.

- Nie. Wiedzieliśmy tylko my troje - matka, ojciec i ja.

- A... ojciec dziecka? - spytał Burke i poczuł, jak napinają się mięśnie Jill.

Mary przeniosła wzrok z niego na swoją córkę.

- Nie - wymówiła szeptem - nawet nie wiedział, że spodziewam się dziecka. - Oczy Mary zasnuł głęboki smutek.

- Kto jest moim ojcem? - Zadając to pytanie, Jill uświadomiła sobie, że tak bardzo zaskoczyło ją odkrycie, iż Mary jest jej matką, że prawie nie poświęciła uwagi problemowi ojca. Z zapartym tchem czekała teraz na odpowiedź.

- On nie żyje, Jill. Zginął w Korei.

- Och.

Mary postąpiła krok naprzód.

- To nie był... tani romans. Kochaliśmy się. - Uśmiechnęła się żałośnie. - Matka przekonywała mnie, że to tylko szczenięca miłość, że w wieku szesnastu lat nie można kochać naprawdę, ale ja wiedziałam lepiej. Wiedziałam, co czuję. I co czuje on. - Pociągnęła nosem, podchodząc bliżej. - Był naszym sąsiadem, starszym ode mnie o dwa lata. Znaliśmy się bardzo długo, aż tu nagle... - wzrok jej złagodniał na wspomnienie minionego szczęścia - ...pio-run z jasnego nieba. Zakochaliśmy się w sobie. Mieliśmy zamiar się pobrać. Skończył właśnie szkołę średnią, z odznaczeniem. Zamierzał studiować prawo...

Jill patrzyła na nią pytająco.

- Tak - powiedziała Mary, uśmiechając się szczerze. - Trudno mi było uwierzyć, gdy powiedziałaś, że chcesz zostać prawniczką. Czułam się tak, jak gdyby częśćka jego przeżyła. No i oczy. Masz jego oczy. Jego oczy zawsze były takie... - Zatonęła znów we wspomnieniach, przeszłość zdawała się spowijać ją cienką mgiełką. - W każdym razie - wróciła do swej opowieści po dłuższej prze-

rwie -jego plany pokrzyżowała wojna w Korei... - Westchnęła i podeszła jeszcze bliżej. - Zginął jak bohater. Podobno uratował życie pięciu kolegom. Został pochowany w Arlington. Odznaczono go... Medalem Honorowym. - Ciche łzy płynęły z oczu obu kobiet. - Zginął, zanim... nigdy się nie dowiedział, że ja... O Boże - powiedziała, przeczesując nerwowo palcami króciutkie włosy - o niczym nie miał pojęcia!

- Mężczyzna na zdjęciu - wymówiła cicho Jill.

- Słucham?

- Mężczyzna na zdjęciu to mój ojciec. - Nie pytaj mnie, skąd wiem, myślała, po prostu wiem.

- Tak - potwierdziła Mary. - Tommy Wilson.

Z absolutnie irracjonalnego powodu świadomość, że mężczyzna na zdjęciu jest jej ojcem, tylko pogłębiła w Jill poczucie straty. Serce jej się krajało. Życie jest takie niesprawiedliwe! Nigdy nie pozna mężczyzny, dzięki któremu znalazła się na tym świecie. Nagle stało się to bardzo ważne. I w najwyższym stopniu tragiczne.

Mary dzieliły od niej zaledwie centymetry. Lękliwie, niezdecydowanie wyciągnęła rękę. Zawahała się, jak gdyby nie była pewna, czy ma do tego prawo, po czym odgarnęła pasmo włosów z policzka Jill. Ręka jej drżała. Jill czuła to, gdy dotknęła jej skroni.

- Nie płacz - powiedziała błagalnie Mary. - Proszę cię, nie płacz. - Była to dziwna prośba, pochodziła bowiem od kobiety, która sama nie potrafiła zapanować nad płynącymi z oczu łzami.

Do tej chwili Jill nie zdawała sobie sprawy z tego, że

płacze. Pociągnęła nosem i otarła dłonią łzy, i wilgotny nos.

- Byłby z ciebie taki dumny - wyszeptała Mary, głaszcząc Jill po głowie, jak gdyby nie mogła znieść myśli o zabraniu ręki. - I kochałby cię... - głos jej się załamał - ..tak bardzo, jak ja zawsze... Nie mogli mi zabronić cię kochać.

Burke odsunął się, nie chcąc przeszkadzać obu kobietom w tak intymnej chwili. Poczuł, że sam ma ściśnięte gardło i wilgotne oczy.

- Mary... - zaczęła Jill, sama nie wiedząc, co chce powiedzieć.

- Nie chcę, żebyś mnie nienawidziła - przerwała jej Mary. - Błagam cię! - Łzy nie przestawały spływać po jej twarzy. - Zapłaciłam już tak wysoką cenę, że wprost trudno sobie wyobrazić. Płaciłam ją za każdym razem, gdy nazywałaś ją matką, gdy biegłaś do niej ze stłuczonym kolanem, gdy, przestraszona, chwytałaś ją za rękę.

Egoistka. Słowo to smagnęło sumienie Jill. Myślała tylko o sobie, o swoich zranionych uczuciach, i prawie zapomniała, że nie tylko ona cierpi, że Mary przecierpiała nieporównywalnie więcej od niej. Straciła mężczyznę, którego kochała i nie pozwolono jej przyznać się do dziecka. Życie ciężko ją doświadczyło i to w tak młodym wieku.

- Nie mogłabym cię nienawidzić - powiedziała, powtarzając jak w lustrze gest Mary i muskając dłonią jej włosy. - Kocham cię.

To wyznanie wyzwoliło następne fontanny łez. Obie kobiety stały wpatrzona w siebie, próbując rozpaczliwie

poskładać w jedną całość kawałki, na które rozsypał się ich świat.

- Czasami w nocy, gdy byłaś malutka - wymówiła Mary ledwie dosłyszalnym szeptem - zakradałam się do twojego pokoju i... trzymałam cię w ramionach... po prostu trzymałam... tylko trzyma... - Przyciągnęła Jill do siebie. - Tuliłam cię. Cśś - zagruchała, delikatnie głaszcząc ją po głowie - wszystko będzie dobrze, dziecinko... moja malutka... moja kochana córeczko... wszystko...

Wzrok Mary padł na mężczyznę, stojącego w drzwiach pokoju. Nagła cisza zwróciła uwagę Burke'a i Jill. Jill odwróciła się... i powoli wysunęła z objęć Mary.

Rob Sheffield wyglądał, jak gdyby miał za chwilę paść trupem. Było jasne, że stoi już tu wystarczająco długo, żeby powiązać wszystkie fakty, podobnie jak to, że cierpi.

- Dlaczego? - spytał szorstko, lecz spokojnym tonem.
- Dlaczego mi nie zaufałaś?

Mary sprawiała wrażenie ogromnie wyczerpanej, nie próbowała walczyć ani się bronić. Odpowiedziała uczciwie, bezbarwnym głosem, jak gdyby mówiła do kogoś innego i o kimś innym.

- Rzadko zdarza się w życiu druga szansa. Nie chciałam, by cokolwiek przekreśliło moją.

- Ale z pewnością miałem prawo...

- Bardzo kochałam Tommy'ego - przerwała mu. - Tak bardzo, że spędziłam długie lata mojego życia na opłakiwaniu go. A potem zjawiłeś się ty. Nie mogłam uwierzyć, że znów kogoś pokochałam - i to mocniej niż kogokolwiek. Nie zasługiwałam na ciebie, wiem o tym, ale nie

potrafiłam cię odtrącić. Przekonywałam samą siebie, że skoro Jill nie wie o niczym, to dlaczego miałby wiedzieć ktoś inny.

Rob mierzwił w zdenerwowaniu swoje już i tak potargane włosy.

- Do diabła, Mary, małżeństwo powinno opierać się na zaufaniu!

Ostatni promyk światła zgasł w oczach Mary. Uśmiechnęła się z przygnębieniem, ale i zrozumieniem.

- Tak, to prawda - powiedziała, opuszczając wzrok na pierścionek z brylantem na swej lewej ręce. Lśnił przepięknie, lecz zarazem szyderczo. Zaczęła go zsuwać z palca, w tej samej chwili jednak Rob powstrzymał ją i wsunął go z powrotem.

- Nie waż się nigdy go zdejmować - burknął czule i pochwycił ją w objęcia.

Mary rozkleiła się już całkowicie. Nie miała pojęcia, skąd ma jeszcze w sobie tyle łez.

- Przepraszam - łkała, przytulona do jego ramienia.
- Och, Rob, tak bardzo mi przykro. Nigdy nie chciałam skrzywdzić... nikogo.

- Cicho, cicho, już wszystko dobrze... wszystko dobrze. .. - powtarzał tę samą litanie, którą ona przed chwilą uspokajała Jill.

Jill spojrzała na Burke'a oczyma pełnymi łez.

Posłał jej ciepłe, czułe spojrzenie, po czym schylił się i zaczął wkładać pieniądze z powrotem do torby.

- Mary? - powiedział, skończywszy z pieniędzmi.
- Mary?

Rob oprzytomniał pierwszy i trącił lekko kobietę, wtuloną w jego ramiona. Spojrzała pytająco na Burke'a.

- Kiedy i dokąd masz to dostarczyć?

Powiedziała mu.

- Wezwij policję - rzekł Burke do Roba. - Niech spotkają się tam ze mną.

Ruszył do drzwi. Jill podążyła za nim.

- A ty dokąd się wybierasz? - spytał Burke, marszcząc brwi.

- Idę z tobą - odpowiedziała z uporem.

- O nie, nie ma mowy.

- A właśnie, że tak.

- Jill, to może być niebezpieczne.

- Wiem o tym.

- Nie.

- Tak.

- Nie! Nie po...

Schwyciła go za ramię.

- Burke, pozwól mi to zrobić. Dla Mary i... tego mężczyzny, którego nigdy nie będę znała. Poza tym - dodała, uśmiechając się kącikiem ust - kto będzie prowadził?

Ostatnie pytanie zabrzmiało lżej, niż Burke zakładałby wiele dni, tygodni, miesięcy temu. Ale pierwsze stwierdzenie Jill miało inną wagę. To było coś, czego nie miał prawa jej odmówić.

- Dobrze - ustąpił - ale zostaniesz w samochodzie. Słyszysz? - Wyszli przez frontowe drzwi, nie słysząc nawet ich trzasknięcia. - Słyszysz, McClain? - powtórzył, otwierając drzwi samochodu. - Jill?

- Słyszę, słyszę! - rzekła niecierpliwie, wycierając po raz ostatni nos i uruchamiając silnik.

Było samo południe, czyli pora, o której Mary miała zostawić na ławce torbę z pieniędzmi, gdy Jill zaparkowała samochód i wyłączyła silnik. Otworzyła szeroko drzwi.

- Jill - powiedział Burke, przypominając jej tym jednym słowem umowę, którą zawarli.

Wysiadła i okrzyła samochód.

- Jill! - warknął ostrzegawczo, otwierając drzwi po swojej stronie.

Nie zwracając na to uwagi, Jill zaczęła iść zdecydowanym krokiem w stronę Parku Miejskiego.

Chwytał ją za nadgarstek, okręcił i przygwoździł własnym ciałem do maski samochodu.

- Obiecałaś mi...

- Powiedziałam tylko, że słyszę, co mówisz - ucięła krótko, zaglądając w jego zagniewane oczy. - Nigdy nie obiecywałam, że zostanę w samochodzie.

- Zawarliśmy ustną umowę, opartą na domniemaniu.

Mimo ogromnego napięcia, a może właśnie z jego powodu, Jill uśmiechnęła się.

- Mówisz jak prawnik.

Usta Burke'a powoli rozciągnęły się w uśmiechu.

- Nie zmieniaj tematu. - Przestał się uśmiechać i podniósł jej brodę do góry. - Gdyby ci się cokolwiek przydarzyło, ja... - Nie mógł dokończyć zdania, serce ścisnęła mu lodowata łapa.

- Nic mi się nie stanie - powiedziała dźwięcznym, me-

lodyjnym głosem. - Ale właśnie dlatego muszę iść z tobą. Muszę wiedzieć, że tobie nic się nie stanie. Na razie jeszcze nie przestałam cię kochać, Rawlins.

Jej pełne miłości słowa, bliskość jej ciała, rozpuściły lodowate palce zaciśnięte na jego sercu. Dopomogły w tym również ciepłe promienie słońca. W taki piękny dzień nie może się przecież przytrafić nic złego.

- Nigdy - szepnął - nigdy nie przestawaj mnie kochać.
- Nie - odpowiedziała, kręcąc głową.

Przyglądał się jej twarzy, na której stres odcisnął swoje piętno. Powieki miała obrzmiałe, oczy zaczerwienione, tusz spłynął z rzęs, zostawiając ciemne smugi pod oczami. Po błyszczyku prawie nie zostało śladu na wargach. Mogłoby się wydawać, że ktoś skradł z nich całą czerwień i umiejscowił na czubku nosa. Krótko mówiąc, powinna wyglądać okropnie, a według Burke'a nigdy nie wyglądała piękniej.

- Miałaś cholernie ciężki poranek, prawda? - spytał. Jego podziw dla niej rósł z każdą chwilą.

- Tak. Czemu więc nie pocałujesz mnie, żeby go naprawić?

Pochylił się i musnął lekkim pocałunkiem jej blade wargi, co natychmiast zbudziło w nich apetyt na głębszy pocałunek. Trwali tak przez chwilę, po czym niechętnie rozłączyli wargi.

- Proszę, zrozum, że muszę iść z tobą - szepnęła Jill.
- Dobrze - zgodził się - ale będziesz się przyglądać wszystkiemu z daleka.
- Nie, pozwól mi podrzucić pieniądze.

- Jill...

- Burke, posłuchaj, on spodziewa się kobiety. Twój widok może go spłoszyć.

- On spodziewa się Mary. A ty nie jesteś do niej ani odrobinę podobna...

- A ty jesteś? Poza tym nie musi wiedzieć, jak Mary wygląda.

Burke zwiesił głowę, poddając się i rozejrzał się dokoła.

- Dlaczego nie zaczekamy po prostu na policję...

- Z tego samego powodu, co przed chwilą. Jest dokładnie pora, o której Mary miała dostarczyć pieniądze, a wiesz doskonale, że nie możemy zaryzykować. Musimy go przyłapać.

Burke z ogromną niechęcią musiał przyznać jej rację. Jej rozumowanie było bez zarzutu. Z pewnością nic jej nie grozi w publicznym parku w pełnym świetle dnia. Z pewnością policja zjawi się za parę chwil. Z pewnością brakuje mu piątej klepki, skoro zgadza się na jej plan.

- Dobrze. Ale masz położyć torbę na ławce i natychmiast się oddalić. Wracasz do mnie, słyszysz, Jill? I tym razem bez żadnych numerów. Będę w pobliżu.

- Dobrze.

- Obiecuj.

- Obiecuję, obiecuję. Tym razem zawieramy umowę bez niedomówień.

- Radzę, żebyś jej dotrzymała - powiedział z czułą groźbą w głosie. - W przeciwnym razie dostaniesz po pupie za niedotrzymanie słowa.

- To bardzo interesująca koncepcja kary, panie męce-

nasie - powiedziała, biorąc od niego torbę i ruszając w stronę parku.

Burke obserwował ją, pozwalając zwiększyć dzielącą ich odległość, by nie budzić podejrzeń, że są razem. Z każdym krokiem Jill wydawała się coraz mniejsza, jego obawy natomiast rosły. Mówił sobie, że nic się nie stanie, że to głupota z jego strony denerwować się tak bardzo, że wkrótce będzie już po wszystkim.

Ale niepokój uparcie go nie opuszczał.

Lenny Larimer od razu spostrzegł, że kobieta, idąca w kierunku ławki, to Jill McClain. Zorientował się, że coś poszło nie tak. W pierwszej chwili wpadł w panikę, chciał uciekać. Potem stwierdził jednak, że wszystko może jeszcze potoczyć się po jego myśli. A więc Jill poznała prawdę o swoich rodzicach? I co z tego? Zarozumiała pani mecenas najwyraźniej woli utrzymać w tajemnicy fakt, iż jest nieślubnym dzieckiem. W przeciwnym razie nie przyniosłaby pieniędzy.

Uśmiechnął się i wytarł o spodnie wilgotne ze zdenerwowania dłonie. Spodobał mu się pomysł, by osobiście wymierzyć karę córce Tommy'ego. Sprawić jej ból. Cieszyło go, że to on panuje nad sytuacją. Cieszyło go również, że za chwilę będzie miał pieniądze, które przyniosła.

Była coraz bliżej.

Cofnął się w cień potężnego dębu. Czekał. Patrzył. I nakazywał swemu sercu, by przestało walić tak szybko i boleśnie.

Rozejrzawszy się po parku, zauważył sylwetkę wyso-

kiego mężczyzny w garniturze, spacerującego alejką. Przez króciutką chwilę wydała mu się znajoma, ale to wrażenie rozmyło się pod wpływem napięcia, w jakim się znajdował.

Czy to pod wpływem stresu taki ciężar przygniata mu klatkę piersiową? Czy dlatego brakuje mu tchu? Tak, tak, może przeznaczy część tych pieniędzy na wizytę u lekarza...

Widział, że Jill się rozgląda - czy to jego szuka wzrokiem? - po czym kładzie torbę na pustej ławce. Zawahała się, znów rozejrzała, następnie ruszyła w kierunku, z którego nadeszła. Popatrzyła na mężczyznę, idącego alejką. Nawet z daleka Lenny dostrzegł ulgę, malującą się na jego twarzy. Znali się! Serce omal nie wyskoczyło mu z piersi. Wszystko zostało ukartowane! Przypomniał sobie. Widział tego mężczyznę w sądzie razem z nią! To zasadzka! To...

W polu widzenia ukazało się dwóch umundurowanych policjantów.

Serce Lenny'ego Larimera przestało na chwilę bić...

Wypadki potoczyły się błyskawicznie.

Jill zauważyła policjantów, spojrzała na Burke'a, który coś im pokazywał i odwróciła się. W cieniu korony potężnego drzewa wyczuła obecność mężczyzny. A potem go zobaczyła. Był ubrany w pogniecioną szarą koszulę w kratę. Ich oczy się spotkały. W oczach mężczyzny widniał strach, otępienie, miały barwę nie spełnionych pragnień. Były też zimne jak lód.

Jej oczy, pomyślał z wściekłością Lenny, są identyczne jak Tommy'ego. A może raczej matki? Doskonałe... potępiające. .. doskonale potępiające... potępiająco doskonałe...

„To twoja wina, że zostałeś zdemaskowany”, oskarżał go głos matki.

- Nie - zaskowyczał.

„Zawsze zmuszasz ludzi, żeby sprawiali ci ból”.

- Nie! - wykrzyknął, tym razem głośniej. Serce łomotało mu jak szalone, miał wrażenie, że jeszcze chwila, a wyskoczy mu z piersi.

„Próbowałam cię kochać, ale ty jesteś chory, Lenny... chory... chory...”

- Nie! - wrzasnął, zatykając uszy, co tylko spotęgowało natężenie dźwięku. Teraz był to śmiech. Śmiech matki. Śmiech świata.

Głosy skrzeczały w jego głowie. Kłatkę piersiową przeżywał ból. Ból. Ból. Straszliwy ból.

„Zawsze byłeś niegrzecznym chłopcem... niegrzecznym chłopcem... niegrzecznym chłopcem...”

Lenny Larimer sięgnął po rewolwer, który nosił do pracy każdej nocy. Trzymał go zatknięty za pasek spodni, pod dżinsową kamizelką. Wycelował w kobietę o oczach Tommy'ego, kobietę o śmiechu jego matki, kobietę, która reprezentowała wszystko, czego on nigdy nie miał.

I bez najmniejszych nawet wyrzutów sumienia pociągnął za spust.

- Nieee! - krzyknął rozpaczliwie Burke.

Bezradnie słuchał huku wystrzału, który przerwał ciszę panującą w parku. Bezradnie patrzył, jak Jill pada jak podcięta na ziemię, niczym szmaciana lalka.

Złodowaciał z przerażenia, dosłownie wrósł w ziemię. Spłoszone ptaki wzniosły się w powietrze z trwożliwym krzykiem. Minał ułamek sekundy, a jednocześnie cała wiecz-

ność. Nagle zareagowały jego nogi, choć mózg wciąż był sparaliżowany. Puścił się biegiem. Instynktownie. Rozpaczliwie. Wyprzedził policjantów, ścigających mężczyznę, który wynurzył się z cienia rozłożystego dębu. Znow rozległ się strzał - krótki, ostry, z lewej strony - tym razem z broni jednego z policjantów. Burke zauważył mimochodem, że szantażysta złapał się za nogę i runął na ziemię, wydając okrzyki bólu.

Jill natomiast leżała cicho i nieruchomo na brzuchu. Przerażająco cicho. Jasna plama na zielonej wiosennej trawie. Nasunęła Burke'owi porównanie z piękną, spokojną gołębicą, zestrzeloną przez okrutnego myśliwego.

- Jill? - wyszeptał, padając obok niej na kolana i poruszając wargami w bezgłośnej modlitwie. Boże, błagam cię, nie pozwól... Nawet w myślach nie odważył się wypowiedzieć tego słowa.

Podłożywszy rękę pod jej talię, odwrócił ją delikatnie na plecy. Była bezwładna i blada jak papier, gęste rzęsy kładły się cieniem na niemal przezroczystych policzkach. Jasnoczerwona plama rozlewała się coraz szerzej na jej bluzce.

Serce w nim zamarło.

- Słodki Jezu! - jęknął, przesuwając palcami po lepkiej szkarłatnej kałuży. - Nie... błagam... nie... - Pomyślał przez chwilę, że chyba diabelski los skazał go na wieczną karę. Czy zawsze musi tracić ukochaną osobę? Zdrętwiał cały, odpychając od siebie tę okropną myśl.

Powieki Jill zatrzepotały i uniosły się powoli.

- Jill? - wyszeptał drżącym głosem.

Źrenice zwięzły jej się wskutek szoku, tęczówki przy-

pominały bezdenne jeziora błękitnej wody. Spróbowała się uśmiechnąć, ale wyszło jej to raczej mizernie.

- Czy... zamierzasz...
- Cśś, oszczędzaj siły.
- ...dać mi po pupie... za niedotrzymanie słowa?
- Masz cholerną rację - odpowiedział niepewnym głosem.

- Ja... tylko przystanąłam...

- Cicho, Jill, nic nie mów.

- ...bo pokazałeś...

- Cśś - nakazał jej znowu, sięgając do tylnej kieszeni spodni i wyjmując chusteczkę. Położył ją w miejscu, gdzie, jak przypuszczał, kula weszła w ciało. Gdzieś obok piersi, jej prześlicznej piersi. Gdzieś w pobliżu płuc i serca. Narastała w nim znów panika.

- Burke?
- Co, kochanie?
- Nie powinnam była... zatrzymywać się. On...

Zakasłała i Burke usłyszał nienawistny, bulgocący dźwięk. Dobiegły go głosy z lewej strony.

- Mamo - wołał zamierającym głosem Lenny Larimer.
-Mamo... mamoo...

- Serce bije mu bardzo nierówno - powiedział jeden z policjantów.

- Postrzeliłem go tylko w nogę- odpowiedział drugi.
- Jest zimny i zlany potem. Może to atak serca.
- Wezwę ambulans.
- Sprawdź, co z kobietą.
- Co z nią? - spytał policjant, podbiegając do Burke'a.

- Rana postrzałowa klatki piersiowej. - Głos Burke'a drżał.

- Wezwę ambulans.

- Nie, sam zawiozę ją do szpitala szybciej. - Wziął ostrożnie Jill na ręce. Jęknęła cicho, on zaś poczuł, jak ściska mu się serce. - Trzymaj się, kochanie.

Burke'owi wydawało się, że minęła wieczność, ale nie upłynęły nawet trzy minuty, gdy umieścił ją na przednim siedzeniu. Wiedział, że wygodniej byłoby jej z tyłu, ale nie mógł znieść myśli, że byłaby tak daleko od niego. Zdjąwszy marynarkę, podłożył jej pod głowę. Zamknął drzwi i podbiegł do samochodu od strony kierowcy.

W samochodzie było straszliwie gorąco. Burke sięgnął do torebki Jill w poszukiwaniu kluczyków. Chciał jak najszybciej uruchomić samochód i włączyć klimatyzację. Nie mogąc ich znaleźć, zaklął i wysypał zawartość torebki na siedzenie. Kluczyki wypadły z brzękiem. Włożył wszystko z powrotem do torebki i rzucił ją na tylne siedzenie. Wślizgnął się za kierownicę, nie myśląc nawet przez chwilę o tym, że nie prowadził od wielu miesięcy. Wiedział tylko, że musi zawieźć Jill do szpitala... zanim wykrwawi się na śmierć.

Skrecając ostro, ruszył za wozem policyjnym, który włączył syrenę. Jej przeraźliwy dźwięk sprawiał, że samochody rozstępowały się przed nimi jak Morze Czerwone przed Mojżeszem.

- Czy ja... czy ja umrę? - spytała szeptem Jill w połowie drogi do Szpitala Stanowego.

Burke odwrócił ku niej głowę. Wpółleżała, oparta o drzwi. Oczy miała zamglone, cerę ziemistą.

- Nie! - odparł szorstko. - Nie wolno ci nawet dopuszczać takiej myśli!

- Jeśli umrę - powiedziała, nie zwracając uwagi na jego słowa - chcę, żebyś wiedział...

- Nie, Jill! Wszystko będzie dobrze!

Złapała z trudem oddech.

- .. że kocham cię bardziej...

- Jill, błagam! - wymówił rwącym się szeptem.

- ...bardziej niż kogokolwiek. - Uśmiechnęła się słabo, lecz ze spokojnym zadowoleniem. - Dzięki tobie byłam szczęśliwa.

Czas przeszły, którego użyła, kompletnie go załamał. Próbował wziąć się w garść, uspokoić oddech, zamrugał powiekami, by pozbyć się zdradliwej wilgoci. Nie możesz prowadzić, nic nie widząc! - strofował się w myśli. - Potem możesz się rozkleić. Ale nie teraz! Nie teraz, do diabła!

- Wszystko będzie dobrze - powtórzył, kierując te słowa raczej do siebie niż do niej.

Gdy znów się odezwała, głos miała stłumiony, słowa były niewyraźne, oczy jej zmętniały.

- Myślałam, że to boli... gdy kogoś postrzelą. Aleja... - oblizwała wargi - ja nic... nie czuję.

- Jesteś w szoku - powiedział Burke, nie dodając, że gdy szok ustąpi, będzie błagała o cokolwiek, byle uśmierzyć ból.

- Nie czuję... nic... krwawię... mmm... - jęknęła.

Burke obrzucił ją znów spojrzeniem.

- Trzymaj się, kochanie. To już naprawdę blisko.

- Burke... zaczynam coś czuć... mmm. - Znów jęknęła, krzywiąc się boleśnie.

- Jesteśmy prawie...
- O Boże! - Pałący ból przeszył jej ciało.

Burke zahamował z piskiem tuż przed wejściem do szpitala. Wyłączywszy silnik, otworzył drzwi i praktycznie przeskoczył maskę. Gdy wynosił Jill na rękach z samochodu, ze szpitala wybiegli dwaj mężczyźni w bieli z wózkiem. Jill zanosiła się płaczem, strumienie łez spływały jej po policzkach.

- Burke... to boli. To... O Boże! - wykrzyknęła, chwytając go za rękę, gdy kładł ją na sterylnie czystym prześcieradle. Nawet w tych okolicznościach jej uścisk był tak silny, że niemal zatamował mu przepływ krwi w palcach.

- Jill... - powiedział, biegnąc obok wózka, gdy znaleźli się już na szpitalnym korytarzu. Tłum ludzi w białych fartuchach rozstępował się przed nimi. - Proszę pana, przeskadza pan. Przepraszam...

Ktoś, mający jak najlepsze intencje, rozłączył ręce kochanków.

- Burke! - zawołała Jill rozpaczliwie.
- Jill!

Wózek zniknął za drzwiami z napisem „Sala operacyjna”. „Tylko dla personelu”. Zapadła cisza.

Gdy tak stał pośrodku opustoszałego pokoju, nawiedziło go okropne wspomnienie. Przypomniał sobie, jak stał kiedyś niemal w tym samym miejscu. Pamiętał złowrogą ciszę, przejmujące poczucie bezradności i narastającą trwogę.

Wszystko wygląda tak samo, pomyślał Burke w kilka godzin później, czekając niecierpliwie na wiadomości z sali operacyjnej. W powietrzu unosił się ten sam ostry zapach

środków dezynfekcyjnych, z korytarzy dobiegały przytłumione głosy. Nadzieja i bezradność od wieków siedzą obok siebie w poczekalniach, a towarzyszy im surrealistyczne wrażenie, że czas się zatrzymał.

Niespokojnie, po raz tysięczny z rzędu, Burke wstał z krzesła i podszedł do okna. Czerwone słońce powoli zachodziło, malując niebo kolorami tęczy.

Czerwone.

Jak zaschnięte plamy krwi na jego białej koszuli. Jak rdzawe plamy na jego palcach.

Nie, pomyślał nagle Burke, wcale nie wszystko jest tak samo. Nicole umarła, mając go u boku. Jeśli Jill umrze, umrze wśród obcych. Co gorsza, umrze, nie usłyszawszy nawet od niego, że ją kocha. Dlaczego jej tego nigdy nie powiedział?

- Burke? - usłyszał cichy głos.

Obejrzał się. Była to Mary McClain, blada, z zaczerwienionymi oczyma. Na twarzy miała wypisane cierpienie.

- Może pójdziesz napić się kawy?

- Nie, ja...

- Może ja wam przyniosę? - zaofiarował się Rob, kładąc dłoń na ramieniu Mary uspokajającym gestem. Wyszedł z poczekalni, odprowadzany jej pełnym uwielbienia wzrokiem.

To spojrzenie zwielokrotniło cierpienie Burke'a. Czy jeszcze kiedykolwiek wyczyta miłość i oddanie z twarzy Jill? Odwrócił się z powrotem do okna i zaczął się modlić, choć przysiągł sobie kiedyś, że więcej tego nie zrobi.

- Jak długo to już trwa? - spytała Mary.

Burke spojrział na zegarek.

- Cztery godziny i prawie dziesięć minut. - Całą wieczność, pomyślał z rozpaczą. Czy wszyscy mierzą czas, dopóki Jill nie... Skoncentrował się na słowach pielęgniarki sprzed dwóch godzin temu. Podając im nowe dane na temat operacji, powiedziała, że Jill żyje. Uczepił się tych słów jak tonący brzytwy. Musiał, żeby całkiem nie zwariować.

- To moja wina - usłyszał załamujący się głos Mary.
- Gdybym nie uległa szantażyście, gdybym mówiła od początku prawdę, gdybym...

- Nie - przerwał jej stanowczo Burke. - Nie wolno ci tak myśleć. Uwierz komuś, kto zna wszystkie odcienie słowa „wina”. - Uśmiechnął się słabo. - Nie ponosisz żadnej winy, Mary. Absolutnie żadnej.

Tak samo, jak to, co przydarzyło się Nicole, nie nastąpiło z mojej winy, pomyślał. Ani jej śmierć, ani to, że ja przeżyłem. W tej chwili było to dla niego całkiem jasne.

- Kochasz ją, prawda?

- Tak - odpowiedział ochryplym głosem - ale nigdy jej o tym nie powiedziałem.

- Jeszcze jej powiesz.

Oboje uchwycili się tej nadziei.

Na odgłos kroków, Burke odwrócił się błyskawicznie.

- Przepraszam - powiedział Rob, widząc oczekiwanie na jego twarzy.

Burke westchnął z rozczarowaniem i wziął od niego kubek z parującą kawą.

- Dziękuję - rzekł, upijając łyk wrzątku, co przynajmniej na sekundę odwróciło jego uwagę.

- Jeden z policjantów powiedział mi, że szantażysta zmarł w chwili przybycia do szpitala - poinformował ich Rob. - Podejrzewają zawał.

- Czy wiedzą już... kim był? - spytał Burke.

Rob pokręcił przecząco głową.

- Znaleźli adres w jego portfelu, ale nic poza tym. Sprawdzają.

- Miałem nadzieję, że będzie żył.

- Ja też - zgodził się Rob.

Wszyscy troje byli zgodni również co do tego, że jeśli nie będą mieli wkrótce wiadomości z sali operacyjnej, zaczną krzyczeć. Nikt jednak do nich nie wychodził. Minęła czwarta piętnaście, potem wpół do piątej, piąta, szósta... Burke krążył po pokoju, siadał, znów zaczynał chodzić. Wzdychał, modlił się, przeczesywał palcami włosy. Wreszcie kompletnie stracił cierpliwość.

- Jak długo, do cholery, może trwać operacja? - warknął, zrywając się i zaczynając kolejną rundę po pokoju. - To już prawie...

- Panna McClain?

Wszyscy troje odwrócili gwałtownie głowy w stronę drzwi. Na widok mężczyzny wciąż jeszcze ubranego w zielony strój operacyjny - trzymał w ręku maskę, pot poplamiał przód jego kitla - serce Burke'a zaczęło walić jak młotem.

- Tak - odpowiedziała Mary szeptem, wstając z krzesła. Rob instynktownie przysunął się do niej blisko.

Doktor uśmiechnął się ze znużeniem, lecz uspokajająco.

- Pani córka wyjdzie z tego.

Burke poczuł tak potężną ulgę, że kolana się pod nim

ugięły. Podziałała na niego silniej niż godziny niepewności i nerwów.

- Jakie... jakiego rodzaju obrażenia...? - wymamrotał.

Spojrząwszy na jego pobladłą twarz, doktor uznał, że upoważnia go to do udzielenia odpowiedzi.

- Kula przeszła prawą pierś i skręciwszy w dół, utkwiała w lewym boku. Na szczęście, całkowicie ominęła płuca. Niestety, naruszyła prawą komorę serca.

Ostatnie słowa lekarza spowodowały, że serce Burke'a zaczęło wyprawiać dzikie harce.

- Ale... to brzmi bardzo poważnie - wykrztusił z trudem.

- Niezupełnie. Wystąpił duży krwotok i dlatego operacja trwała tak długo, poza tym szycie jest w tym miejscu sprawą ogromnie delikatną. Prawdę mówiąc - rzekł doktor, zwracając się wciąż przede wszystkim do Burke'a - miała dużo szczęścia. Gdyby kula poszła dwa centymetry wyżej... - Nie dokończył zdania.

Burke dopowiedział sobie w myśli brakujące słowa.

- Dobrze się pan czuje? - spytał nagle doktor, widząc, że Burke, który już był blady, robi się dosłownie biały jak śnieg.

- Tak - odpowiedział tonem, który temu przeczył.

- Może przyniosę panu trochę wody...

Burke odchrząknął, próbując wyrzucić ze swych myśli nienawistną wizję dwóch centymetrów wyżej.

- Nie - odparł szorstko. - Nic mi nie jest.

- Ona wróci do zdrowia - powtórzył doktor. - Jeśli nie nastąpią komplikacje i po odpowiednim okresie rekonwalescencji.

- Czy mogę ją zobaczyć? - spytała Mary.

Doktor był pełen współczucia, lecz nieugięty.

- Jeszcze przez chwilę zostanie na sali operacyjnej, a resztę nocy spędzi w sali intensywnej opieki. - Uśmiechnął się. - Idźcie wszyscy troje do domu, prześpijcie się trochę i wróćcie jutro. Obiecuję, że wówczas pozwolę wam ją zobaczyć.

Choć żadne z nich nie wydawało się szczególnie zachwycone jego decyzją, podporządkowali się jej bez słowa. Po chwili cała trójka opuściła szpital. Był piękny kwietniowy wieczór. Słońce już zaszło, na niebie migotały pierwsze gwiazdy.

- Czy mógłbyś pojechać jej samochodem, Burke? - spytała Mary, po czym przypomniała sobie jego awersję do siadania za kółkiem. - Chyba że...

- Pojadę - rzekł krótko.

- Cóż, pewnie... zobaczymy się jutro.

- Oczywiście - powiedział Burke. - Spróbujcie oboje choć trochę odpocząć. - Wymienili z Robem przyjazny uścisk dłoni, po czym Burke pochylił się i pocałował Mary w policzek. - Dobranoc.

- Dobranoc - odpowiedzieli oboje.

Przez całą drogę do domu Burke czuł, że „to” w nim narasta. Nie był całkiem pewien, co to za uczucie, ale gdy już zaparkował samochód pod swoim blokiem i wyłączył silnik, poczuł ostre symptomy załamania psychicznego.

Omiał jej nie stracić!

Uświadamiając to sobie, zdał sobie również sprawę z brutalnej rzeczywistości - znowu jest bezbronny. Miłość

i niemożność przewidzenia tego, co niesie życie, jeszcze raz postawiły go na wysoko zawieszanej linie bez siatki zabezpieczającej.

„Gdyby kula poszła dwa centymetry wyżej...”

- ... Jill byłaby martwa - szepnął Burke do pustej kabiny samochodu. - Słodki Jezu, Jill byłaby... - Nie był w stanie powtórzyć tego okrutnie brzmiącego słowa.

Ręce zaczęły mu się trząść, sięgnął po marynarkę, która wciąż leżała zwinięta na siedzeniu. Poczował delikatny przyjemny zapach, który pozostał na niej w miejscu, gdzie spoczywała głowa Jill. Dostrzegł też ciemnoczerwoną plamę...

„Gdyby kula poszła dwa centymetry wyżej...”

Zamknął oczy, próbując zapanować nad uczuciem trwogi, które ścisnęło go za gardło i powodowało zamieranie serca. Zagrażało jego zdrowiu psychicznemu. Nagle zrozumiał, jak musi postąpić.

Spróbuj jej wytłumaczyć, jakimś sposobem ją przekonaj, że kocha ją tak bardzo, że musi zniknąć z jej życia.

Powoli wracała jej przytomność - w przebłyskach światła, odpryskach dźwięków, spazmach bólu. I w strzępach świadomości, że Burke siedzi przy jej łóżku. Za każdym razem, gdy trochę przytomniała, dostrzegała jak przez mgłę znajomą sylwetkę. Wystarczyłoby wyciągnąć rękę... Czasami wydawało jej się, że Burke coś do niej mówi, ale były to rzeczy, których nie rozumiała, coś o dwóch centymetrach i chodzeniu po linie bez siatki zabezpieczającej, o strachu, tchórzostwie i przebaczeniu.

Czwartego dnia po operacji, w dżdżyste piątkowe po-

południe, Jill otworzyła oczy. Naprawdę otworzyła oczy. Zobaczyła biały pokój. Usłyszała cichy stukot deszczu o szyby. Poczowała zapach... róż? Przekreśliła głowę na bok i spostrzegła pańskie wonne kwiaty w pełnym rozkwicie. Ten ruch wywołał grymas bólu na jej twarzy, dotknęła ręką ciasno obandażowanej piersi. Powoli wracała pamięć, skąd się tu wzięła, co się wydarzyło. Strzał. Park. Burke, niosący ją na rękach. Burke. Gdzie jest...? Jej oczy powędrowały w kierunku szelestu gazety.

Wygląda na zmęczonego, pomyślała, jak gdyby nie spał od wielu godzin i zamartwiał się. Chyba zeszczuplał, policzki mu się zapadły. Mimo to nigdy nie wyglądał lepiej.

- Cześć - szepnęła, czując ostry ból, przesywający gardło.

Burke podniósł oczy. Gazeta ześlizgnęła mu się z kolan na podłogę.

- Jill?

- Nie masz nic lepszego do roboty... - przerwała, by złapać oddech - ..niż włączyć się po szpitalach?

Nie odpowiedział. Z troską w oczach wstał i podszedł bliżej do łóżka.

- Jak się czujesz?

Jill uśmiechnęła się słabo.

- Nie... nie wiem. - Przesunęła czubkiem języka po spieczonych wargach. - Czy mogłabym... dostać trochę wody?

Burke nalał wody z karafki do szklanki. Włożył do niej słomkę i zbliżył do ust Jill. Pociągnęła łyk. Dobra. Pyszna. I chłodna. Tak cudownie zwilżyła wysuszone od leków usta.

- Chcesz jeszcze?

Pokręciła głową i zmęczona wysiłkiem, wtuliła z powrotem głowę w poduszkę.

- Boli cię? - spytał, spoglądając jej bacznie w oczy.

Zastanawiała się przez chwilę nad odpowiedzią.

- Nie - rzekła w końcu, kręcąc znowu głową. - Burke...

- Co, kochanie?

- ...czy ja wyzdrowieję?

- Tak. Kula drasnęła ci serce... - Na widok jej przestraszonej miny, dodał pośpiesznie: - To brzmi gorzej niż jest w rzeczywistości. Doktor zapewnił nas, że nic ci nie będzie. - Jej twarz wciąż wyrażała niepokój. - Nie okłamałbym cię.

Rozpogodziła się.

- Nie - powiedziała z uśmiechem pełnym ulgi - nie zrobiłbyś tego.

- Chcesz, żebym ci coś przyniósł? Coś do picia? Coś do jedzenia? Coś...

- Nie - przerwała mu. - Czy złapali tego mężczyznę?
- Zanim zdążył odpowiedzieć, dodała: - To ten sam, którego widziałam w sądzie.

- Zmarł na zawał w chwili przybycia do szpitala.

- Kim on był?

- Nazywał się Leonard Larimer. Był kuzynem twojego ojca. - To pokrewieństwo nie przestawało zdumiewać Burke'a, podobnie jak własna głucha nienawiść do szaleńca.

- Kuzynem? Nie rozumiem. Dlaczego...

- Policja wciąż próbuje to ustalić. Nie zaprzataj sobie tym głowy. Poczekaj, aż nabierzesz sił. - Odgarnął jej kos-

myk włosów z twarzy, przyglądając się jej badawczo, szukając najdrobniejszych oznak jej dobrego samopoczucia.

- Nie patrz na mnie - powiedziała, chowając twarz w poduszce. - Muszę okropnie wyglądać.

- Nie - zaprzeczył, odwracając delikatnie jej twarz ku sobie. - Nigdy nie wyglądałaś... piękniej.

Czując dotyk ciepłych palców Burke'a na brodzie, widząc czułość w oczach, Jill oddałaby duszę za jego pocałunek. Założyłaby się o każdą sumę, że Burke pragnął tego samego. A jednak tego nie uczynił. Wytłumaczyła sobie, że to ze względu na jej stan.

- Kto przysłał mi kwiaty? - spytała, spostrzegając, że paśowe róże to tylko czubek góry kwiatowej.

- Stokrotki są od całej paczki z pracy, żółte róże od taty, a to coś - powiedział, wskazując na roślinę o pomarańczowych kwiatach...

- Kalanchoe - podpowiedziała z uśmiechem.

- Kalanchoe jest od Mary i Roba - uśmiechnął się również Burke.

- Jak ona się czuje? - spytała Jill, poważniejąc.

- Dobrze. Martwiła się o ciebie. Będzie tu później, wieczorem.

Uczucia Jill były mocno pogmatwane. Z jednej strony wciąż myślała o Mary jako o siostrze - i zawsze będzie. Z drugiej jednak budziło się w niej inne uczucie - jakim dziecko darzy matkę.

- A czerwone róże? - spytała, odkładając problem Mary na później. - Od kogo są? - Zajrzała Burke'owi w oczy czekając na odpowiedź.

- Od pewnego faceta, który wprost odchodził od zmysłów - rzekł drżącym głosem.

Wydało jej się nagle, że minęła cała wieczność od chwili, gdy dotykała go po raz ostatni. Musi to zrobić natychmiast albo umrze na miejscu. Powoli uniosła rękę - była tak ciężka, że z trudem jej się to udało - i przytuliła ją do policzka Burke'a.

Poczuła, jak zaciska szczęki pod jej dotknięciem, jak przebiega go drzenie, a w oczach odbijają się gwałtowne emocje. Nakrył jej delikatną dłoń swoją, przysunął do ust i pocałował.

- Omal cię nie straciłem - powtarzał w kółko szeptem, zasłoniwszy sobie oczy jej dłonią. - Omal cię nie straciłem. O Boże, omal cię nie straciłem.

Jill wyciągnęła drugą rękę i położyła ją na jego pochylonej głowie. Oboje milczeli. Jill odniosła nagle wrażenie, że pomimo wszystkiego, co przeżyła, była w lepszej formie od Burke'a.

Mimo to nazajutrz wieczorem zaczęła po raz pierwszy podejrzewać, że dzieje się coś niedobrego. Burke spędził z nią większość dnia i chociaż wszystko wydawało się z pozoru normalne, wyczuwała, że coś się zmieniło w ich stosunkach, czego nie potrafiła określić. Zdawał się... oddalać od niej. Bez wątplenia robił wszystko, byle jej tylko nie dotknąć. I ani razu jej nie pocałował, choć przytapała go na tym, że wpatruje się głodnym wzrokiem w jej usta.

O ósmej ostra, surowa i nieubłagana siostra kazała Burke'owi opuścić pokój.

- Myślę, że daje mi do zrozumienia, że powinienem już sobie pójść - powiedział, uśmiechając się.

- Panna Subtelna - podchwyciła Jill, choć jej uśmiech mówił, że jest zmęczona.

Burke zauważył jej znużenie i poczuł się winny.

- Jesteś wyczerpana. Powinienem być wyjść wcześniej.

- Nie!

Namiętny ton, jakim wymówiła to jedno słowo, wytworzył między nimi natychmiast intymną atmosferę. Oczy Burke'a zdradziecko ześlizgnęły się z jej oczu na usta. Przewyciężył palącą potrzebę pocałowania jej, pochwyce-
nia w objęcia.

- No, to dobranoc - powiedział zduszonym głosem.

- Burke?

Zawahał się, omotany srebrzystą jedwabną pajęczyną, którą rozsnuła tak bez najmniejszego wysiłku.

- Pocałuj mnie na dobranoc.

Czas się zatrzymał. Jill czekała. Burke cierpiał. Wreszcie pochylił głowę i dotknął jej warg w bezosobowym, nader powściągliwym pocałunku. Przypomniało jej to tamtą chwilę, gdy pocałowała go po raz pierwszy. Wtedy jednak rozumiała jego opory. Teraz nie.

- Burke?-szepnęła drżącymi wargami, domagając się wyjaśnienia. Z konieczności rozchyliła je, owiewając usta Burke'a ciepłym, wilgotnym oddechem. Ich języki się spotkały.

Burke był zgubiony. Jęknął i pozbywszy się wszelkich hamulców, pocałował ją namiętnie. Tulił ją w objęciach jak szaleniec, rozpaczliwie, choć delikatnie. W jego uścisku wyczuwało się... strach. Strach, który zakradł się również do serca Jill.

Znaczący kaszel, który dobiegł od drzwi, przerwał na-

gle pocałunek. Burke wyszedł, cały rozdygotany. Jill była zażenowana.

Nazajutrz rano, pierwszego maja, nie wytrzymała i spytała go:

- Co się stało?

Burke odwrócił się od okna, przez które wyglądał w milczeniu.

- Co masz na myśli?

- Dzieje się coś niedobrego - powiedziała, wspierając się o świeżo poprawione poduszki. - O co chodzi?

Serce Burke'a zaczęło bić jak szalone.

- Nic się nie...

- Obiecałeś, że nie będziesz kłamał, pamiętasz?
- przerwała mu Jill.

Była świeżo wykapana, miała na sobie różową koronkową koszulę, którą Mary przyniosła jej poprzedniego dnia. Włosy miała związane na czubku głowy taką samą wstążką. Burke pomyślał, że wygląda jak mała dziewczynka, którą należy chronić, a nie ranić.

- Zasługuję na to, żeby znać prawdę - nalegała.

Prawda. Cóż to jest prawda? Coś nieuchwytnego, pomyślał Burke. Czy jest nią fakt, że nie ma odwagi jej kochać? Że musi ją zranić, żeby uratować samego siebie? Że naprawdę robi jej przysługę, ponieważ zasługuje na znacznie więcej, niż on jest w stanie jej ofiarować? Odwrócił się z powrotem do okna, próbując nie widzieć, jaka jest śliczna, zignorować wyzwanie w niebieskich oczach.

- Burke? - powiedziała, nie dając za wygraną.

Nie odpowiedział. Chciał poczekać z wiadomością o swoim wyjeździe, dopóki nie będzie silniejsza. Silniejsza. Może ta nieuchwytna prawda polega na tym, że Jill, nawet złożona niemocą, ciężko ranna, jest silniejsza od niego. Ponieważ on jest zwyczajnym tchórzem.

- Postanowiłem znowu wziąć urlop - usłyszał swój napięty głos.

Jill poczuła, jak przejmuje ją chłód. Podczas długiej, długiej nocy, gdy myślała o rozpaczliwym, przepełnionym strachem pocałunku Burke'a, zakiełkowało w jej duszy podejrzenie, które natychmiast jednak odrzuciła, było bowiem zbyt bolesne.

- Dlaczego? - spytała szeptem.

- Wracam... wracam na Cape Cod.

A więc jej podejrzenie było, niestety, słuszne.

- Uciekasz - powiedziała apatycznie.

- Tak! - przyznał wprost, szorstko, przeczesując palcami włosy. - Uciekam. - Myślamy był gdzieś daleko stąd. Wreszcie westchnął i rzekł, czując wstręt do samego siebie: - Jill, nie oczekuję, że mnie zrozumiesz. Nawet cię o to nie proszę.

- Przekonaj mnie. - W jej głosie było błaganie, a jednocześnie żądanie. - Skoro odchodzisz z mojego życia, muszę zrozumieć, dlaczego.

- Ponieważ jestem tchórzem - odpowiedział bez wahania.

- Nie wierzę w to.

- Uwierz, ponieważ to prawda. - Podświadomie, pragnąc jej bliskości, podszedł do łóżka. - Kiedy... - Prze-

rwał, jak gdyby to, co chciał powiedzieć, było zbyt bolesne. - Kiedy straciłem Nicole, myślałem, że tego nie przeżyję. Przez długi czas nawet nie chciałem. Nigdy się nie spodziewałem, że jeszcze kiedyś kogoś pokocham. A potem w moim życiu zjawiłaś się ty. Sprawiałaś, że znów poczułem, że... żyję. *Że...*- Oczy mu zwilgotniały. - O Boże, Jill, tak bardzo cię kocham - wyszeptał.

W oczach Jill również zabłyśły łzy. Cóż za ironia losu! Czekwała na te słowa z utęsknieniem. I w końcu je usłyszała, tyle że w zupełnie nieodpowiedniej chwili.

- Czemu więc mnie opuszczasz? - spytała, znając odpowiedź, zanim jeszcze ją usłyszała.

- Ponieważ omal cię nie straciłem - powiedział. Słowa przechodziły mu z trudem przez zaciśnięte wargi.

- Jeśli odejdziesz, stracisz mnie tak czy owak.

- To nie to samo.

- Doprawdy?

- Nie! - wykrzyknął, po czym dodał, ścisząc głos:

- Nie, to nie jest to samo. Jill - rzekł błagalnym tonem

- zrozum, ja nie przeżyję po raz drugi utraty kogoś bliskiego. Nie zdołam pochować... - Słowa nie chciały mu przejść przez usta.

- Boję się - wyznał, śmiejąc się szyderczo z samego siebie. - To niezbyt heroiczne, ale to prawda.

- Co zatem zamierzasz zrobić? Uciec i wygodnie zapomnieć, że mnie kochasz?

- Spróbuję. Muszę.

Starły się spojrzenia zielonych i niebieskich oczu.

Wydaje się taki bezbronny, pomyślała, z sercem na dłoni i przytłaczającą go przeszłością.

Wydaje się taka bezbronna, pomyślał, blada i piękna, zraniona jego okrutnymi słowami.

- Nie proś mnie, żebym został - błagał ją szeptem - ponieważ nie potrafię ci niczego odmówić, a tym razem, unieszczęśliwiłoby to nas oboje.

Unieszczęśliwiłoby! Jill nie wyobrażała sobie, żeby mogła być bardziej nieszczęśliwa niż w tej chwili. A jednak przez miłość do Burke'a nie chciała być przyczyną jego cierpienia. Jeśli bez niej będzie szczęśliwszy, to musi pozwolić mu odejść. Czemu więc pragnie błagać go na kolanach, żeby został? Uśmiechnęła się słabo, powstrzymując łzy.

- Miłość nie jest więzieniem, Burke. - Głos jej się załamał. - Jest wyzwoleniem.

W pokoju panowała cisza, słyhać było tylko bicie ich serc. Serc przepełnionych bólem.

Podszedł blisko do łóżka, splótł palce z jej palcami i delikatnie podniósł jej dłoń do ust. Nie pocałował jej, trzymał po prostu przy swych ciepłych, drżących wargach. Oczy miał zamknięte, jak gdyby gromadził pod powiekami wspomnienia na długie, samotne noce.

- Nie można uciec od miłości - powiedziała wreszcie cicho Jill. - Nawet gdybyś przemierzył biegiem cały świat, całe piekło i niebo, nie uda ci się uciec od miłości.

Nie zaprzeczył. Położył delikatnie jej rękę na łóżku i powoli, lecz nieodwołalnie - Jill miała uczucie, że za chwilę umrze! - rozłączył ich palce. Przez jedną krótką chwilę patrzył na nią załzawionymi oczami, po czym, nie oglądając się, wyszedł z pokoju... i z jej życia.

Jill nie płakała. Nie mogła. Była zbyt odrętwiała. W milczeniu znosiła ból serca, który nie miał nic wspólnego z odniesioną raną.

Po południu przyniesiono jej jedną czerwoną różę z bi-
lecikiem, na którym widniały dwa słowa: „Przebacz mi”.
Dopiero wtedy się rozpłakała, łzy padały z jej oczu na
aksamitne płatki niczym ogromne krople rosy. Nie potrafi-

ła znaleźć pocieszenia w niezaprzeczalnym fakcie, że gdyby Burke kochał ją mniej, nie byłaby teraz sama.

Ten fakt nie stanowił dla niej pociechy również podczas długich dni, które nastąpiły. Prawdę mówiąc, nic nie było w stanie jej pocieszyć. Jill czuła się, jak gdyby wycięto wielką dziurę w jej sercu, w jej życiu, której nic już nigdy nie zapełni. Początkowo wierzyła - prawdopodobnie dlatego, że trzymało ją to przy życiu - że Burke się opamięta, ale gdy mijał dzień za dniem, samotna noc za nocą, musiała pogodzić się z myślą, że być może nie zmieni swej decyzji. Och, niewykluczone, że wróci do Bostonu, ale z każdym dniem stawało się bardziej nierealne, że wróci do niej. Zadawała sobie wciąż pytanie: Jak ma żyć bez niego?

Musi zająć się pracą.

Jak miała to jednak zrobić, leżąc w szpitalu? Stawała się coraz bardziej niecierpliwa, toteż trudno powiedzieć, kto był bardziej szczęśliwy, gdy ją wypisano po trzech tygodniach pobytu - ona czy personel szpitala. Od początku lekceważyła zalecenia lekarza, który zastrzegł, że nie wolno jej się przemęczać. Musiała ustąpić i pozostać w łóżku, tylko dlatego że Mary wzięła wcześniejszy urlop, przeprowadziła się do jej mieszkania i zagroziła, że ją zwiąże, jeśli nie będzie posłuszna. Z konieczności Rob i Mary musieli odłożyć swoje małżeńskie plany. Ponieważ było to kolejnym powodem zmartwienia Jill, pracowała więc coraz intensywniej nad materiałami przeschmugłowanymi z pracy.

Do pierwszego czerwca Jill straciła przeszło pięć kilogramów, cierpiała na bezsenność i wpadała w irytację tak często, że wszyscy zwątpili, iż kiedykolwiek odzyska zwy-

kłą pogodę ducha. Przez ten cały czas, we dnie i w nocy, nie było minuty, żeby nie zastanawiała się, co w tej chwili robi Burke. Ta właśnie myśl zaprzętała jej głowę podczas upalnej nocy pierwszego czerwca.

Dziewięćdziesiąt kilometrów na południe od Bostonu, w małym domku na plaży, Burke wpatrywał się w nietkniętą szklaneczkę bourbona, stojącą na stole. Przez otwarte okno wpadał ciepły powiew letniego wiatru, poruszając zasłonami i przynosząc aromat sosen oraz morza. Atlantyk śpiewał swą odwieczną pieśń. Burke jednak nie słyszał nic poza niemyim wezwaniem, płynącym od szklanki z bourbonem... i nie dającymi mu spokoju słowami Mary McClain. To one spowodowały, że napełnił szklanekę bursztynowym płynem. Musiał teraz odpowiedzieć na pytanie: Kto jest silniejszy? Alkohol czy on?

Wracając na Cape Cod, poprzysiągł sobie, że nie będzie topił swoich smutków w kieliszku. Nie popełni po raz drugi tego samego błędu. Aż do dnia dzisiejszego dotrzymanie słowa przychodziło mu bez trudu. Gdy rozmawiał raz w tygodniu z ojcem, odnosił wrażenie, że Jill jakoś daje sobie radę. Powoli wciągała się z powrotem do pracy, prosząc, by przysyłano jej materiały do domu. Jednakże dzisiejszego wieczora, z powodu, którego sam dobrze nie rozumiał, chciał rozproszyć swoje wątpliwości. Zadzwoił do domu Jill mając nadzieję, że to Mary odbierze telefon. Rzeczywiście tak się stało.

- Co chcesz ode mnie usłyszeć, Burke? - spytała uprzejmie, ale nie zamierzając go oszczędzać. - Że Jill

czuje się dobrze? No cóż, niestety tak nie jest. Och, oczywiście, rana po postrzale goi się dobrze, ale Jill jest w godnym pożałowania stanie. Nie je, zapracowuje się na śmierć wbrew zaleceniom lekarza, nie może spać i choć stara się nie płakać przy mnie, oczy ma wiecznie zaczerwienione. - Nastąpiła długa przerwa, po czym Mary dodała tonem pełnym skruchy: - Przepraszam, nie mam prawa...

- Przypominać mi, że jestem sukinsynem? - wyszeptał Burke w ciszę pokoju. Nie spuszczał oczu ze szklanki. Lód prawie się już rozpuścił w bursztynowym płynie.

Prawda jest taka, pomyślał, że sam jest w nie lepszym stanie od Jill. A może nawet gorszym. Nigdy w życiu nie czuł się bardziej nieszczęśliwy. Prawie nie sypiał, mało jadł. Ona przynajmniej mogła zabić czas pracą. I wypłakać się. Boże, jakże jej zazdrościł!

A jednak, mimo swego cierpienia, mimo wyrzutów sumienia z powodu cierpienia, które jej zadał, uważał, że postąpił słusznie, odchodząc. Po jakimś czasie zapomni o niej. Czemu więc nie miałby teraz skorzystać z gotowego pocieszenia, które stało na stole?

Gładził palcami chłodną, oszronioną szklankę, jak gdyby pieścił ukochaną kobietę. Podniósł ją do ust, ale nie wypił nawet łyka. Postawił ją z powrotem na stole, odsunął z szurgotem krzesło i wypadł z domu na plażę. Biegł tak długo, aż ciało spłynęło mu potem, podobnie jak nietknięta szklanka bourbona pokryła się smużkami skroplonej pary.

Tym razem Burke był silniejszy, nie uległ pokusie.

Jedyną rzeczą, silniejszą od niego, była pamięć o Jill.

W połowie drugiego tygodnia czerwca, w piękne letnie popołudnie, jowialny policjant o pyzatej twarzy z podwójnym podbródkiem przyniósł Jill kartonowe pudełko. Wewnątrz znajdował się dobytek zmarłego Leonarda Larimera, który nie pozostawił po sobie żadnych krewnych, z wyjątkiem -jak na ironię! - Jill McClain.

Przy odrobinie wyobraźni można było odtworzyć sobie całą historię. Wszystko zaczęło się od listu Margaret McClain do Maude Larimer i choć nikt nigdy się już nie dowie, w jaki sposób Maude odkryła prawdę o ciąży Mary - czy Margaret jej powiedziała? Czy Maude okazała się tak domyślna? - było jasne, że poprosiła, by poinformować ją o narodzinach dziecka jej siostrzeńca. Między wierszami można było wyczytać, że nie zamierzała nigdy wtrącać się do życia matki ani dziecka i postanowienia dotrzymała. Zupełnie inaczej wyglądała sprawa w przypadku Leonarda Larimera. Choć motywacja szantażu była mroczna, dawało się ją wyczytać z notatek na marginesach listu i na nekrologu w gazecie. Świadczyły one dobitnie, że Leonard Larimer żywił do matki dziwne uczucie miłości pomieszanej z nienawiścią. Poza tym miał obsesję na punkcie doskonałości Tommy'ego Wilsona. Łatwo wyciągnąć wniosek, że postanowił wyrzucić swą nienawiść na Mary i Jill, wyłącznie dlatego że były z nim związane. W ten sposób brał odwet za swoje frustracje. Niestety, a może na szczęście, Jill nie znała wszystkich niuansów motywacji chorego psychicznie mężczyzny i wiedziała, że ich już nie pozna.

Wiedziała też, że odzyskano niemal wszystkie wyłudzone pieniądze i że trzymając w dłoniach Medal Honor-

wy, jedyne ogniwo łączące ją z ojcem, doznaje ciepłego, trwożliwego uczucia. Mówił jej o miłości, poświęceniu, odwadze.

Odwaga.

Tchórzostwo.

Burke uważał się za tchórze. Była pewna, że się myli, ale jak miała go o tym przekonać? Podobnie jak była pewna, że wbrew swemu postanowieniu powinien z nią być, dzielić z nią noc, dzielić życie. Znajomy ból usadowił się w jej klatce piersiowej, łzy popłynęły z oczu. Czy kiedykolwiek przestanie cierpieć? Czy kiedykolwiek się pozbiera?

Słyszac, że Mary wchodzi do sypialni, szybko wytarła nos i przywołała na usta zbyt promienny uśmiech.

- Cześć - powiedziała, kładąc medal na szafce nocnej.

Mary zawahała się, po czym podeszła do niej i przysiadła na brzegu łóżka. Jej wzrok automatycznie powędrował ku medalowi. Powiedziała to, co mówiła zawsze, gdy przypominała sobie, co wycierpiała Jill... Fakt, że to krewny dokonał zamachu na jej życie nie tylko gniewał Mary, lecz budził w niej poczucie winy, którego nie potrafiła wytłumaczyć nawet sobie.

- Tak mi przykro, że Leonard...

- Przecież to nie twoja wina. Nie możesz obciążać siebie odpowiedzialnością za postępkę Leonarda Larimera.

- Wiem, ale...

Jill wzięła ją za rękę.

- Ale co? Gdybyś nie zakochała się, mając szesnaście lat? Gdyby mężczyzna, którego pokochałaś nie miał kuzyna? - Ścisnęła mocno jej dłonie. - To nie twoja wina.

I chyba w pewnym sensie nawet nie jego. Żaden sąd nie uznałby, że jest wystarczająco zdrowy psychicznie, żeby ponosić odpowiedzialność karną.

- Cieszę się, że on nie żyje - powiedziała Mary. - Czy to nie okropne, co powiedziałam?

- Łatwo to zrozumieć. - Jill sama nie mogła się połapać w swoich uczuciach wobec mężczyzny, który próbował pozbawić ją życia. W każdym razie nie była to nienawiść. Raczej litość. Odczuwała też osobliwą wdzięczność za lekcję, jakiej udzielił jej obcy w chwili, gdy najbardziej tego potrzebowała. Zrozumiała, jak ważne było to, że najpierw poznała swoją matkę poprzez przyjaźń i miłość. Mimo że musiała przystosować się do nowej sytuacji, nie grozi jej nienawiść, jaką Leonard Larimer czuł do swojej matki.

Chciała powiedzieć o tym Mary, podzielić się wszystkim, co miała na sercu, ale nie nadszedł jeszcze właściwy czas, choć bez wątplenia był już bardzo blisko.

- Mary - powiedziała, obrzucając spojrzeniem medal leżący na szafce - jeśli zależy ci na tym, żeby go zatrzymać...

- Nie - odrzekła szybko Mary. - Chcę, żebyś ty go miała. Twój ojciec z pewnością życzyłby sobie tego. - Jak zwykle, gdy była mowa o ojcu Jill, obie poczuły narastające emocje. Mary szybko zmieniła temat. - Jesteś pewna, że dasz sobie radę, jeśli wrócę jutro do domu?

- Absolutnie pewna. Czy lekarz nie powiedział, że mogę prowadzić normalne życie?

- Prawie normalne - sprostowała Mary.

- Wracaj do domu - uśmiechnęła się szczerze Jill.

- Próbujesz się mnie pozbyć, co? - przekomarzała się z nią Mary.

- Tak.

- Płakałaś - powiedziała Mary, poważniejąc.

- Miałaś tego nie zauważyć.

- Ale zauważyłam. - Nie dodała, że przed matczynym okiem nic się nie ukryje, ponieważ wciąż trudno im się rozmawiało o ich prawdziwym pokrewieństwie. Wiedziała jednak, że nadejdzie czas, gdy będą mogły i chciały o tym rozmawiać.

- Nic mi nie jest, Mary - uspokoiła ją Jill. - Naprawdę, nic... -Z jej oczu znowu popłynęły łzy. Długie tygodnie cierpienia, świadomości, że Burke nigdy do niej nie wróci, zrobiły swoje.

Mary przytuliła córkę do siebie. Jill poddała się chętnie jej uściskowi, spragniona pocieszenia.

- Cicho, cicho - szeptała Mary, kołyszając ją w ramionach.

- To boli. Tak bardzo boli.

- Wiem.

- Ja... ja go tak kocham.

- On też cię kocha.

- Ale nie dosyć. Nie dosyć.

Ból.

Całe ciało Burke'a pulsowało z bólu. Był do cna wyczerpany bieganiem. Bolała go klatka piersiowa, nogi, miał wrażenie, że boli go nawet broda, okalająca jego twarz. Mimo to biegł dalej. Błagał huczący ocean, by mu pomógł

zapomnieć uśmiech Jill. Błagał czarna jak heban noc, by pomogła mu zapomnieć smak jej ust. Błagał okragły, jasny księżyc, by mu pomógł zapomnieć, jak trzymał ją w ramionach.

Nadaremnie.

Co ona teraz robi?

O czym myśli?

Czy go zapomniała?

„Nie można uciec od miłości...”

Tak, można. On musi od niej uciec.

Biegł po mokrym piasku, torturując swoje ciało, doprowadzając je do granic wytrzymałości. Podobnie jak torturował swoją duszę.

Obraz Jill o łagodnych oczach i wargach obrzmiałych od jego pocałunków, nie opuszczał jego pamięci. Widział, jak się śmieje, czesze gęste, puszyste włosy, płacze. Widział, jak stoi pod prysznicem, przy bufecie kuchennym, jak gotowa jest stanąć u jego boku na całe życie.

- Jill! - wykrzyknął, potykając się, po czym upadł na kolana. Serce waliło mu jak młotem, z trudem chwycił oddech. Słone łzy wypełniły mu oczy i spłynęły po zaróżnionych policzkach.

Płakał, klęcząc na mokrym piasku, z głębi serca, z głębi duszy. Po raz pierwszy, odkad opuścił Jill. Chłodny, słony wiatr owiewał mu twarz, powtarzając szyderczo słowa Jill: „Nie można uciec od miłości, nie można uciec od miłości...”

Gdy już zabrakło mu łez, a noc miała się ku końcowi, dokonał wstrząsającego odkrycia. Jeszcze raz udało mu się przeżyć.

W sobotę, późnym popołudniem, Mary i Rob wzięli ślub w kościele pełnym przyjaciół i kwiatów.

Mary, w białoniebieskiej szyfonowej sukni, z wiązaną białoróżowych orchidei, szła sama długim przejściem między ławkami. Rob wyszedł jej na spotkanie, tym samym zobowiązując się symbolicznie, że zawsze będzie ją spotykał w pół drogi. Następnie, z czułością widoczną dla wszystkich zebranych, poprowadził pannę młodą do ołtarza dwustuletniego kościoła. Stanęli między uśmiechniętą Jill a zdenerwowanym drużbą - dziewiętnastoletnim synem Roba.

Powitawszy wszystkich, pastor zaczął recytować głębokim barytonem tekst małżeńskiej przysięgi. Jego głos odbijał się echem w ogromnym kościele.

- Czy ty, Robercie Donaldzie Sheffield, bierzesz Mary Elaine McClain za prawowitą małżonkę...

Rob popatrzył z głęboką miłością w oczy stojącej u jego boku kobiety... a serce Jill przeszył nagły ból. Ileż to razy Burke patrzył na nią w taki sam sposób? Ile razy jego ciało mówiło jej to, czego nie da się wyrazić słowami? Co robi w tej chwili? O czym myśli? Jak się czuje? Boże, proszę, spraw, żeby nic mu się nie stało. ...

- Czy ty, Mary Elaine McClain, bierzesz Roberta Donaldza Sheffielda za prawowitego małżonka...

Jill przyglądała się łagodnej, pełnej miłości twarzy Mary i myślała, jak bardzo zasługuje na swoje szczęście. To właśnie łyzy szczęścia błyszczały w jej brązowych oczach. Jill poczuła, jak jej oczy również wzbierają łzami pod soczewkami kontaktowymi. Były to łyzy radości i smutku.

Cieszyła się szczęściem Mary, a jednocześnie smuciła się, że ona sama nie stanie przed ołtarzem z mężczyzną, którego kocha.

- Mogę prosić obrączki?

Nieobecna duchem Jill oprzytomniała w samą porę, by wziąć od Mary ślubną wiązanę. Przez krótką chwilę Mary badała wzrokiem twarz córki, szukając oznak zmęczenia. Jill uśmiechnęła się uspokajająco.

Wśród zebranych gości rozległy się tłumione, lecz zaraźliwe śmiechy, gdy ogarnięty paniką drużba nie mógł znaleźć obrączek. Odruchowo Jill spojrzała w kierunku, skąd dobiegały śmiechy, i uśmiechnęła się również. Daleko, w tylnej części kościoła, w sporej odległości za ludźmi zajmującymi frontowe ławki, dostrzegła sylwetkę mężczyzny, który dopiero wszedł do kościoła i usiadł w ostatnim rzędzie. Pomyślała, że to pewnie jakiś spóźniony gość. W chwilę później zaczerwieniony drużba wyciągnął wreszcie obrączki z kieszeni spodni i ceremonia potoczyła się dalej w nastroju powagi.

- Ta obrączka jest symbolem obietnicy...

Jill nie potrafiła przestać myśleć o tym, że ona nigdy nie będzie nosiła obrączki Burke'a. Nigdy więcej nie zaśnie w jego ramionach. Nigdy nie urodzi mu dzieci. Nigdy... Przestań! - zganiła się w myśli. Jak można tak się wciąż katować?

- Na mocy nadanej mi władzy, ogłaszam was mężem i żoną. Co Bóg złączył, tego niech człowiek nie rozłączy. Możesz pocałować pannę młodą.

Jill przyglądała się, jak Rob pochyla głowę, żeby poca-

łować żonę, jak spotykają się ich wargi. Ciepło rozlało się po jej ciele, gdy przypomniała sobie dotyk warg Burke'a. Nigdy nie zapomni tych czarodziejskich chwil.

Rob oderwał się wreszcie od spłonionej Mary, która odwróciła się do Jill i wzięła od niej z powrotem wiązanekę.

- Bądźcie szczęśliwi - szepnęła Jill, całując ją w policzek.

- Będziemy - odpowiedziała Mary, obdarzając córkę krótkim uściskiem, po czym ujęła męża pod ramię i ruszyła z nim ku wyjściu długim przejściem.

Przełożywszy swoją wiązanekę, skomponowaną z białych goździków i żółtych pąków róż, do prawej ręki, Jill wsparła się na ramieniu drużby i podążyli za świeżo poślubioną parą. Chętnie skorzystała z silnego męskiego ramienia, bowiem poczuła się nagle zmęczona. Pod suknią w kolorze szampana blizny się wprawdzie goiły, ale jej siły życiowe wciąż były osłabione. Zastanawiała się, ile ma to wspólnego z jej stanem napięcia psychicznego.

Mijając trzeci rząd ławek, napotkała wzrok Andrew Rawlinsa, siedzącego obok Idy Tumbrello. W jego zielonych oczach, tak bardzo przypominających oczy syna, malował się smutek. Wiedziała, że on również boleje nad całą tą sytuacją. Uśmiechnęli się do siebie ciepło. Zauważyła, że Ida poklepała go czule po rękę. Byłoby wspaniale, gdyby plotki o tym, że tych dwoje wreszcie się zeszło, okazały się prawdą.

Idąc dalej przejściem, rozważała jeszcze raz swoją decyzję odejścia z firmy Rawlins, Rawlins, Nugent and Carson. Właściwie już ją podjęła, nawet napisała na maszynie

wymówienie i zamierzała je wysłać w poniedziałek do Andrew Rawlinsa. Nie mogła pracować z Burke'em w jednej kancelarii po tym, co razem przeżyli.

Pogodziła się z faktem - wprawdzie niechętnie, ale cóż miała robić - że już nigdy nie zobaczy Burke'a. Chyba że na sali sądowej. Chyba że z racji pełnienia jakiejś funkcji społecznej. Chyba że...

Nagle świeżo poślubieni małżonkowie zwolnili kroku, po czym zatrzymali się, zmuszając Jill i drużbę, by uczynili to samo. Powoli Mary i Rob rozstąpili się. Jill odruchowo zerknęła na obiekt ich zainteresowania.

Serce zaczęło jej bić szybko, nierówno. Czyżby doznała halucynacji? Nie, Rob i Mary też go zauważyli. Gdyby tak nie było, to czemu mieliby wymienić porozumiewawcze spojrzenia i zostawić ją samą na środku przejścia, kierując gości do bocznego wyjścia?

Powoli, niepewnie, Burke wstał.

Jill przyglądała się jego wysokiej, szczupłej sylwetce w srebrzystoszarym garniturze, koszuli w paski i żółtym krawacie. Miał dłuższe niż zwykle włosy, świeżo ogolone policzki. Był wspaniale opalony i taki przystojny, tak zabójczo męski.

Zielone oczy Burke'a zlustrowały jej filigranową postać, od żółtych kwiatów i koronki w rozpuszczonych włosach do satynowych pantofelków na drobnych stopach, zatrzymując się dłużej na jedwabistej skórze, pięknie wykrojonych wargach i błękitnych oczach.

- Miałaś rację - powiedział tak cicho, że jego głos niemal zanikał w ogromnym wnętrzu kościoła.

- Co do czego? - Jej głos był tak delikatny jak płatki róż w bukietach, który przyciskała do siebie z całej siły.

- Nie można uciec od miłości. - Uśmiechnął się szyderczo. - Choć Bóg mi świadkiem, że próbowałem.

Serce w niej zadrżało, poczuła nagły zawrót głowy.

- Przebiegłem w tę i z powrotem cały półwysep Cape Cod. A może nawet dwa razy. Ale bez względu na to, jak długo biegłem, zawsze byłaś przy mnie. Nie mogłem się nigdzie przed tobą ukryć. Zawsze... - Głos mu się załamał, oczy zaszkliły. Wyraźnie próbował wziąć się w garść. Chciał powiedzieć, iż wiatr przyniósł mu jej głos, że słyszał jej śmiech w szumie oceanu, widział jej włosy w srebrzystym świetle księżyca, czuł jej ciepłe ciało w gorących promieniach słońca, ale nie potrafił znaleźć odpowiednich słów. Zdobył się jedynie na proste wyznanie, płynące prosto z serca. - Kocham cię, Jill - wyszeptał rwącym się głosem. - Nie mogę żyć bez cie...

Nie udało mu się dokończyć zdania. Słowa utknęły gdzieś pomiędzy dwojgiem spragnionych ust, dwojgiem stęsknionych ciał, dwojgiem kochających serc.

- Wystarczy - powiedział Burke, zwalniając kroku i zatrzymując się. Od ślubu Mary i Roba minęły dokładnie dwa tygodnie i trzy dni.

Jill zignorowała jego słowa, biegnąc dalej i wołając coś o odpoczynku na dużym głazie, do którego się zbliżali. W tej samej chwili rozbiła się o niego potężna fala, rozpylając w powietrzu fontannę wody. Na horyzoncie zachodzi-

ło purpurowe słońce, nad białawoszarym morzem unosiły się z krzykiem mewy.

- Jill! - zawołał karcącym tonem Burke. - Lekarz zalecił ci oszczędne ćwiczenia fizyczne. Oszczędne! - powtórzył ostrzej, gdy i tym razem go nie posłuchała.

Wsparłszy się pod boki, przyglądał się z irytacją, jak jego żona lekceważy zarówno męża, jak i lekarza. Patrzyć też z zachwytem, jak kołyszą się jej szczupłe biodra - jej zbyt szczupłe biodra w białych szortach - jak falują rytmicznie ramiona pod czerwonym trykotowym podkoszulkiem z napisem „Rawlins, Rawlins, Nugent, Carson and Rawlins” na plecach. Awans był prezentem ślubnym dla niej od jego ojca, natomiast Ida Tumbrello przestrzegła ją poważnie: „Pamiętaj, żebyś nigdy nie pozwoliła Burke'owi parzyć kawy, ponieważ brak umiejętności w tej dziedzinie może być dziedziczny”. Burke nie mógł powstrzymać uśmiechu, gdy przypomniał sobie odkrycie Idy, że to Andrew ponosi odpowiedzialność za okropny smak kawy w kancelarii. Zgodziła się umówić z nim na randkę tylko pod warunkiem, że sceduje ten obowiązek na nią. Widząc, że Jill dobiega już do głazu, Burke puścił się pędem za nią.

- No, dobrze, moja pani, na dziś naprawdę wystarczy - powiedział, zrównując się z nią błyskawicznie i chwytając ją na rękę.

Zaskoczona Jill roześmiała się, próbując udawać obrażoną.

- W jaki sposób mam dojść do siebie, skoro...

Burke przytulił ją mocniej do piersi i zawrócił w stronę rozłożonego na piasku koca spokojnym krokiem. Niósł ją,

jak gdyby była lekka jak piórko, a jednocześnie niezmiernie cenna.

- Skoro... skoro... pozwól mi złapać oddech... Jak mam odzyskać siły, skoro nie pozwalasz mi ćwiczyć?

- Przychodzi mi na myśl znacznie przyjemniejsze ćwiczenie - powiedział z lubieżnym uśmiechem.

- Domyślam się bez trudu jakie, panie mecenasie - Jill odpląciła mu pięknym za nadobne.

Nie wiadomo, kto uczynił pierwszy krok, ważne, że po chwili znów się całowali. Właściwie podczas trzech dni miodowego miesiąca, który spędzali na Cape Cod, wyłącznie całowali się i kochali. Burke powiedział, że dwa tygodnie, które kazała mu czekać na to, żeby się pobrali, były jedynym ograniczeniem, na jakie się zgodził. Jak gdyby przypominając sobie tę obietnicę, przylgnął jeszcze namiętniej do jej warg. Jill przytuliła się mocniej do nagiego torsu Burke'a, pojękując z rozkoszy.

Ocknęła się, gdy położył ją powoli na ręczniku plażowym. Niechętnie rozłączyli wargi. Wpatrzyła się w znajomą, ukochaną twarz, od której dzieliły ją zaledwie centymetry. Znała ją na pamięć. Dokładnie w tej samej chwili Burke'a nawiedziły bardzo podobne myśli na temat owalnej, piegowatej buzi, którą miał przed sobą.

- Kocham ci...

- Kocham ci... - wymówili jak na komendę, co pobudziło ich do śmiechu. Burke pocałował ją lekko w czubek nosa.

- Jesteś wciąż zbyt szczupła - powiedział.

- Przybieram na wadze - zaprotestowała.

- Masz podkrążone oczy.

- Teraz już dużo mniej.

- Jesteś zbyt blada.

- Czy jeszcze coś ci się we mnie szczególnie podoba?

- spytała z figlarnym uśmiechem.

- Tak - odrzekł żartobliwym tonem. - Nazwisko, pani Rawlins.

- Co za zbieg okoliczności - powiedziała. - Mnie też się podoba.

Wciąż się uśmiechając, Burke przekreślił się na plecy i wciągnął ją na swą nagą klatkę piersiową. Rudawozłote włosy wymknęły jej się spod czerwonej opaski, nad górną wargą perliły się kropelki potu.

- A jaki jest pana stosunek do dzieci? - spytała, bawiąc się wilgotnymi włosami na jego piersi.

- Do dzieci w ogóle czy do naszych? - spytał, podciągając jej podkoszulek do góry i obejmując ją dłońmi w pasie.

- Do naszych.

- Omówmy ten temat szczegółowo.

- No cóż - powiedziała, obrysowując czubkiem palca twardniejący sutek - są miłe i przylepne, gdy są małe.

- I?

- Są pociechą starzejących się rodziców.

- I?

- I... - uśmiechnęła się - ... bardzo przyjemnie się je robi.

Uśmiech, który zakradł się na jego wargi, był tak zniewalający, że serce zaczęło jej bić w przyspieszonym rytmie.

- Jak bardzo? - spytał, powoli przesuwając dłonie po jej wilgotnych od potu plecach.

- Niesamowicie - wymruczała, ocierając się o niego jak kotka.

Prawie stykali się ustami.

- Porozmawiamy o tym poważnie, gdy będziesz się lepiej czuła.

- Chłopcu moglibyśmy dać na imię Andrew Thomas po dziadkach, a dziewczynce Mary.

- Możesz im nadać imiona, jakie tylko zechcesz... żebyś tylko była zdrowa... i pod warunkiem, że to ja będę ich ojcem - przyciągnął jej głowę bliżej, by ich usta się zetknęły.

- Obiecuję - szepnęła, poddając się natarczywej pieczczości jego warg. - Och, Burke - jęknęła.

Przechyliła głowę, by mógł dotknąć ustami jej ucha, szyi. Delikatnie przewrócił ją na plecy i zaczął pieścić jej obrzmiałe z pożądania piersi.

- Jesteś taka cudowna... taka... - Dotknął palcami długiej blizny na jej piersi. Jak zwykle zmroziło go to, jego ciało przeniknął lodowaty dreszcz. Jak zwykle Jill zauważyła jego reakcję. Była to jedyna rzecz, która psuła harmonię ich małżeństwa.

- Burke...

Zatonął spojrzeniem w jej oczach. Wciąż nie mógł zapomnieć widoku czerwonej plamy na jasnym materiale bluzki. Ani strachu, który sprawił, że uciekł od niej.

- ...nie mogę dać ci żadnych gwarancji, dotyczących życia i śmierci. Bardzo bym chciała, ale nie mogę ci obiecać...

- Wiem - przerwał jej. - Ja też nie mogę dać ci żadnych gwarancji. Nie mogę ci obiecać, że nie umrę przed

tobą. Jeśli tak się stanie, przeżyjesz. Jeśli ty... umrzesz pierwsza, ja też przeżyję. To ludzka właściwość.

Jill zajrzała mu głęboko w oczy, chcąc się przekonać, czy jego słowa dyktuje szczerłość. Znalazła ją tam, choć pomieszaną z obawą. Wróciła pamięcią do chwili, gdy zobaczyła go po raz pierwszy po powrocie do pracy. Wówczas w jego oczach widziała cierpienie, ale też i siłę. Pomyślała, że wtedy nie zdawał sobie sprawy ze swej siły. Mężczyzna, którego teraz miała przed sobą, był jej świadomy. Gdzieś na atlantycznej plaży, pod palącymi promieniami słońca, smagany wschodnim wiatrem, poznał uniwersalną prawdę.

- Tak - powiedziała, przytulając dłoń do jego policzka.
- Masz rację. To ludzka właściwość.

- Wiem. Nauczyłem się tego tutaj, na plaży... pewnej nocy, gdy nie miałem już nic do stracenia.

Zachodzące słońce pograżało brzeg morski w cieniu. Ocean szumiał, fale uderzały o brzeg.

Burke pocałował ją delikatnie i czule. Ogarnęło ich ogromne wzruszenie.

- Umrzemy razem - powiedziała.

- Żyjmy razem - rzekł na to.

- Zgoda.

Leniwy uśmiech rozciągnął wargi mężczyzny.

- Co powiedziałaabyś na to, żeby się kochać na plaży?

- To karalne.

- Nie, jeśli nie damy się przyłapać - odpowiedział, uśmiechając się jeszcze szerzej.

Jill rozejrzała się odruchowo dookoła. Plaża była absolutnie pusta, podobnie jak w ciągu trzech dni ich pobytu.

- Burke'u Rawlinsie, jesteś bardzo niegrzecznym chłopcem. - Nie potrafiła zapanować nad reakcją swego ciała na myśl o kochaniu się o zmierzchu na morskiej plaży.

Podciągnąwszy jej podkoszulek do góry, przyłgął wargami do obrzmiałych piersi i sięgnął niecierpliwie ręką do suwaka jej szortów.

- Mmm, jesteś bardzo niegrzeczny. Jesteś taki cudowny - sprostowała z westchnieniem, prężąc biodra. Czuła, że jego wargi, obejmujące czubek jej piersi, rozciągają się w uśmiechu. Słyszała, jak mówi coś niewyraźnie o tym, że jest słona. I seksowna. I że pragnie jej, jak nigdy żaden mężczyzna nie pragnął kobiety.

W chwilę później leżeli na ręczniku nadzwy, spleceni w miłosnym uścisku.

- Kocham cię - szepnął, z wargami na jej ustach.

- Kocham cię - odpowiedziała.

Na białym piasku plaży, omywanej falami oceanu, dwoje kochanków powtarzało bezgłośnie przysięgi, powtarzało je w pieszczotach, pocałunkach, w świętym związku ciał i dusz. Na tej ustronnej plaży dwoje kochanków przysięgło sobie miłość aż do śmierci.